

**NIEZBĘDNIK
L-4 - ZMIANY
W USTAWIE**

KRAB NA ZAKRĘCIE PERTURBACJE W PRACACH NAD PROGRAMEM REGINA

**ALEKSANDER
GŁOGOWSKI**



*Pakistańska
strategia
przypomina
strzyżenie trawnika*

STRZAŁ Z SIECI

**JAK ODPOWIEDZIEĆ NA UDERZENIE
W CYBERPRZESTRZENI?**



KWARTALNIK
BELLONA



PRENUMERATA
RO CZNA:
4 WYDA-
NIA

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 100 zł do 31 marca 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002



WOJCIECH KISS-ORSKI

OSTATNIE DNI PO RAZ KOLEJNY POKAZAŁY, JAK TRUDNO JEST OBRONIĆ SIĘ PRZED ATAKAMI Z SIECI.

Od kiedy internet stał się narzędziem powszechnie używanym, hakerzy, bez względu na to, czy są zdolnymi amatorami, czy ekspertami w służbach rządów państw, wykorzystują cyberprzestrzeń do ataków na „krwiobieg” różnych krajów, czyli ich systemy energetyczne, finansowe, łączności, komunikacji, ochrony zdrowia. Wcale nie na cele militarne. Konsekwencją takiego działania, nazywanego cyberterroryzmem, jest realna groźba zastraszenia albo wymuszenia na władzach państwowych ustępstw lub oczekiwanych zachowań. Dan Verton, ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa w sieci, już dziesięć lat temu pisał o hakerach wśród bezrobotnych naukowców rosyjskich mających przeszkolenie wywiadowcze, a także wśród zorganizowanych grup kryminalnych Malezji, Włoch, Sycylii, Chin, Kolumbii czy Meksyku. A jak wygląda cyberterroryzm dziś? Z całą pewnością jest już nową płaszczyzną walki między wrogimi sobie państwami: vide afera wokół filmu o Kim Dzong Unie między Stanami Zjednoczonymi a Koreą Północną. Janusz Skulich, dyrektor Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, mówi, że jesteśmy w wieku niemowlęcym, jeżeli chodzi o budowanie mechanizmów skutecznej obrony przed cyberzagrożeniami. I właśnie o problemach, które spędzają sen z powiek wszystkim specom do spraw bezpieczeństwa, traktują artykuły głównego tematu tego numeru „Polski Zbrojnej”.

**Cyberterroryzm stał się jednym
z najważniejszych wyzwań XXI wieku.**

» Więcej o ochronie infrastruktury krytycznej na stronach 12–29



nr 2 (826)
luty 2015



Zdjęcie na okładce:
Marcin Dmowski

**12 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
Kontratak w sieci**

Krzysztof Liedel o zagrożeniach w przestrzeni wirtualnej

**18 | ANDRZEJ KOZŁOWSKI
Amerykańska zapora**

Jak w USA funkcjonuje system ochrony infrastruktury krytycznej?

**21 | ARTUR BARTKIEWICZ
Cyberdzieci atakują**

Domorośli hakerzy – największe zagrożenie internetu

**24 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
Dziurawa sieć**

Wnioski po raporcie Instytutu Kościuszki dotyczącym bezpieczeństwa infrastruktury krytycznej

0001011110101010
1101000010000011
0101011010010010
101000001001010

**26 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
Precyzyjne narzędzie**

Andrzej Najgebauer o pracy nad systemem informatycznego wsparcia dla sił zbrojnych

**27 | ARTUR BARTKIEWICZ
Wirtualnie w realu**

„Cyber Coalition '14” – ćwiczenia w sieci



H S W

armia

**54 | MIROŚLAW RÓŻAŃSKI
Wyboista droga**

Geneza reformy systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi

**57 | JAROSŁAW RYBAK
Wojna na lajki i tweety**

Czasem mniej znaczy więcej, czyli armia na portalach społecznościowych

**30 | NORBERT BACZYK
Krab na zakreć**

O najbardziej pechowym programie związanym z modernizacją polskiej armii

**36 | JAROSŁAW RYBAK
Drzwi do specjalności**

Przyglądamy się instruktorom przeprowadzającym selekcję do jednostki Agat.

**44 | NORBERT BACZYK, TADEUSZ WRÓBEL
Większa siła rażenia**

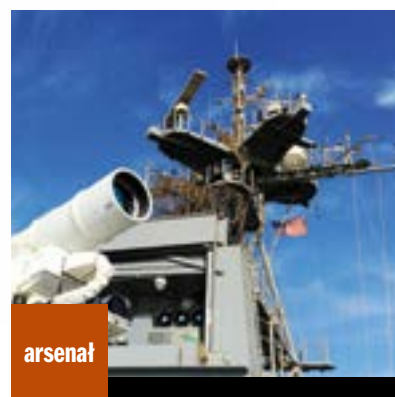
Morska Jednostka Rakietowa w Siemirowicach

**47 | ŁUKASZ ZALESIŃSKI
Poszukiwacze min**

ORP „Mewa” w nowej roli

**50 | MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
Na ninjym dzyurze**

Rozmowa z gen. bryg. Cezarym Podlasińskim o tym, czym zajmuje się Centrum Operacji Ładowych



arsenał

U S N A V Y

**66 | RAFAŁ CIASTOŃ
Strzał wiazką**

Chińska broń laserowa

**70 | TADEUSZ WRÓBEL
Głębinowe manewry**

Jakie okręty podwodne kupia Australijczycy?

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wisniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI

Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabik, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Artur Bartkiewicz, Wiktor Bater, Norbert Bączny, Bartosz Bera, Rafał Ciasłoń, Robert Czulda, Jerzy Eisler, Andrzej Fąfara, Katarzyna Górak-Sosnowska, Włodzimierz Kaleta, Andrzej Kozłowski, Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Mirosław Różański, Jarosław Rybak, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), **Paweł Kepka, Monika Siemaszko**,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTOEDYTOR

Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Adam Niemczak (kierownik), **Anita Kwaterowska** (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 23.01.2015 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400



strategie

U S A R M Y



wojny i pokoje

I M P E R I A L W A R M U S E U M

80 | TOMASZ OTŁOWSKI
Dziwna wojna
Kto walczył z kim przeciwko kalifatowi?

86 | ROBERT CZULDA
Arena walk
Liban na krawędzi

88 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
Gra na dwóch fortepianach
Pakistańscy – wspólnota rodów czy naród?

92 | ROBERT CZULDA
Jeńców nie zostawiamy
W jakim stopniu Izraelczycy przestrzegają dyrektywy Hannibala?

TADEUSZ WRÓBEL
102 | Strategiczna północ
Niemieckie siły okupacyjne w Norwegii

ANDRZEJ FAFARA
107 | Generał mróz
O tym, jak zima kształtowała dzieje narodów

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
108 | Kartka z zaślubin
Polska droga do morza

JAKUB NAWROCKI
112 | Anielscy łucznicy z Mons
Legenda o aniołach, które uratowały żołnierzy



95 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
Bez rewolucji
Rosyjska zbrojeniówka – recepta na przetrwanie

97 | WIKTOR BATER
Niedźwiedź czy szachista?
Putina wojna o Arktykę

99 | TADEUSZ WRÓBEL
Wielki zwrot
Japonia przywdziewa zbroje.

101 | KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA
Historia zatacza koło
Nie zapominajmy, że w paryskich zamachach muzułmanie byli także ofiarami.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
120 | Taniec aniołów
Weterani na Spitsbergenie

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
128 | Druga miłość marynarzy
Na służbie morze, a po służbie górskie szczyty

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
130 | Przygoda życia
Wspomnienia Franciszka Zwierzyńskiego z misji w Indochinach

horyzonty

K A R O L N O W I C K I

kadr

ŻOŁNIERZE Z 15 BATALIONU UŁANÓW POZNAŃSKICH,
wchodzącego w skład 17 Wielkopolskiej Brygady
Zmechanizowanej, wyposażeni między innymi w bojowe wozy
piechoty (BWP), w styczniu szkolili się na terenie Centralnego
Ośrodka Zurbanizowanego.





414

U honorowani przez ordynariat

Instytucje wspierające weteranów zostały wyróżnione nagrodą Benemerenti.

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju oraz Stowarzyszenie Kombatanów Misji Pokojowych ONZ uhonorowała kapituła tegorocznej nagrody Ordynariatu Polowego Benemerenti. Biskup połowy Wojska Polskiego Józef Guzdek, wręczając nagrody, podziękował obu organizacjom za wsparcie okazywane żołnierzom pełniącym służbę

poza granicami państwa. „Każda z decyzji o przyznaniu wyróżnienia jest trafna. Większość laureatów znam i mam zaszczyt z nimi współpracować”, zaznaczył podczas gali minister Tomasz Siemoniak.

Dyplomy odebrały też instytucje niosące pomoc Polakom mieszkającym poza granicami: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Fundacja „Pomoc

Polakom na Wschodzie” oraz Liga Katolickiej Pomocy Religijnej Polsce i Polonii.

Dyplom Benemerenti (dobrze zasłużonym) został ustanowiony w 1995 roku przez biskupa połowego Sławoja Leszka Głódzia. Przyznawany jest osobom i instytucjom, które dają świadectwo najwyższych wartości, jakimi są prawda i sprawiedliwość. AD ■

Wystartował „Orlik VI”

Polacy znów strzegą nieba nad krajami bałtyckimi.

„Baltic Air Policing» to praktyczny przejaw idei solidarności NATO i zasady kolektywnej obrony”, mówił minister Tomasz Siemoniak, żegnając szóstą zmianę Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik” w Mińsku Mazowieckim. To z tamtejszej 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego odleciały na misję cztery myśliwce MiG-29. Przez kolejne cztery miesiące będą pilnować przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii.

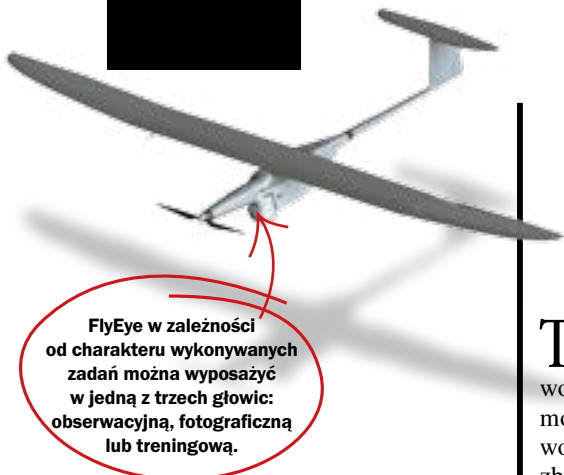
Dyżur 12 stycznia 2015 roku w ramach szóstej zmiany polskiego kontyngentu objęło 120 żołnierzy i pracowników wojska pod dowództwem

ppłk. pil. Piotra Iwaszki. W bazie lotniczej w litewskich Szawlach Polacy będą stacjonowali do 15 maja.

Polskich pilotów wspierają Belgowie na czterech samolotach F-16, które przyleciały już do bazy w Malborku. Podczas poprzedniej zmiany, od maja do września 2014 roku, na której także służyli malborscy lotnicy, wspierały ich cztery duńskie F-16 z estońskiej bazy Amari, cztery maszyny francuskie Rafale i później cztery Mirage z bazy Malborku oraz cztery brytyjskie samoloty Typhoon, stacjonujące w Szawlach.

Celem misji jest patrolowanie i nie dopuszczenie do naruszenia przestrzeni powietrznej państw bałtyckich oraz udzielanie pomocy samolotom wojskowym i cywilnym w sytuacjach awaryjnych. Misja trwa od 2004 roku. Pełną ją rotacyjnie żołnierze 14 państw NATO. Polacy biorą udział w tych dyżurach bojowych już po raz szósty. Pierwszy kontyngent „Orlik” uczestniczył w „Baltic Air Policing” w 2006 roku. Kolejna zmiana przypadnie Polakom w pierwszym kwartale 2016 roku. PZ, MKS ■

➤ Więcej o „Baltic Air Policing” czytaj na stronach 40-43



FlyEye w zależności od charakteru wykonywanych zadań można wyposażać w jedną z trzech głowic: obserwacyjną, fotograficzną lub treningową.

Oko rozpoznania

Wojsko kupuje kolejne bezzałogowe systemy powietrzne.

Przetarg na zakup 12 bezzałogowych systemów powietrznych klasy taktycznej krótkiego zasięgu Orlik i 15 dronów klasy mini-Wizjer ogłosił Inspektorat Uzbrojenia. Każdy z zestawów ma tworzyć od trzech do pięciu platform latających. Umowa dotyczy także pakietu logistycznego i systemu szkoleń dla żołnierzy obsługujących maszyny.

Postępowanie jest prowadzone na zasadach stosowanych do zamówień w dziedzinie obronności i bezpieczeństwa, z wyłączeniem prawa zamówień publicznych. Oferty wykonawców będą przyjmowane do 16 lutego, a podpisanie umowy MON planuje na początek 2016 roku. Wizjery do jednostek mają trafić do 2017 roku, a orliki do 2022 roku.

Wyposażenie jednostek lądowych w nowe typy bezzałogowych statków powietrznych to jeden z programów modernizacyjnych na lata 2013–2022. Za ponad 2 mld zł resort obrony chce kupić kilkadziesiąt sztuk takich maszyn, w tym bezzałogowce klasy mini i mikro oraz bezzałogowe statki krótkiego i średniego zasięgu.

Polska armia wykorzystuje teraz trzy typy bezzałogowców: izraelskie Orbiter, amerykańskie Scan Eagle oraz polskie FlyEye. Korzystają z nich wojska specjalne oraz lądowy Dywizjon Rozpoznania Powietrznego w Mirosławcu. P.Z., M.K.S. ■

Z korzyścią dla bezpieczeństwa

Powstał nowy organ doradzający szefowi MON w kwestiach offsetowych.

Tematem pierwszego posiedzenia Komitetu Offsetowego były możliwości produkcji, serwisowania, remontów oraz modernizacji sprzętu wojskowego przez polski przemysł zbrojeniowy. Rozmawiano także o założeniach do oferty offsetowej na pozyskanie przeciwlotniczego i przeciw-rakietowego zestawu rakietowego średniego zasięgu Wisła oraz okrętu podwodnego „Orka”.

Nowo powołany Komitet Offsetowy jest organem opiniodawczo-doradczym szefa resortu obrony. Do jego zadań należy określanie priorytetów w offsecie, opiniowanie założeń do ofert offsetowych oraz samych ofert pod kątem zapewnienia największych korzyści dla bezpieczeństwa Polski.

„Offset ma być narzędziem budowania zdolności sił zbrojnych i zdolności polskiego przemysłu obronnego”, zaznaczył podczas przewodniczący Komitetu wiceminister obrony Czesław Mroczek.

Jak podkreślali członkowie nowego gremium, w najbliższych latach MON będzie rozstrzygać kilka ważnych postępowań dotyczących sprzętu wojskowego, w tym systemu obrony powietrznej, okrętów podwodnych i śmigłowców. „Chcemy osiągnąć maksymalny udział polskiego przemysłu w tych projektach”, dodał minister Mroczek. Jak tłumaczył, dzięki offsetowi Polska ma też zbudować narodowy potencjał, służący utrzymaniu nowego uzbrojenia w pełnej gotowości. P.Z., A.D. ■

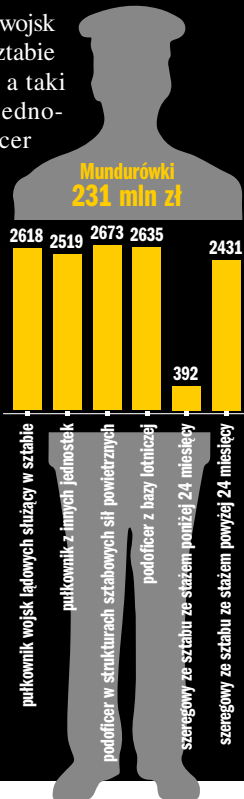
Mundurówka po nowemu

Zmieniły się przepisy dotyczące wypłaty świadczeń mundurowych.

Rozporządzenie w sprawie wypłaty świadczeń mundurowych dla żołnierzy zawodowych i kandydatów na żołnierzy zawodowych podpisane przez ministra finansów zawiera kilka nowych rozwiązań. Przede wszystkim pieniądze na zakup mundurów wyjściowych i galowych żołnierze dostaną do końca pierwszego kwartału, a nie, jak dotąd, do końca półrocza. Znowelizowane przepisy rozszerzyły też katalog okresów, za które mundurówka nie będzie przysługiwać. Należą do nich urlop macierzyński, rodzicielski, przebywanie w rezerwie kadrowej, jeżeli żołnierz nie wykonuje w tym czasie obowiązków służbowych.

Ponadto zróżnicowano wysokość świadczenia w zależności od miejsca pełnienia służby. W większości wypadków sztabowcy dostaną więcej pieniędzy niż żołnierze w linii. Uzasadnieniem ma być częstsze korzystanie z mundurów wyjściowych czy galowych przez osoby służące na przykład w dowództwach, sztabach czy inspektora-

tach. Dlatego pułkownik wojsk lądowych służący w sztabie otrzyma 2618 złotych, a taki sam oficer z innych jednostek – 2519 zł. Podoficer w strukturach sztabowych sił powietrznych dostanie 2673 zł, a jego kolega z bazy lotniczej – 2635 zł. Szeregowi zawodowi będą mogli liczyć na wyższy równoważnik dopiero po dwóch latach służby, a nie – jak dotąd – po półtora roku. Świadczenie mundurowe dla szeregowego ze sztabu ze stażem poniżej 24 miesięcy wyniesie 392 zł, natomiast po dwóch latach służby już 2431 zł. Na wypłatę mundurówek przewidziano w tym roku około 231 mln zł. P.Z., P.G. ■



MILITARIUM STUDIO P.K.



Szczecin szybkiego reagowania

Wielonarodowy korpus zwiększa gotowość bojową.

Zgodnie z decyzjami ubiegłorocznego szczytu NATO w Walii Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni ma być przygotowywany do pełnienia funkcji organizatora obrony oraz regionalnych sił szybkiego reagowania. Oznacza to krótszy czas na mobilizację. „W tej chwili mamy na to nawet 180 dni. Wobec sytuacji za naszą wschodnią granicą to zbyt długo”, stwierdził dowodzący korpusem gen. broni Bogusław Samol podczas wizyty w Szczecinie gen. **Phillipa M. Breedlove’a**, dowódcy

Sił Sojuszniczych w Europie. W przyszłości żołnierze będą musieli być gotowi do misji maksymalnie w ciągu 90 dni, a możliwe, że nawet w krótszym czasie. Szczegółowe decyzje zostaną przedyskutowane przez ministrów obrony krajów NATO w lutym 2015 roku.

Generałowie Breedlove i Samol rozmawiali także o przyszłych zadaniach korpusu, który – jak mówił szef NATO w Europie – będzie odpowiedzialny za kolektywną obronę oraz koordynowanie ćwiczeń. Gen. Samol już zapowie-

dział, że jesienią tego roku zostaną przeprowadzone duże manewry dowódco-sztabowe.

W szczecińskiej kwaterze głównej korpusu na co dzień służą żołnierze reprezentujący kilkanaście nacji. W połowie tego roku dołączą do nich przedstawiciele nowych państw – Wielkiej Brytanii, Holandii, Francji, Grecji, Turcji i Norwegii. W 2016 roku korpus ma osiągnąć pełną gotowość operacyjną, a dwa lata później – do dowodzenia operacjami połączonymi. P.Z., Ł.Z. ■

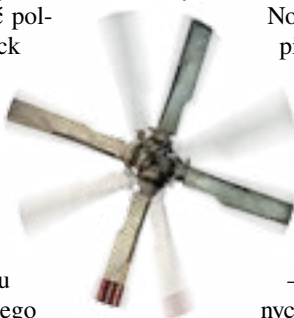
Wsparcie z powietrza

Trzy firmy startują w przetargu na nowe śmigłowce dla armii.

Oferty przetargowe na śmigłowce wsparcia bojowego i zabezpieczenia złożyło trzech producentów. Konsorcjum Sikorsky International Operations Inc., Sikorsky Aircraft Corporation i Polskie Zakłady Lotnicze w Mielcu chcą dostarczyć polskiej armii maszynę Black Hawk. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL Świdnik oferuje AW149, a Airbus Helicopters i Heli Invest sp. z o.o. – śmigłowiec EC725 Caracal.

Podczas kolejnego etapu postępowania przetargowego komisja Inspektoratu Uzbrojenia przeanalizuje złożone dokumenty. Następnie zostanie wybrana najkorzystniejsza oferta i będą przeprowadzone testy wybranego śmigłowca. Jednocze-

śnie w Ministerstwie Gospodarki podejmie pracę zespół do zbadania ofert offsetowych, których efektem ma być zawarcie umowy offsetowej. Dopiero potem będzie możliwe podpisanie umowy na dostawę sprzętu.



Nowe maszyny mają zastąpić wielozadaniowe Mi-8, Mi-17 oraz Mi-2. 48 śmigłowców wielozadaniowych trafi do wojsk lądowych, dziesięć maszyn poszukiwania i ratownictwa (Combat Search and Rescue – CSAR) – do sił powietrznych, marynarka wojenna dostanie sześć sztuk CSAR oraz sześć służących do zwalczania okrętów podwodnych. Kontrakt wart około 8 mld zł ma zostać podpisany w drugiej połowie 2015 roku. P.Z., P.G. ■

Zmiany w wojskowej administracji

Od nowego roku 16 wojewódzkich sztabów wojskowych i 86 komend uzupełnień podlega bezpośrednio ministrowi obrony narodowej, a ich działalnością kieruje szef Sztabu Generalnego WP. Sztab koordynuje też uzupełnienie rezerw osobowych w jednostkach na czas pokoju, wojny i mobilizacji. Nowe przepisy są związane z zasadami funkcjonowania administracji publicznej.

Według ustawy o administracji rządowej, szefowie wojewódzkich sztabów wojskowych i wojskowi komendanci uzupełnień są organami administracji, która powinna podlegać właściwemu ministrowi. Nowelizację wprowadziła ustawa o powszechnym obowiązku obrony oraz o urzędzie ministra obrony narodowej, a także reforma systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi. P.Z., P.G. ■



PIOTR
BERNABIUK

Węgiel przywieźlim

**JAK TO TERAZ WYGLĄDA,
ŻE SZEFE NIE DOSTAŁ NIC,
A TRIUMFY ŚWIĘCI JEGO
PODWŁADNY?**



Za wszystko w wojsku jest odpowiedzialny dowódca! Po tak postawionej tezie nie byłoby właściwie o czym dyskutować, gdyby nie wątpliwości chorążego Z., pomocnika dowódcy jednostki do spraw podoficerów: „Rozważaliśmy ostatnio w zacnym żołnierskim gronie, czy dowódca »ponosi odpowiedzialność« również za sukcesy. Mieliliśmy wątpliwości, co zobrazuję pewnym przykładem. Otóż w jednej z naszych kompanii przetestowano i wprowadzono niekonwencjonalną formułę szkolenia. Przez kilka miesięcy towarzyszyła tym działaniom pełna konspira, a potem jakoś wszystko się ujawniło i dotarło dość wysoko. No i mamy do konsumowania sukces. Przełożony, którego jestem prawą ręką, pogratulował swym podwładnym. A co miał robić, skoro mleko się wylało i coraz głośniej mówi się o sukcesie jednostki, a więc również jej dowódcy, który za wszystko jest odpowiedzialny? W tej sytuacji pojawił się pewien dysonans, bo dowódca jeszcze miesiąc temu tych z kreatywnej kompanii na szczapy by połupał za uprawianie samowoli, a teraz, chcąc nie chcąc, musi owijać dywersantów w złotko. No bo jak ma ludziom przyłożyć za niesubordynację, skoro na samej górze go chwala za ich wyczyny? Nie może zrzucić odpowiedzialności za sukces na kapitana, dwóch podporuczników i paru chorążych. W sumie z całą sprawą jest jedynie kłopot. Trzeba coś zmieniać, wdrażać, walczyć z kwitami, żeby kompanijne fanaberie świeciły pełnym blaskiem. I czekać cierpliwie, aż sprawa przyschnie, aż wróci stary porządek”.

Chorąży Z. żartuje, że jak się o zmianach w podejściu do szkolenia dowie potencjalny przeciwnik, to dopiero będzie chryja, bo wtedy to już nikt niczego nie odkręci. Cała ta historia przypomina mi dość już odległą rozmowę na znacznie wyższym szczeblu, podczas której przełożony zdobywcy Buzdygana kładł mi w tępą, dziennikarską głowę, że nagrodziliśmy zaszczytnym trofeum niewłaściwego człowieka. Sytuacja była trochę inna, bo „sprawca” – zdaniem mojego rozmówcy – wykonywał jedynie polecenia, realizował twórcze koncepcje swych szefów, a potem nędzny pionek, prosty wykonawca, pysznił się laurem. Jak to teraz wygląda, że szef nie dostał nic, a triumfy święci podwładny? I jeszcze trzeba mu pogratulować! Ripostowałem, że delikwent laur otrzymał za dzieło, które firmował nazwiskiem i przez kilka lat je rozwijał. A my co rusz przyłapywaliśmy go na ciężkiej i twórczej robocie... Gdy spór zaczął przekraczać granice merytorycznej rozmowy, użyłem ostatecznego, jak mi się wydawało, argumentu: „Dlaczego więc szanowny szef nie firmował dzieła osobiście?”. Rozmówca spojrzał na mnie zaskoczony: „A kto zbudował chiński mur?”. Odpowiedziałem szybko i spontanicznie, że Chińczycy, całe tłumy... „Właśnie”, zatrzymał mnie ów szef wpół zdania. „W dziele uczestniczyły nieprzeliczone rzesze ludzi, a po ponad dwóch tysiącleciach świat jako budowniczego pamięta Qin Shi Huang’a, Pierwszego Cesarza Chin.

Sierżant J., dowódca drużyny wspomnianej kompanii, kiedy usłyszał moją opowieść, znalazł do całej sytuacji nieco odmienną puentę: „Furman woła do gospodyni przez okno: »Pani, węgiel przywieźlim«. Słyszając to, koń odwraca się zdziwiony: »Tak, ty k... przywoźleś!«”.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI



|CYBERWOJNY|

KONTRATAK W SIECI

Z Krzysztofem Liedlem

o zagrożeniach w cyberprzestrzeni,
coraz większym uzależnieniu od sieci
i atakach, przed którymi trudno się
obronić, rozmawia Małgorzata
Schwarzgruber.



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

C oraz więcej kupujemy uzbrojenia, które ma zapewnić nam bezpieczeństwo, tymczasem myśliwce i pociski JASSM niewiele pomogą, gdy atak nastąpi w cyberprzestrzeni.

Obecnie do dotychczasowych czterech płaszczyzn prowadzenia wojny doszła piąta – cyberprzestrzeń. Jest to związane z postępowaniem technologicznym oraz z coraz większym uzależnieniem od informacji. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby zasoby informacyjne wykorzystywać z pominięciem internetu i sieci komputerowych, dla-

tego rywalizacja między różnymi podmiotami przenosi się do cyberprzestrzeni.

Kto nam zagraża?

Nie mamy do czynienia z jednym wrogiem. W rywalizacji między państwami główną rolę odgrywają służby specjalne. Przeciętnemu Kowalskiemu najbardziej doskwiera jednak nie cyberszpiegostwo, lecz cyberprzestępczość. A tego typu zagrożeń jest wiele. Można przyjąć, że to, co się dzieje w realnym świecie, znajduje odzwierciedlenie także w wirtualnym. Skoro zatem dochodzi do zbrojnych starć konwencjonalnych, nic dziwnego, że mają miejsce również konflikty w cyberprzestrzeni. Szczególną uwagę musimy poświęcić jednak organizacjom przestępczym działającym transgranicznie oraz terrorystom, którzy intensywnie wykorzystują cyberprzestrzeń do swoich celów.

Czasem trudno dociec, kto nas atakuje, bo uderzenie wyprowadzone na przykład z serwerów chińskich nie oznacza, że stoją za nim Chiny.

Cyberatak zapewnia względną anonimowość – w pierwszej fazie trudno ustalić, kto nas atakował: przestępca, terrorysta czy może wrogie państwo. Tym bardziej że wiele osób może w ten sposób uderzyć. Koszty takich działań są niewielkie – wystarczy grupa dobrze wyszkolonych ludzi, sprzęt komputerowy i dostęp do sieci. To nieporównywalnie mniejsze nakłady niż wyposażenie armii w czołgi czy samoloty.

Instytut Kościuszki, wspólnie z Rządowym Centrum Bezpieczeństwa oraz firmą doradcą EY,

***Członkowie
NATO tworzą
systemy
cyberobrony
w swoich
krajach, a ich
funkcjonowanie
przekłada się na
bezpieczeństwo
całego
sojuszu***

opracował raport „Bezpieczeństwo infrastruktury krytycznej – wymiar teleinformatyczny”. Jego główna konkluzja brzmi: państwo powinno bardziej angażować się w zabezpieczenie infrastruktury krytycznej. Czy rzeczywiście?

Tym problemem zajmowaliśmy się w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, gdy wspólnie z międzyresortowym zespołem pracowaliśmy nad doktryną dotyczącą cyberbezpieczeństwa. Chodzi o jednolitą politykę, o to, aby nie poszczególne jednostki czy firmy dbały o bezpieczeństwo w tej dziedzinie, lecz państwo miało odpowiednią koncepcję działania. Poza tym, ponieważ niektóre ważne elementy, na przykład banki, znajdują się w rękach prywatnych, konieczne jest wypracowanie mechanizmów współpracy publiczno-prywatnej. Podczas prac nad doktryną doszliśmy właśnie do wniosku, że trzeba udoskonalić mechanizm partnerstwa publiczno-prywatnego. Dziś kojarzy się ono głównie z przepływem pieniędzy między dwoma sektorami, a należy między innymi określić zakres odpowiedzialności obu partnerów, ich prawa i obowiązki.

Kto w takim razie powinien być odpowiedzialny za skoordynowane działania wymierzone w cyberprzestępców?

W naszym systemie za bezpieczeństwo odpowiada wiele różnych służb. Podobnie jest z cyberbezpieczeństwem, za które odpowiedzialność musi spoczywać na barkach różnych instytucji – od Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Obrony Narodowej, Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, do sektora prywatnego. Taki wielopodmiotowy system wymaga koordynacji. Najważniejsze jest jednak nie wskazanie instytucji odpowiedzialnej za koordynację, lecz wypracowanie mechanizmów współdziałania. Dziś, zgodnie z polityką bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni, rolę takiego koordynatora odgrywa Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji. Podczas prac nad doktryną zastanawialiśmy się jednak, czy jest to najlepsze rozwiązanie. Może należałoby powołać ponadresortową komórkę przy Radzie Ministrów, która zajmowałaby się przygotowaniem strategicznych rozwiązań.

Jakie ataki uważa Pan za najbardziej niebezpieczne?

Te, których celem jest infrastruktura krytyczna państwa. Takie uderzenie może bowiem sparaliżować jakiś segment, na przykład system bankowy czy energetyczny. Groźne są także innego rodzaju działania. Konflikt na Ukrainie wyraźnie pokazał, jak za pomocą internetu można manipulować opinią publiczną, tworzyć nieprawdziwy obraz rzeczywistości. Obserwowana w sieci obecność swego rodzaju „trolli”, wpływających na ton i wydźwięk publicznych dyskusji, jest tego najlepszym przykładem. Te dwa rodzaje zagrożeń – choć tak inne, mogą być równie niebezpieczne z punktu widzenia państwa. W Centralnym Biurze Śledczym powstała specjalna komórka zajmująca się cyberprzestępczością, co świadczy o skali problemu. Dużym zagrożeniem jest też cyberszpiegostwo.

Zna Pan zapewne raport Najwyższej Izby Kontroli, w którym skrytykowano między innymi polityków za to, że nie doceniają nowych zagrożeń. Wyjątkiem jest BBN, które przygotowuje doktrynę cyberbezpieczeństwa, a także MON, pochwalone za aktywny udział w budowie systemu ochrony cyberprzestrzeni oraz rozwój Narodowego Cen-

trum Kryptologii. Tyle że ciągle nie ma doktryny. Na jakim etapie są prace nad tym dokumentem?

Już je zakończyliśmy. W styczniu temu zagadnieniu poświęcono posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Doktryna jest dokumentem przejściowym między „Strategią bezpieczeństwa narodowego”, która zawiera wiele zapisów odnoszących się do cyberbezpieczeństwa, a przepisami wykonawczymi dotyczącymi tej sfery. Pokazuje, w którą stronę idziemy w tej dziedzinie, ale przede wszystkim określa, jak powinien w naszym kraju wyglądać system zapewniający bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni.

A jak powinien wyglądać?

Przede wszystkim musimy stworzyć, jak już wcześniej wspomniałem, spójne standardy cyberbezpieczeństwa, zarówno dla sektora prywatnego, jak i publicznego. Oprócz tego do systemu prawnego należy wprowadzić definicje takich pojęć, jak „cyberbezpieczeństwo” czy „cyberprzestępczość”. Pojęcie cyberprzestrzeni, na przykład, z inicjatywy prezydenta RP zostało wprowadzone do ustawy o stanie wojennym oraz o kompetencjach naczelnego dowódcy sił zbrojnych i zasadach jego podległości konstytucyjnym organom RP oraz do ustawy o stanie wyjątkowym i o stanie klęski żywiołowej.

Jak brzmi ta definicja?

Jest to przestrzeń przetwarzania i wymiany informacji tworzona przez systemy teleinformatyczne, określone w artykule 3 punkt 3 ustawy z 17 lutego 2005 roku o informatyzacji działalności podmiotów realizujących działania publiczne wraz z powiązaniem między nimi oraz relacjami z użytkownikami. Warto zwrócić uwagę, że polska definicja cyberprzestrzeni uwzględnia nie tylko jej cyfrowy wymiar, lecz także fizyczne komponenty, takie jak systemy teleinformatyczne, co sprawia, że pozwala na szeroko zakrojone definiowanie działań dla bezpieczeństwa cyberprzestrzeni RP.

Czego jeszcze możemy dowiedzieć się z doktryny cyberbezpieczeństwa?

Musimy przyjąć, że nie można w stu procentach zabezpieczyć się przed atakiem w cyberprzestrzeni. Dlatego należy stworzyć rozwiązanie, które pozwoli zarządzać stratami i je niwelować. Konieczne też są systemy rezerwowe, które w razie cyberataku zapewnią możliwość komunikacji. Doktryna wskazuje też na profilaktykę: kształcenie specjalistów i kadry urzędniczej, prowadzenie kampanii edukacyjno-prewencyjnych, podjęcie współpracy z producentami systemów teleinformatycznych. Powinniśmy dokonać przeglądu programów kształcenia na różnych poziomach. Wstępne analizy wskazują bowiem, że chociaż mamy świetnych informatyków, to brakuje ludzi zajmujących się edukacją czy tworzeniem programów. Godne pochwały są zatem działania podjęte przez generała Krzysztofa Bondaryka, który stworzył Narodowe Centrum Kryptologii. Kiedy był jego szefem, zawarł porozumienie z Wojskową Akademią Techniczną dotyczące kształcenia specjalistów.

Mamy doktrynę, a co ze strategią? Inne kraje przyjęły podobne dokumenty już dekadę temu.

Załączki systemu zapewniającego bezpieczeństwo przed cyberatakami zaczęły powstawać z inicjatyw oddolnych – na przykład w firmach. Tymczasem, aby stworzyć system, trzeba zacząć



Konflikt na Ukrainie wyraźnie pokazał, jak za pomocą internetu można manipulować opinią publiczną, tworzyć nieprawdziwy obraz rzeczywistości

od rozwiązań strategicznych. Doktryna wskazuje kierunki. Teraz należy ocenić, które rozwiązania są dobre, a które trzeba odrzucić. Temu służył między innymi raport NIK-u, który był formą audytu. Okazało się, że jesteśmy na początku drogi. Paradoksalnie może to być jednak naszym atutem. Możemy to opóźnienie przekuć w sukces w ten sposób, że skorzystamy ze sprawdzonych rozwiązań. Tym bardziej że zapewnienie bezpieczeństwa w sieci jest możliwe bez międzynarodowej współpracy.

NATO ma strategię walki z atakami w cyberprzestrzeni. Na czym ona polega?

Sojusz jest bardzo zaangażowany w walkę z cyberzagrożeniami. Jego członkowie tworzą systemy cyberobrony w swoich krajach, a ich funkcjonowanie przekłada się na bezpieczeństwo całej organizacji. W NATO otwarcie mówi się także o możliwości ataków odwetowych w cyberprzestrzeni. Według naszej doktryny my również musimy mieć nie tylko możliwość obrony przed cyberatakami, lecz także zdolności ofensywne, aby móc atakować.

Jak ma działać w cyberprzestrzeni artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego, w którym mówi się o przyjęciu z pomocą zaatakowanemu państwu?

Trwa dyskusja na ten temat. Mamy problem z tym, jak zdefiniować niektóre pojęcia czy przeciwnika oraz jaką podstawę prawną przyjąć na wypadek ataku cyfrowego. Ścierają się różne poglądy. Jedni twierdzą, że artykuł 5 powinien mieć zastosowanie w razie cyberataków. Inni uważają natomiast, że skoro trudno wskazać, kto stoi za takim atakiem, nie wiadomo w kogo uderzyć. Niestety w tym wypadku prawo nie nadąża za postępem technologicznym.

Tyle że atak w cyberprzestrzeni może być zapowiedzią realnego uderzenia.

Zgadza się. Podczas operacji „Pustynna burza” główne uderzenie zostało poprzedzone atakiem lotnictwa na systemy dowodzenia i łączności, które miały unieruchomić centra informacji. Dziś do takiej akcji wyprzedzającej zapewne nie użyto by wojsk konwencjonalnych, lecz posłużono by się cyberatakami.

NATO dopuszcza atak kinetyczny w odpowiedzi na atak w cyberprzestrzeni. To realny scenariusz?

Jeżeli zgodzimy się, że artykuł 5 ma zastosowanie w sytuacji cyberataku. Gdy uznamy, że cyberprzestrzeń jest piątą płaszczyzną prowadzenia wojen, to wybór środków, którymi odpowiemy, powinien zależeć od naszej decyzji. Dotychczas taka sytuacja nie miała miejsca.

Jakie zdolności w cyberprzestrzeni są zatem niezbędne z punktu widzenia wojska?

Niektóre kraje rozwijają zdolności ofensywne – tworzą odpowiednie struktury w siłach zbrojnych i prowadzą badania nad nowymi rodzajami cyberbroni, budując w ten sposób własne zasoby odstraszenia potencjalnych adwersarzy. Oprócz wydzielonych jednostek, działających w strukturach sił zbrojnych, wybrane państwa korzystają również z usług ekspertów zewnętrznych.

Rzadko dowiadujemy się o atakach na sieci wojskowe. Czy to znaczy, że systemy informatyczne armii są bezpieczne?

Ataki na systemy wrażliwe państwa są analizowane przez służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo. Opinia publiczna dowiaduje się tylko o niektórych działaniach cyberprzestępców – kradzieżach tożsamości czy włamaniach do systemów bankowych. Ma to sens – obywatele muszą wiedzieć o podatności systemu na ataki, które mogą dotknąć ich osoby. Mogą bowiem zachowywać szczególną ostrożność w sieci czy podczas korzystania z kart płatniczych. Ujawnianie podatności systemu bezpieczeństwa państwa na atak, ze szczególnym uwzględnieniem systemu obronności, nie służy jednak nikomu.

Jednak tysiące tajnych depesz amerykańskiej dyplomacji, które opublikowało WikiLeaks, wykradzono z wojskowego komputera.

To dobry przykład na tezę, że najsłabszym ogniwem systemu bezpieczeństwa jest człowiek – może wynieść dane lub zachować się niezgodnie z procedurami. Jak mówiłem, nie da się stworzyć systemu bezpiecznego w stu procentach – w miarę naszych możliwości można jedynie zwiększać jego odporność i dynamicznie reagować na pojawiające się zagrożenia. No i, oczywiście, mieć efektywny system zarządzania kryzysowego na wypadek, gdyby atakowi jednak nie udało się skutecznie zapobiec. ■

WIZYTÓWKA

KRZYSZTOF LIEDEL

Ma tytuł doktora w specjalności zarządzania bezpieczeństwem; jest zastępcą dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Poza-militarnego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, specjalistą w dziedzinie terroryzmu międzynarodowego i jego zwalczania oraz bezpieczeństwa informacyjnego, autorem i współautorem wielu publikacji na ten temat.

POLSKA
ZBROJNA



PRENUMERATA:
10 WYDAŃ
(OD NR 3
DO 12)

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 28 lutego 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Kilkanaście lat temu ataki komputerowe na elementy infrastruktury krytycznej (IK) były wytworem wyobraźni autorów science fiction. Dzisiaj, po doświadczeniach związanych z użyciem pierwszej cyberbroni – Stuxnetu, który był przeznaczony do zniszczenia irańskich wirówek wzbogacania uranu, po doniesieniach prasowych o tym, że dwudniowy blackout w Brazylii pozbawił dostępu do prądu 3 mln osób oraz zmusił największego producenta żelaza do zaprzestania prac, czy po ostatnich informacjach o udziale hakerów w uszkodzeniu gazociągu Baku–Tbilisi–Ceyhan tuż przed wojną z 2008 roku, widać, jak realne są tego rodzaju zagrożenia.

Stany Zjednoczone jako najbardziej z informatyzowane państwo na świecie, jednocześnie są też najbardziej narażone na cyberataki. Część z nich jest wymierzona w infrastrukturę krytyczną, której ochrona, w opinii wielu specjalistów, wciąż jest daleka od doskonałości. Richard Clarke, były doradca ds. cyberbezpieczeństwa w administracji prezydenta George W. Busha, twierdzi, że atak cybernetyczny może w ciągu 15 min. zdeorganizować całą amerykańską infrastrukturę krytyczną. Wprawdzie tego typu wizje apokaliptyczne mają niewiele wspólnego z rzeczywistością, ale takie zagrożenie nie powinno być lekceważone.

W 2007 roku przeprowadzano operację „Aurora”, zakładającą symulowanie ataków na systemy nadzorujące przebieg procesu technicznego (SCADA). Wiele z nich zakończyło się sukcesem i pokazało, że amerykańska infrastruktura krytyczna jest podatna na takie uderzenia. Gdy weźmie się pod uwagę wyniki symulacji, nie powinny dziwić doniesienia prasowe o nieustannych cyberatakach rosyjskich i chińskich hakerów,

którym udaje się przeniknąć przez zabezpieczenia i umieścić w amerykańskich systemach bomby logiczne – złośliwe oprogramowanie, które może zostać zdalnie aktywowane. To niejedynie informacje świadczące o podatności amerykańskiej IK na zagrożenia. Pojawiły się na przykład spekulacje prasowe, których źródłem są pracownicy CIA, że za największym blackouted z 2003 roku stali hakerzy chińscy.

TWORZENIE FUNDAMENTÓW

Początki amerykańskiego systemu ochrony infrastruktury krytycznej były trudne i wcale nie chodziło o zapobieganie cyberatakami. Pierwsze prace nad nim stanowiły odpowiedź administracji Billa Clintona na zamachy terrorystyczne w 1993 roku na World Trade Center i na budynek federalny w Oklahomie dwa lata później. Powołano wtedy Prezydencką Komisję ds. Ochrony Infrastruktury Krytycznej, skupiającą wyspecjalizowane agencje rządowe oraz przedsiębiorstwa sektora prywatnego, do których należała IK.

Komisja wyznaczyła osiem sektorów kluczowych dla bezpieczeństwa państwa: telekomunikację, dostawy wody, bankowość i finanse, energię elektryczną, służby ratownicze, systemy dystrybucji oraz magazynowania ropy naftowej i gazu, transport, a także usługi rządowe. W toku dalszych prac zidentyfikowano pięć sektorów, do których obrony była konieczna bliska współpraca trzech stron: podmiotów rządowych, właścicieli oraz operatorów infrastruktury krytycznej – sektor energetyczny, finanse i bankowość oraz najważniejsze usługi dla ludności, czyli dostawy wody, działanie służb ratowniczych oraz funkcjonowanie rządu. W raporcie przedstawionym wówczas prezydentowi Clintonowi zwrócono uwagę na wysokie prawdopo-

ANDRZEJ KOZŁOWSKI

Amerykańska zaporą

Stany Zjednoczone, jako najbardziej zagrożony podmiot w cyberprzestrzeni, mają zaawansowany system ochrony infrastruktury krytycznej. Czy jest on skuteczny i czy można wykorzystać te rozwiązania w innych państwach?

dobieństwo przeprowadzenia cyberataku na elementy infrastruktury krytycznej, ale jednocześnie podkreślono, że ryzyko wywołania w ten sposób poważnego kryzysu jest minimalne.

W odpowiedzi na raport administracja Clintona wydała dyrektywę prezydencką nr 63. Celem tego dokumentu było stworzenie takich systemów infrastruktury krytycznej, żeby ich zakłócenia rzadko się zdarzały, żeby łatwo było je kontrolować i żeby nie stanowiły zagrożenia dla obronności USA. Między innymi przypisano do każdego sektora instytucję odpowiedzialną za jego zabezpieczenie. Organ rządowy wybiera urzędnika łącznikowego, który odpowiada za kontakty z sektorem prywatnym. Ten z kolei wskazuje koordynatora sektorowego, pełniącego podobną funkcję.

Powołano również koordynatora do spraw bezpieczeństwa, ochrony infrastruktury i przeciwdziałania terroryzmowi. Miał on odpowiadać za implementację zasad dyrektywy, dbanie o spójność polityki ochrony IK prowadzonej przez wyznaczone ośrodki, planowanie na ten cel wydatków w budżecie oraz za przegląd operacji kryzysowych. W praktyce – jak oceniała to pierwsza osoba na tym stanowisku, czyli Richard A. Clarke – ta funkcja istniała tylko na papierze. Koordynator nie miał bowiem żadnych praktycznych możliwości decyzyjnych, a członkowie administracji nie byli chętni, żeby z nim współpracować.

Administracja Billa Clintona przywiązywała również ogromną wagę do współpracy publiczno-prywatnej. Dlatego też powołano centra wspólnego korzystania z informacji i ich analizowania. Celem było gromadzenie danych dotyczących bezpieczeństwa informacyjnego i udostępnianie ich instytucjom współtworzącym konkretne centrum. Przedsięwzięcia powinny przesyłać do analizy informacje dotyczące ruchu w swoich

sieciach. W razie wykrycia anomalii ogłoszono by alarm. Początkowo zakładano utworzenie jednego centrum dla wszystkich sektorów gospodarki. W praktyce okazało się to niemożliwe, a więc każdy z nich otrzymał własne. Sektor prywatny, dążąc do zwiększenia standardów bezpieczeństwa przez efektywniejszą wymianę informacji, pod koniec lat dziewięćdziesiątych powołał Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Infrastruktury Krytycznej.

Ostatnim przejawem działalności administracji Billa Clintona było przyjęcie narodowego planu zabezpieczenia systemów informacyjnych, w którym na poprawę bezpieczeństwa zaplanowano 2 mld dolarów, z czego ponad 600 mln przeznaczono na badania i rozwój.

W CIENIU ZAGROŻENIA TERRORYSTYCZNEGO

Administracja Billa Clintona zbudowała fundamenty ochrony infrastruktury krytycznej przed cyberzagrożeniami, tworząc odpowiednie instytucje oraz strategie działania, które były rozwijane przez następców. Działania George W. Busha na tym polu stanowiły kontynuację tych przedsięwzięć. Ochrona IK przed zagrożeniami płynącymi z wirtualnego środowiska nie była jednak priorytetem dla republikańskiej administracji, zajętej wojną z terroryzmem. Uchwalono wprawdzie w 2003 roku narodową strategię ochrony cyberprzestrzeni, ale zdaniem Richarda A. Clarke'a stanowiła ona tylko rozwinięcie rozwiązań zaproponowanych w narodowym planie Clintona oraz dyrektywie nr 63. Zawierała jednak też kilka innowacyjnych rozwiązań, do których należy zaliczyć zlecenie Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego przygotowanie planu odparcia ataku w cyberprzestrzeni oraz rozwinięcie współpra- ➔



Sektory infrastruktury krytycznej w Stanach Zjednoczonych

Sektor	Instytucja odpowiedzialna za ochronę
Przemysł chemiczny, obiekty handlowe, zapory, usługi ratownicze, obiekty nuklearne	Departament Bezpieczeństwa Krajowego
Obronność	Departament Obrony
Rolnictwo i żywność	Departament Rolnictwa, Departament Zdrowia i Usług Społecznych
Telekomunikacja i technologie informacyjne	Biuro Ochrony Teleinformatycznej i Telekomunikacji
Energia	Departament Energii
Usługi finansowe i bankowe	Departament Skarbu
Zasoby wodne	Agencja Ochrony Środowiska
Dziedzictwo narodowe	Departament Spraw Wewnętrznych
Usługi pocztowe	Administracja Bezpieczeństwa Transportu
Ochrona zdrowia	Departament Zdrowia i Usług Społecznych
Transport	Administracja Bezpieczeństwa Transportu, Straż Przybrzeżna USA
Obiekty rządowe	Służba Imigracyjna i Celna, Federalna Służba Ochrony

cy między sektorem publicznym i prywatnym z jasnym podziałem ról. Rząd miał odpowiadać za tworzenie prawa oraz ram współpracy i finansowania prac badawczych, a sektor prywatny – za udostępnienie swojego know-how.

Działania administracji Busha cechowała niechęć do wprowadzania nowych regulacji oraz tworzenia stanowisk. Republikanie bardziej skupiali się na zagrożeniu fizycznym dla infrastruktury krytycznej niż atakach cyfrowych.

PRIORYTETY OBAMY

Kiedy Barack Obama objął w 2009 roku władzę, bardzo szybko zaznaczył, że kwestie cyberbezpieczeństwa będzie traktował priorytetowo. Potwierdził to w swoim przemówieniu, w którym zadeklarował, że „dobrobyt gospodarczy USA w XXI wieku będzie zależał od cyberbezpieczeństwa”. Jedną z pierwszych decyzji było powołanie koordynatora do spraw cyberprzestrzeni, potocznie nazywanego cybercarem. Miał on odgrywać rolę najważniejszego doradcy prezydenta w tej branży, odpowiadającego za poprawę zharmonizowania wysiłków różnorodnych instytucji. Z czasem jednak jego rola została zmarginalizowana.

Do głównych inicjatyw nowego prezydenta w kwestii ochrony IK należało wydanie rozporządzenia wykonawczego nr 13636, zatytułowanego „Poprawić cyberbezpieczeństwo infrastruktury krytycznej”, oraz dyrektywy prezydenckiej „Bezpieczeństwo i odporność infrastruktury krytycznej”. Dokumenty te nakładają zobowiązania na agencje federalne, ale nie robią tego w stosunku do podmiotów prywatnych, aczkolwiek zachęcają do ich przyjęcia. Jednym z najważniejszych postanowień w nich zawartych jest decyzja o rozwinięciu inicjatywy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego „Ulepszony program usług cyberbezpieczeństwa”. Dzięki temu rząd udziela tajnych informacji, dotyczących cyberzagrożeń, operatorom oraz instytucjom odpowiedzialnym za infrastrukturę krytyczną. Interesującym rozwiązaniem jest identyfikacja najbardziej zagrożonych elementów IK i powiadomienie o tym jej operatorów (z zachowaniem półrocznego terminu przewidzianego w rozporządze-

niu amerykańskie instytucje dokonały takiego przeglądu i powiadomiły o tym zainteresowanych; informacje ten temat nie są jednak dostępne publicznie).

Zgodnie z postawieniami rozporządzenia Narodowy Instytut Standaryzacji i Technologii opracował „Podstawy poprawy cyberbezpieczeństwa infrastruktury krytycznej”. Zostały one opublikowane w lutym 2014 roku. Zawierają najlepsze praktyki oraz standardy zarządzania ryzykiem w kwestii cyberbezpieczeństwa. Twórcy podkreślili, że nie jest to ostateczna wersja dokumentu i zachęcili sektor prywatny do jego rozwijania.

Warto dodać, że w Kongresie utknął projekt ustawy regulującej kwestię wymiany informacji między sektorem prywatnym a publicznym (The Cyber Intelligence Sharing and Protection Act – CISPA). Jest ona ostro krytykowana przez obrońców prawa do prywatności, którzy twierdzą, że nowa ustawa pozwoli przedsiębiorcom na udostępnianie danych osobowych agencjom rządowym.

PODGLĄDANIE SYSTEMU

Stany Zjednoczone z pewnością mają najbardziej rozbudowany system ochrony infrastruktury krytycznej przed cyberatakami. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych był tworzony, mało kto zdawał sobie sprawę z tego zagrożenia. Powołane wtedy instytucje i wprowadzone rozwiązania istnieją do dziś, rozwinięte przez kolejne dwie administracje. Nie oznacza to jednak, że amerykańska IK jest zabezpieczona. Testy i doniesienia prasowe temu zaprzeczają. Dzieje się tak między innymi z powodu nierozwiązanego problemu partnerstwa publicz-

no-prywatnego, który zidentyfikowano już za czasów administracji Clintona, ale do dzisiaj nie znaleziono remedium na tę bolączkę.

Warto obserwować zmiany w systemie ochrony infrastruktury krytycznej w Stanach Zjednoczonych, ponieważ pojawia się tam wiele innowacyjnych rozwiązań. Należy jednak przeprowadzić staranną analizę przed ich wdrożeniem na przykład u nas. Nie wszystkie bowiem będzie można wprowadzić, chociażby ze względu na inny system prawny czy kulturę polityczną. ■

WIZYTÓWKA

ANDRZEJ KOZŁOWSKI

Jest doktorantem w Katedrze Studiów Transatlantycznych i Mediów Masowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego oraz ekspertem Instytutu Kościuszki i Fundacji Aleksandra Kwaśniewskiego „Amicus Europae”.



SATORI © FOTOLIA

ARTUR BARTKIEWICZ

Cyberdzieci atakują

Świat w filmie „Gry wojenne” staje na krawędzi atomowej zagłady z powodu nastoletniego hakerka, który włamuje się do komputera Pentagonu. Teraz, 30 lat później, nastoletni hakerzy spędzają sen z powiek specjalistom do spraw bezpieczeństwa.



Według najnowszego raportu PricewaterhouseCoopers (PwC) w 2014 roku na całym świecie odnotowano 42,8 mln cyberataków na przedsiębiorstwa prywatne – w ciągu ostatnich 12 miesięcy liczba takich incydentów wzrosła o 48%, a od 2009 roku zwiększyła się o... 1258% (sic!). Roczne straty z tego tytułu PwC szacuje nawet na 575 mld dolarów – to suma ponadpięciokrotnie przekraczająca budżet Polski.

Rzeczywista skala zjawiska jest jednak znacznie większa – opracowanie przygotowane przez PwC uwzględnia jedynie ataki wykryte, a ponadto nie opisuje dokonanych na instytucje rządowe i kluczowe elementy infrastruktury. Tymczasem w niektórych krajach są one głównym celem hakerów. We wspólnym raporcie McAfee i Agencji Bezpieczeństwa i Ochrony (SDA) w Brukseli z 2012 roku wskazywano, że w Izraelu co minutę (!) jest odpieranych około 1000 cyberataków. A to oznacza, że dwa lata temu tylko na to państwo przeprowadzono ponad 500 mln cyberataków.

LOGICZNA BOMBA

Co ciekawe, pierwszego spektakularnego cyberataku dokonano prawdopodobnie bez użycia internetu. W 1982 roku na terenie ZSRR miało dojść do potężnej eksplozji gazociągu transsyberyjskiego. Odpowiedzialność za to miała ponosić Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA), która do przeprowadzenia sabotażu użyła oprogramowania komputerowego.

Thomas Reed, w tamtym okresie stojący na czele Departamentu Sił Powietrznych w administracji Ronalda Reagana, w swoich wspomnieniach opisał misterną akcję, którą, jak twierdził, przeprowadziła CIA. Na podstawie informacji przekazanych francuskiemu wywiadowi przez Władimira Wetrowa, pracownika I Zarządu Głównego KGB, CIA ustaliła, że Sowieci chcą wykraść oprogramowanie niezbędne do obsługi gazociągu z jednej z kanadyjskich firm. Amerykańscy agenci skłonili więc firmę, która znalazła się na celowniku KGB, do przygotowania wadliwej wersji owego oprogramowania, zawierającej tak zwaną logiczną bombę, czyli lukę w kodzie, dzięki której pozornie poprawnie działający program, po określonym czasie miał doprowadzić do katastrofy.

Ze wspomnień Reeda wynika, że plan udało się zrealizować w 100%. Niczego się niespodziewający Sowieci wykradli wadliwe oprogramowanie, które następnie zostało użyte do obsługi turbin, pomp i zaworów bezpieczeństwa w gazociągu. W momencie uaktywnienia się logicznej bomby oprogramowanie wyłączyło pompy i zablokowało zawory, co doprowadziło do gwałtownego wzrostu ciśnienia, którego efektem była potężna eksplozja. Zarejestrowały ją nawet amerykańskie satelity, a Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej początkowo było przekonane, że w rejonie gazociągu doszło do zdetonowania bomby atomowej.

Nikt nie zginął w wyniku wybuchu (gazociąg przebiegał przez niezamieszkaną część Syberii), ale straty spowodowane całą akcją uderzyły w radziecką gospodarkę, dla której bardzo ważne były dewizy uzyskiwane ze sprzedaży gazu do Europy Zachodniej.

Niemal natychmiast po ujawnieniu w 2004 roku przez Reeda szczegółów operacji CIA pojawiły się wątpliwości, czy rzeczywiście miała ona miejsce. Rosyjskie media dotarły

SZACUJE SIĘ, ŻE TYLKO W POLSCE DZIAŁA 300 TYS. KOMPUTERÓW ZOMBIE. NA ŚWIECIE MOŻE BYĆ ICH OD KILKU DO KILKUNASTU MILIONÓW

między innymi do emerytowanego oficera KGB, który twierdził, że w 1982 roku faktycznie doszło do eksplozji gazociągu na Syberii, ale z powodu błędów konstrukcyjnych. A straty spowodowane wybuchem były niewielkie, bo uszkodzenia udało się naprawić w ciągu jednego dnia. Reed obstaje jednak przy swojej wersji wydarzeń.

ZOMBIE W SIECI

Historia opisana przez Reeda mogłaby stanowić kanwę sensacyjnego filmu szpiegowskiego – czego z pewnością nie można powiedzieć o większości współczesnych cyberataków. Najpopularniejszą metodą „walki” stosowaną w sieci są ataki DDoS (Distributed Denial of Service, co znaczy „rozproszona odmowa usługi”). Na czym polega taki atak? W dużym uproszczeniu chodzi o równoczesne skierowanie do jednego komputera – serwera – ogromnej liczby próśb o udostępnienie jednej z usług. Każda taka prośba wymusza na atakowanym komputerze „zarezerwowanie” dla niej określonej ilości pamięci, czasu procesora czy pasma sieciowego. W efekcie – jeśli zapytań jest odpowiednio dużo – zasoby wyczerpują się i dochodzi do sparaliżowania systemu.

Brzmi zawile? W rzeczywistości mechanizm ataku DDoS jest prosty i łatwo go przedstawić na przykładzie strony internetowej. W zależności od ilości miejsca na serwerze każda strona jest w stanie „obsłużyć” w jednej chwili określoną liczbę

bę internautów. Tymczasem atak typu DDoS w sztuczny sposób ją zwiększa. Gdy na przykład w normalnych warunkach stronę odwiedza 1000 osób w ciągu godziny, to w czasie ataku DDoS takich wejść może być do 500 tys. W efekcie strona przestaje działać.

Do ataku DDoS hakerzy zazwyczaj używają tak zwanych komputerów zombie, czyli maszyn zainfekowanych wcześniej złośliwym oprogramowaniem (np. trojanami). Właściciel najczęściej nie jest świadom, że padł ofiarą ataku, ponieważ jego komputer z pozoru działa normalnie. W rzeczywistości jednak, na sygnał wysłany przez hakera, urządzenie rozpocznie atak na wskazany serwer.

Szacuje się, że tylko w Polsce działa 300 tys. komputerów zombie. Na świecie może być ich od kilku do kilkunastu milionów. Zainfekowane tym samym rodzajem złośliwego oprogramowania tworzą botnet, czyli sieć komputerów kontrolowanych przez hakera. Botnety można nazwać, z przymrużeniem oka, cyberarmiami. Obecnie wystarczy zainfekować złośliwym oprogramowaniem kilka tysięcy komputerów, by stanowiły realną siłę zdolną do przeprowadzania groźnych cyberataków.

Drugim najpopularniejszym rodzajem cyberataku są exploity, wykorzystujące luki w oprogramowaniu, dzięki którym jest możliwe włamanie do komputera korzystającego z danego programu. Takie luki występują na przykład w systemach operacyjnych czy przeglądarkach internetowych. Po pewnym czasie są one zazwyczaj usuwane za pomocą łatek, czyli aktualizacji danego programu. Na tym jednak problem się nie kończy, bo bardzo szybko hakerzy wynajdują kolejną lukę. Dlatego popularny system operacyjny Windows jest w zasadzie non stop aktualizowany. Niewątpliwie dobrą wiadomością dla hakerów było niedawne ogłoszenie przez Microsoft zaprzestania wsparcia dla systemu Windows XP. Od 8 kwietnia więc każdy, kto na tyle zżył się z tym systemem operacyjnym, że nie wyobraża sobie pracy na nowszej wersji Windowsa, musi się liczyć z tym, że jego komputer z całą zawartością jest otwartą księgą dla hakerów.

GROŹNY NASTOLATEK

Skoro dziś bezpieczeństwem w sieci zaczynają się zajmować NATO i rządy poszczególnych państw, mogłoby się wydawać, że głównym zagrożeniem są cyberterrorysty planujący powtórzenie „wyczynu” bohatera filmu „Gry wojenne”, tudzież informatycy w mundurach, wchodzący w skład tajnych jednostek gotowych do wyłączenia prądu w danym kraju jednym kliknięciem myszki. Tak naprawdę jednak prawdziwą zmurą w sieci są dziś młodzi ludzie, którzy w ramach buntu przeciwko establishmentowi (jak grupa Anonymous), a czasem po prostu... z ciekawości potrafią spowodować straty liczone w miliardach dolarów.

To właśnie ciekawość była przyczyną pierwszego dużego cyberataku przeprowadzonego za pośrednictwem internetu. W 1988 roku niejaki Robert Tappan Morris, student prestiżowego Uniwersytetu Cornella w USA, stworzył niewielki program, który był w stanie przenosić się między komputerami podłączonymi do sieci i zapisywać w pamięci komputera w taki sposób, aby było to niezauważalne dla administratorów i użytkowników. Celem Morrisa było... sprawdzenie rozmiarów ówczesnego internetu (sic!) oraz udowodnienie, że złośliwe oprogramowanie może być przenoszone za pośrednic-

twem sieci, co z kolei miało uświadomić administratorom systemów komputerowych konieczność opracowania systemów zabezpieczeń przed wirusami.

W teorii tak zwany robak Morrisa miał być niegroźny. Okazało się jednak, że młody haker pomylił się w obliczeniach i w rezultacie stworzony przez niego program całkowicie zablokował 6 tys. komputerów. Mało? Otóż nie – w tamtym czasie było to... 10% wszystkich podłączonych do internetu. A sieć zaczęła funkcjonować normalnie dopiero po ośmiu dniach od ataku (w związku z atakiem robaka Morrisa trzeba było wyłączyć dużą część serwerów). Straty wywołane eksperymentem studenta szacowano nawet na, bagatela, 100 mln dolarów.

Wyczyn Morrisa błędnie jednak przy tym, czego w 2000 roku dokonał 15-letni Michael Calce, w internecie znany jako MafiaBoy. Nastolatek z Kanady w ramach projektu „Rivolta” przeprowadził atak na stronę Yahoo.com – wyłączył na ponad godzinę najpopularniejszą w tamtym czasie wyszukiwarkę na świecie. W ciągu kolejnych dni zdołał unieruchomić również serwis internetowy CNN, portal aukcyjny E-bay oraz serwisy Amazon.com i Dell.com. Straty spowodowane przez serię ataków przeprowadzonych przez MafiaBoya oszacowano na... 1,7 mld dolarów.

Inny piętnastolatek, mieszkający w USA Jonathan Joseph James, w 1998 roku zdołał włamać się do komputerów jednej z agencji wchodzących w skład amerykańskiego Departamentu Obrony. W ten sposób chłopak przejął około 3 tys. informacji, które pracownicy przekazywali sobie za pomocą wewnętrznej sieci – między innymi loginy i hasła pozwalające mu logować się na kilku komputerach amerykańskiego resortu obrony. Włamał się też do komputerów należących do NASA, skąd wykradł oprogramowanie pozwalające kontrolować warunki panujące na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Wszystko to uczyniło z Jonathana Josepha Jamesa legendę, ale jednocześnie stało się jego przekleństwem, które doprowadziło młodego mężczyznę do tragicznego końca. Amerykańskie służby niejako „z urzędu” podejrzewały go o udział w każdym większym cyberprzestępstwie, co spowodowało, że w 2008 roku popełnił samobójstwo. Prawdopodobnie obawiał się, że zostanie skazany za przynależność do grupy, która wykradła dane użytkowników tysięcy kart kredytowych.

Z kolei pochodzący z Niemiec Sven Jaschan w dniu swoich 18. urodzin wpuścił do sieci wirusa, który doprowadził do strat szacowanych na 500 mln dolarów. Przy czym są to tylko dane szacunkowe. Złośliwe oprogramowanie stworzone przez Jaschana całkowicie sparaliżowało między innymi system komputerowy linii lotniczych Delta, przez co musiały one anulować wiele lotów transatlantyckich.

Wprawdzie, jak dotąd, nastoletni hakerzy nie stworzyli poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa żadnego z państw, a rachunki za ich spektakularne sukcesy płaciły przede wszystkim firmy prywatne, to jednak przypadek J.J. Jamesa, który sforsował internetową bramę amerykańskiego resortu obrony, dowodzi, że kiedyś wszyscy możemy stać się bohaterami filmu „Gry wojenne”. Można bowiem wyobrazić sobie opracowanie metod walki z cyberterroryzmem czy agresywnie poczynającym sobie w internecie państwem, ale jak stworzyć mechanizm ochrony światowego bezpieczeństwa przed anonimowym nastolatkiem? ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Dziurawa sieć

Za pomocą komputera można dziś zagrozić bezpieczeństwu państwa. Wobec takiego ataku potęga militarna jest bezsilna.

Cyberataki stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, bo coraz bardziej jesteśmy uzależnieni od rozwiązań teleinformatycznych. Dlatego państwo powinno bardziej angażować się w zabezpieczenie jego najważniejszych systemów – wynika z raportu Instytutu Kościuszki „Bezpieczeństwo infrastruktury krytycznej – wymiar teleinformatyczny”. Dokument ten powstał we współpracy z Rządowym Centrum Bezpieczeństwa oraz firmą doradcą Ernst & Young (EY). W jego opracowanie zaangażowali się specjaliści z Wojskowej Akademii Technicznej.

ŚLEPI I GŁUSI

Infrastruktura krytyczna to powiązane ze sobą systemy i urządzenia, między innymi zaopatrzenia w energię, wodę czy paliwa, a także sieci teleinformatyczne, zapewniające ciągłość działania administracji publicznej. Na konferencji, w związku z prezentowanym raportem, organizatorzy wyświetlili fragment filmu „Szkłana pułapka 4”, pokazujący, co może się wydarzyć, gdy zostanie zaatakowany któryś z systemów. Atak cybernetyczny na sieci transportu, finansów, energetyczną i telekomunikacyjną sprawi, że staniemy się „ślepi i głusi”. Za pomocą komputera można dziś zagrozić bezpieczeństwu państwa, zakłócając jego porządek publiczny. Wobec takiego ataku potęga militarna jest bezsilna.

„Infrastrukturę krytyczną można porównać do systemu naczyń połączonych. Gdy w jednym miejscu nastąpi wyciek, można go zastopować”, wyjaśnia Aleksander Poniewierski z firmy EY. Eksperti uważają też, że należy rozszerzyć definicję infrastruktury krytycznej tak, by nie było wątpliwości, że obejmuje ona także infrastrukturę wirtualną, na przykład zbiory danych.

W 2007 roku cyberatak w Estonii na kilka dni sparaliżował kraj. Nie funkcjonowała sieć internetowa, przestały działać systemy banków, strony parlamentu czy mediów. Zawiódł też system zarządzający dostawami energii. Nie działał telefon alarmowy 112. „Przez dwa tygodnie państwo było

bezsilne, o zakończeniu ataku zadecydowali cyberprzestępcy, którzy prawdopodobnie byli sponsorowani przez jakieś państwo”, przyznał przedstawiciel Estonii na jednym z posiedzeń natowskich.

KONIECZNA WSPÓŁPRACA

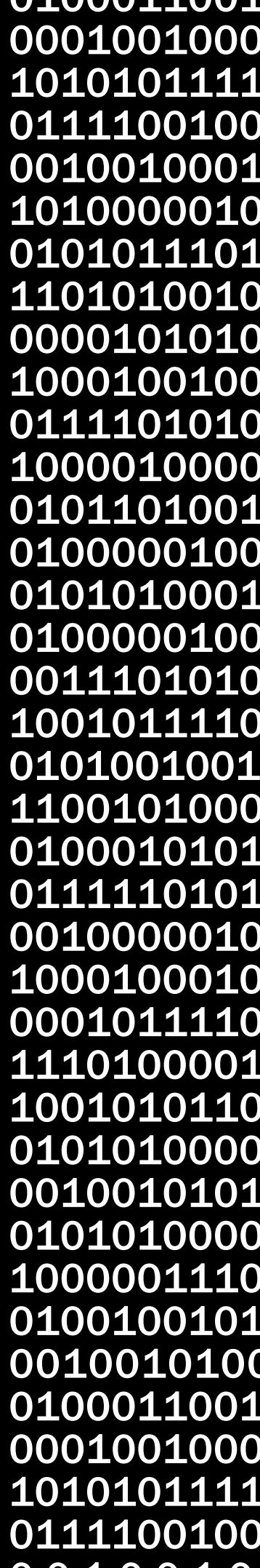
Coraz większa część infrastruktury krytycznej znajduje się w prywatnych rękach oraz jest zarządzana przez globalne koncerny. „Konieczne jest uświadomienie przedstawicielom zarządów firm, jak powszechnym i kosztownym problemem są cyberzagrożenia”, radzi Aleksander Poniewierski.

Joanna Świątkowska z Instytutu Kościuszki podkreśla, jak istotne jest budowanie dobrze funkcjonującej, opartej na zaufaniu, współpracy publiczno-prywatnej. Państwo powinno zachęcać do niej przedsiębiorców, na przykład przez ulgi podatkowe i ubezpieczeniowe, kredyty i granty na innowacyjne działania, obejmujące bezpieczeństwo infrastruktury.

„Sprawne funkcjonowanie infrastruktury krytycznej zależy także od współpracy sektora prywatnego i administracji publicznej. Budowaniem takich relacji zajęło się Rządowe Centrum Bezpieczeństwa”, mówi Janusz Skulich, dyrektor tej placówki. W Centrum przygotowano „Narodowy program ochrony infrastruktury krytycznej” przyjęty 26 marca 2013 roku przez Radę Ministrów.

Unia Europejska pracuje nad dyrektywą, która będzie wymagała od właścicieli infrastruktury krytycznej wdrożenia rozwiązań zwiększających bezpieczeństwo, a także zgłaszania incydentów naruszających bezpieczeństwo informacji i sieci. Jak wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli, dotychczas praktyka była taka, że do rejestru incydentów informatycznych w Komendzie Głównej Policji nie trafił żaden zapis, mimo że w latach 2012–2014 działający w ABW zespół CERT.GOV.PL zgłosił policji około 2 tys. informacji o zagrożeniach i incydentach w ich systemach teleinformatycznych.

Autorzy raportu nie mają wątpliwości, że całkowite zapewnienie bezpieczeństwa infrastruktury



NIK W CYBERPRZESTRZENI

Państwo nie prowadzi spójnych i systemowych działań związanych z ochroną cyberprzestrzeni RP – tak wynika z kontroli przeprowadzonej przez Najwyższą Izbę Kontroli. Pozytywne działania, na przykład powoływanie i utrzymywanie zespołów reagowania na incydenty komputerowe (tzw. CERT-ów) w ABW, MON oraz naukowej i akademickiej sieci komputerowej, były jedynie fragmentaryczne. Oceniono, że nie ma kompleksowych regulacji prawnych w dziedzinie bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni. Akty prawne są rozproszone, niekompletne i nie tworzą spójnego systemu. NIK uważa, że główni decydenci polityczni i kierownictwo administracji rządowej nie mają świadomości nowych zagrożeń, nie interesują się bezpieczeństwem technologii informacyjnych (wyjątkiem jest BBN, które przygotowuje doktrynę cyberbezpieczeństwa). MON zostało pochwalone za aktywny udział w budowie systemu ochrony cyberprzestrzeni, wymianę informacji w kraju i za granicą oraz rozwój Narodowego Centrum Kryptologii.

CZERWONY PAŹDZIERNIK

Na jesieni 2013 roku Czerwony Październik zaatakował Ministerstwo Spraw Zagranicznych Republiki Finlandii. Atak był oparty na złożliwym oprogramowaniu, którego zadaniem był nastuch linii komunikacyjnych łączących Finlandię i Unię Europejską. Czerwony Październik działał prawdopodobnie od 2007 roku, pozyskując informacje z sieci wielu służb zagranicznych i placówek dyplomatycznych. Atak był tak wyrafinowany, że infiltracja przez kilka lat pozostała niezauważona. Podobne oprogramowanie może funkcjonować niezauważone także w innych państwach.



JENS STOLTENBERG szef NATO:
„Cyberataki mogą wyłączyć
ważną infrastrukturę i mieć
wielki wpływ na nasze
działania”.

krytycznej nie jest możliwe. Uważają jednak, że można je poprawić. Konieczne jest jednak fizyczne zabezpieczenie serwerów i stacji roboczych. Kolejnym krokiem jest stworzenie odpowiedniej struktury organizacyjnej osób odpowiedzialnych w danej organizacji za bezpieczeństwo oraz wdrożenie wewnętrznych procedur.

Trzeba też przygotować katalog cyberzagrożeń i powołać krajowe centrum kompetencji. Aleksander Poniewierski w czasie konferencji argumentował, że warto stworzyć organ, który wypracowywałby standardy ochrony i wymuszałyby działania operatorów w tej dziedzinie.

Izabela Albrycht, prezes Instytutu Kościuszki, w trakcie prezentacji raportu podkreśliła z kolei, że bezpieczeństwo infrastruktury krytycznej jest kluczowe dla zapewnienia bezpieczeństwa całego państwa. Przy użyciu komputerów agresorzy są dzisiaj w stanie zagrozić bezpieczeństwu publicznemu, wpłynąć negatywnie na gospodarkę, generując wielomilionowe straty, a także zakłócić porządek publiczny.

„Jesteśmy w wieku niemowlęcym, jeżeli chodzi o budowanie mechanizmów skutecznej obrony przed cyberzagroženiami. Trzeba powiedzieć wprost: nie jesteśmy w stanie uniknąć takiego ataku, tak samo jak nie jesteśmy w stanie zapobiec powodzi. Możemy natomiast stworzyć system zarządzania ryzykiem związanym z takimi niebezpieczeństwami”, uważa dyrektor Skulich. ■

PRECYZYJNE NARZĘDZIE

Z Andrzejem Najgebauerem

o pięciu scenariuszach zagrożeń rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.

Kieruje Pan zespołem, który dla Sztabu Generalnego WP przygotowuje system informatycznego wsparcia rozwoju zdolności oraz identyfikacji potrzeb operacyjnych Sił Zbrojnych RP.

Budujemy system, który umożliwi sprawne planowanie, programowanie oraz budżetowanie sił zbrojnych. Będzie on pomocny także w ocenie przeciwdziałania zagrożeniom: militarnym i niemilitarnym, kinetycznym i niekinetycznym. Do tych ostatnich należą ataki cybernetyczne, bo pożądany efekt przeciwnik może uzyskać, stosując niekonięcznie uderzenie pancerne. Wygraliśmy konkurs, ogłoszony przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, w dziedzinie badań naukowych i prac rozwojowych na rzecz obronności i bezpieczeństwa państwa. Teraz na potrzeby Zarządu Planowania Strategicznego Wojskowa Akademia Techniczna z firmą Asseco Poland oraz Akademią Obrony Narodowej, z którymi tworzy konsorcjum, przygotowują właśnie taki system.

Czy działania cybernetyczne wpisują się w zadania sił zbrojnych?

Armia ma odpowiednie jednostki, które mogą identyfikować i oceniać zagrożenia, bo cybernetyczny atak na cywilną infrastrukturę może oznaczać wstęp do wojny. Dlatego w planowaniu wydatków należy uwzględniać działania cybernetyczne i wyposażenie jednostek w odpowiednie środki tego typu walki. Takie podejście może zmniejszyć nasze wydatki na zbrojenia. Wykonaliśmy analizę ataku cybernetycznego połączonego z atakiem zbrojnym. Z obliczeń i symulacji wyszło nam, że ci, którzy w razie ataku zbrojnego mają wsparcie cybernetyczne, mogą zredukować własne straty nawet o 80%. To pokazuje, jak dalece działania cybernetyczne są skuteczne. Trzeba mieć zatem zdolności do obrony przed atakiem cyberbronią, ale też samemu być gotowym do jej użycia. Choć trzeba przyznać, że prawnie problem ten czeka na uregulowanie, bo w rzeczywistych działaniach zaczepnych należałoby użyć metod hakerskich.

Na czym polega wasza praca nad projektem?

Wykonujemy modele prognostyczne, analizujemy zagrożenia i badamy, gdzie Polska może stracić możliwości obrony. Diagnozujemy, czego nam brakuje, aby je poprawić. Wyliczając braki, sugerujemy, co należy kupić albo jak wyszkolić wojsko. Zrobiliśmy już pierwszą wersję prototypu. To będzie system informatyczny, który zostanie zainstalowany na sieci komputerowej Sztabu Generalnego. Oficerowie będą wprowadzać dane i uzyskiwać informacje, na przykład na temat zakupów sprzętu wojskowego czy modelu sił zbrojnych. Gdy pod koniec 2015 roku zakończymy prace, sztab dostanie do ręki narzędzie, które pomoże we właściwym planowaniu wydatków na zbrojenia, a także w organizowaniu całego systemu obrony państwa.

Przed czym zatem mamy się bronić?

Analizujemy konflikty militarne, do których doszło po II wojnie światowej. Nie możemy ujawnić szczegółowych planów zagrożeń. Mogę mówić o przypuszczalnych scenariuszach. Rozpatrujemy ich pięć: konflikt o wysokiej intensywności, atak cybernetyczny, konflikt lokalny (misja poza granicami), klęska żywiołowa, atak terrorystyczny. Badamy też stopień przygotowania polskiej armii do tego typu zagrożeń. W naszych modelach uwzględniamy konflikty wielkoskalowe. Do niedawna duży konflikt wydawał się nieprawdopodobny. Dziś z powodu zagrożenia na wschodzie stał się prawdopodobny. Nasza armia musi być do niego przygotowana, musi wiedzieć, w jakim stopniu potrzebuje pomocy naszych sojuszników z NATO. Do poważnych należą także zagrożenia terrorystyczne. W tym wypadku większą rolę niż armia odgrywają inne służby. Chodzi między innymi o atak cybernetyczny albo połączony – cybernetyczny i zbrojny. W Polsce są to nie do końca zbadane zagrożenia.

WIZYTÓWKA



PROF. ANDRZEJ
NAJGEBAUER

Jest kierownikiem zespołu badawczego modelowania, symulacji i informatycznego wspomagania decyzji w sytuacjach konfliktowych i kryzysowych w Instytucie Systemów Informatycznych Wydziału Cybernetyki Wojskowej Akademii Technicznej.

W tym wypadku większą rolę niż armia odgrywają inne służby. Chodzi między innymi o atak cybernetyczny albo połączony – cybernetyczny i zbrojny. W Polsce są to nie do końca zbadane zagrożenia.

Czy Wasze prace są tajne?

Prototyp budujemy na podstawie danych zbliżonych do rzeczywistych. Zachowujemy tryb postępowania, który pozwoli oficerom sztabu zastosować tryb niejawnny. ■

„Atak w przestrzeni wirtualnej potrafi być równie groźny jak konwencjonalny. Dlatego tak ważne jest ciągle rozwijanie zdolności obronnych w tej dziedzinie” – przekonywał sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg, który obserwował ćwiczenia w Tartu w towarzystwie ministra obrony Estonii Svena Miksera.

ARTUR BARTKIEWICZ

Wirtualnie w realu

Każdego dnia jest wykrywanych około 200 mln podejrzanych ataków na serwery NATO. W estońskim Tartu żołnierze sprawdzali, czy potrafią sobie z nimi radzić.

Ponad 670 żołnierzy i cywilów, reprezentujących 80 organizacji z 28 państw, wzięło udział między 18 a 20 listopada 2014 roku w trzydniowych ćwiczeniach w estońskim Tartu. W rzeczywistości jednak odbyły się one w cyberprzestrzeni, a Tartu było tylko miejscem, w którym „uruchamiano” kolejne scenariusze kryzysowe za pomocą specjalnej platformy do ćwiczeń z obrony przed cyberatakami, udostępnionej przez Estonię.

PIERWSZA OFIARA

To, że ćwiczenia przeprowadzono właśnie w Estonii, zaledwie 50 km od granicy z Rosją, nie było przypadkiem. W 2007 roku, po tym, jak władze estońskiej stolicy zdecydowały się na przeniesienie upamiętniającego żołnierzy Armii Czerwonej pomnika Wyzwolicieli Tallina oraz zbiorowej mogiły sowieckich żołnierzy z centrum miasta na cmentarz wojskowy, hakerzy doprowadzili do unieruchomienia stron internetowych estońskiego rządu, parlamentu, a także banków i serwisów informacyjnych. W kulminacyjnym punkcie kryzysu w Estonii przestała działać telefonnia komórkowa, a klienci banków nie

mogli korzystać z kart płatniczych. Ówczesny premier Estonii, Andrus Ansip, stwierdził wprost, że jego kraj stał się poligonem pierwszej w historii wojny cybernetycznej, a o atak na swój kraj oskarżył rosyjskie władze, sugerując, że do jego przeprowadzenia wykorzystano między innymi komputery znajdujące się na Kremlu.

Oficjalnie odpowiedzialność za rozpoczęcie całej akcji wzięła na siebie zlokalizowany w Naddniestrzu oddział prokremlowskiej młodzieżowej organizacji Nasi. Jej komisarz zapewniał przy tym, że działał na własną rękę i nie otrzymał żadnych poleceń z Moskwy. Jednocześnie przedstawiciel rosyjskiej armii płk Anatolij Tsyganok oznajmił, że w cyberprzestrzeni Rosja ma przewagę nad NATO. Stwierdził między innymi, że sukces hakerów atakujących Estonię był dowodem na bezbronność sojuszu wobec Rosji w tym względzie.

Na reakcję NATO nie trzeba było długo czekać. W styczniu 2008 roku sojusz przyjął dokument regulujący kwestię polityki dotyczącej cyberobrony, a 14 maja tego roku w Tallinie otwarto Centrum Doskonalenia Cyberobrony NATO (Cooperative Cyber Defence Centre of Excellence). W ten →

sposób, jak głosił komunikat podsumowujący szczyt NATO w Bukareszcie, „osiągnięto gotowość do udzielania państwom członkowskim pomocy w odpieraniu ataków w sieci”.

ROG AFRYKI, CZYLI... ROSJA?

Ćwiczenia „Cyber Coalition”, które mają przygotować państwa NATO do współdziałania w razie cyberataku na któreś z nich lub na całą organizację, odbywają się od 2009 roku. Od 2010 roku własne ćwiczenia (pierwotnie pod kryptonimem „Baltic Cyber Shield”, a od 2012 roku „Locked Shields”) przeprowadza również wspomniane Centrum Doskonalenia Cyberobrony NATO. „Atak w przestrzeni wirtualnej potrafi być równie groźny jak konwencjonalny – może sparaliżować kluczową infrastrukturę danego państwa, a to z kolei negatywnie odbija się na możliwościach działania NATO. Dlatego tak ważne jest ciągłe rozwijanie zdolności obronnych w tej dziedzinie”, przekonywał sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg, który obserwował „Cyber Coalition ’14”, największe w historii cybermanewry sojusznicze.

„Cyber Coalition ’14” odbywały się w cieniu trwającego od wiosny konfliktu między Rosją a Ukrainą. Przedstawiciele sojuszu przyznają, że w ubiegłym roku liczba ataków na serwery NATO znacząco się zwiększyła – obecnie każdego dnia jest wykrywanych około 200 mln (sic!) podejrzanych aktywności tego typu. Około 100 spośród tych zdarzeń wymaga działań osób odpowiedzialnych za cyberbezpieczeństwo sojuszu, a około 30 jest identyfikowanych jako złożone ataki, których celem jest między innymi wykradzenie poufnych danych. O rosnącej liczbie podobnych incydentów w czasie ćwiczeń „Cyber Coalition ’14” mówił prezydent Estonii Toomas Hendrik, który stwierdził, że jego kraj był w ostatnim czasie celem kolejnego poważnego ataku w sieci, nie chciał jednak zdradzić żadnych dalszych szczegółów.

Nic dziwnego więc, że chociaż w oficjalnym scenariuszu ćwiczeń nie było mowy o zwalczaniu zagrożeń z Rosji (tłem dla cyberataków, przed którymi mieli się bronić uczestnicy, były fikcyjne operacje NATO w jednym z krajów Rogu Afryki), to jednak wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jaki kraj może być obecnie źródłem najpoważniejszych kłopotów dla NATO – pośrednio mówił o tym także dowódca Narodowych Sił Obrony Republiki Estonii, gen. dyw. Riho Terras. Pytany przez dziennikarza „Timesa” o to, czy przeprowadzanie cybermanewrów tuż pod rosyjską granicą, w dodatku w kraju, który oskarżał Rosję o cyberatak w 2007 roku, nie jest prowokacją pod adresem Moskwy, odpowiedział, że „Rosja w ostatnim czasie zachowuje się prowokacyjnie”, więc estoński głównodowodzący „jest gotów odpowiadać tym samym”. Gen. Terras zaznaczył, że ćwiczenia mają wyjątkowo pokojowy charakter, ponieważ ich scenariusz nie przewiduje prowadzenia żadnych działań zaczepnych, poza tym są prowadzone w rzeczywistości wirtualnej, a nie na poligonie z udziałem regularnych jednostek.

Mimo to przedstawiciele NATO obawiali się, że hakerzy mogą przeprowadzić atak na... system do symulowania cyberataków wykorzystywany w czasie „Cyber Coalition ’14”. To między innymi dlatego sojusz poinformował o organizowaniu ćwiczeń dopiero po ich rozpoczęciu, a w czasie wizyty dziennikarzy – jak relacjonował „Financial Times” – po-



spiesznie wyłączano monitory i wycierano tablice, aby żaden numer IP komputera używanego przez uczestników nie wy dostał się z Tartu.

ŻOŁNIERZE NA PODSŁUCHU

Celem „Cyber Coalition ’14” było – jak podaje Centrum Doskonalenia Cyberobrony NATO – przetestowanie sprawności systemu przekazywania informacji o cyberzagrożeniach między strukturami NATO a poszczególnymi państwami członkowskimi oraz skoordynowanie podejmowa-

CELEM „CYBER COALITION '14” BYŁO PRZETESTOWANIE SPRAWNOŚCI SYSTEMU PRZEKAZYWANIA INFORMACJI O ZAGROŻENIACH W SIECI MIĘDZY STRUKTURAMI NATO A POSZCZEGÓLNYMI PAŃSTWAMI CZŁONKOWSKIMI

NATO

nych przez kraje działań, mających zneutralizować zagrożenia wskazane w 15 scenariuszach przygotowanych na potrzeby ćwiczeń.

Szybki rzut oka na owe scenariusze pozwala uzmysłowić sobie, jak wiele kłopotów może sprawić sojusznikowi przeciwnik sprawnie poruszający się w cyberprzestrzeni. W jednym z ćwiczonych wariantów napastnikom udaje się zainfekować wirusem prywatne smartfony żołnierzy biorących udział w misji NATO w Rogu Afryki. W rezultacie hakerzy mają możliwość podsłuchiwania rozmów. Dzięki temu dowiedzieli się, że wysoki rangą oficer NATO, biorący udział w misji, wyraża wątpliwości co do tego, czy zakończy się ona sukcesem. Co dalej? Rzecz jasna, natychmiast przekazują nagranie mediom, a te informują o nim opinię publiczną, podważając wiarygodność sojuszu.

Warto zaznaczyć, że scenariusz ten nie jest całkiem fikcyjny – do jego przygotowania wykorzystano doświadczenia z rzeczywistego kryzysu, który wybuchł po udostępnieniu w lutym 2014 roku w sieci nagrania rozmowy między amerykańską wicesekretarzem stanu Victorią Nuland a ambasadorem USA na Ukrainie Geoffrey'em Pyattem. Nuland dosadnie krytykowała Unię Europejską za pasywną politykę wobec kryzysu ukraińskiego (w pewnym momencie z jej ust padają słowa „p...ć Unię”). Inne jej wypowiedzi sugerowały z kolei, że Waszyngton manipulował działaczami ukraińskiej opozycji. Amerykański Departament Stanu nie potwierdził autentyczności nagrania. Stany Zjednoczone wskazały jednocześnie, że za publikacją treści rozmowy stoi Rosja, której celem miało być zdyskredytowanie USA i poróżnienie Waszyngtonu z Unią Europejską.

Inny scenariusz sytuacji kryzysowej, z jaką musieli poradzić sobie uczestnicy ćwiczeń „Cyber Coalition '14”, zakładał, że systemy informatyczne NATO zostają zaatakowane „od wewnątrz”. Do wykradzenia tajnych informacji, dotyczących misji NATO, zostaje zmuszony jeden z oficerów, którego terroryści porywają żonę i dziecko. Włamał się on więc na serwery – a zadaniem ćwiczących było jak najszybsze wykrycie próby wykradzenia tajnych informacji i zabezpieczenie ich przed kolejnym atakiem.

Co ciekawe, niektóre scenariusze wykraczały poza rzeczywistość wirtualną. W jednym wypadku nowo powołany natowski zespół szybkiego reagowania do spraw cyberbezpieczeństwa został, wraz z pełnym wyposażeniem, błyskawicznie przetransportowany z Brukseli do Grecji, ponieważ hakerom udało się wykraść system kontroli powietrznej na pokładach samolotów AWACS, który należało jak najszybciej odzyskać.

„Przygotowując scenariusze, staraliśmy się nawiązywać do rzeczywistych wydarzeń. Niektóre z sytuacji kryzysowych, z którymi musieli sobie radzić uczestnicy ćwiczeń w przeszłości, były już udziałem NATO”, przyznał przedstawiciel sojuszu zajmujący się cyberbezpieczeństwem, w przeszłości oficer brytyjskiego RAF-u Robert Esposito. Sorin Ducaru, asystent sekretarza generalnego NATO, podkreślając znaczenie „Cyber Coalition '14”, zaznaczył, że konflikty mogą się toczyć w rzeczywistości wirtualnej, ale ich skutki są jak najbardziej rzeczywiste i dotkliwe. „Nie mówimy o potencjalnym zagrożeniu. Cyberataki są dziś codziennością”, dodał.

„Jedynym sposobem na to, by sprawdzić, czy jesteśmy przygotowani na zagrożenia z sieci, jest odparcie rzeczywistego ataku lub przeprowadzanie ćwiczeń, takich jak „Cyber Coalition '14”, podsumował Esposito. ■

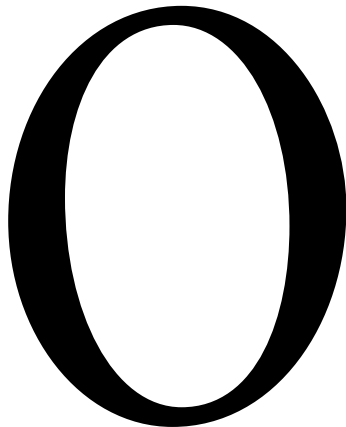
KRAB NA ZAKRĘCIE

Trudno wskazać bardziej pechowy program związany z modernizacją naszej armii. Ministerstwo Obrony Narodowej jest jednak zdeterminowane, aby szczęśliwie doprowadzić go do końca.





ANDRZEJ KIŃSKI



programie dywizjonowego modułu ogniowego o kryptonimie „Regina” znów zrobiło się głośno. Nie udało się pozyskać w 2015 roku kompletnego, liczącego 24 armatohaubic Krab, dywizjonu. Producent, Huta Stalowa Wola SA, jeszcze pod koniec lata 2014 roku poinformował wojsko, że nie będzie w stanie zrealizować umowy w takiej formie.

Przyczyną okazał się brak możliwości usunięcia stwierdzonych wcześniej wad materiałowych podwozi krabów, wykrytych w czasie badań zdawczo-odbiorczych

w samobieźnych podwoziach gąsienicowych UPG-NG. Zostały one opracowane w OBRUM Gliwice Sp. z o.o., a wyprodukowane przez ZM Bumar-Łabędy SA. Tę wiadomość opublikowano jesienią 2014 roku. 17 grudnia pojawiła się natomiast informacja, że HSW SA kupi nowe podwozia do krabów wraz z licencją w koreańskiej firmie Samsung Techwin. Zdecydowano się zatem na sprawdzoną konstrukcję, czyli nośnik dla samobieźnej armatohaubicy K9 Thunder (także kalibru 155 mm).

ALE O CO CHODZI?

Dla osób postronnych takie informacje mogą być co najmniej zdumiewające. Przecież mowa o dywizjonowym module ogniowym Regina, tym samym, który w 2012 roku na MSPO w Kielcach dostał wyróżnienie ministra obrony narodowej. 30 listopada 2012 roku w Toruniu, w czasie uroczystego odbioru pierwszej partii ośmiu armatohaubic, minister Tomasz Siemoniak podkreślał, że armatohaubica to „owoc wieloletnich wysiłków wojska, Huty Stalowa Wola oraz innych przedsiębiorstw. Dziś możemy mieć satysfakcję, że rozpoczynamy wieloletni program wyposażania artylerii, tego rodzaju wojsk, który w wielu najlepszych armiach świata jest otoczony wielką atencją i szczególnym wsparciem”. Jednak już wówczas zdawano sobie sprawę, że kraby wymagają określonych poprawek i przeróbek. Ministerstwo było jednak zdeterminowane, żeby program „Regina” doprowadzić do szczęśliwego końca. To bowiem bardzo nowoczesny system rażenia, jeden z najbardziej zaawansowanych na świecie.

W 2012 roku sądzono, że uda się to jeszcze zrobić z wykorzystaniem podwozi krajowych.

Dziś z punktu widzenia armii kluczowe jest to, że umowa nie zostanie zrealizowana w pierwotnej formie. Jest to duży problem. Jeśli testy nowego podwozia, na którym będzie osadzona sprawdzona wieża kraba, zakończą się sukcesem, kompletny dywizjon 24 wozów ogniowych zostanie przekazany siłom zbrojnym w 2017 roku, czyli z dwuletnim opóźnieniem.

Badania eksploatacyjno-wojskowe partii wdrożeniowej krabów w 11 Mazurskim Pułku Artylerii w Węgorzewie ujawniły wiele dodatkowych problemów technicznych. Dodatkowych, gdyż zanim jeszcze partię próbną ośmiu dział samobieźnych przekazano wojsku, wiadziano już o tak zwanych mikropęknięciach blach pancernych używanych do budowy podwozi. Zamierzano je stopniowo usunąć. Okazało się jednak, że problemów z podwoziem, zwłaszcza silnikiem, jest więcej. Co gorsze, podwykonawcy producenta nie potrafili usunąć ich w zadowalającym zakresie.

Decyzja HSW z jesieni 2014 roku, aby ostatecznie nie walczyć dalej o poprawę jakości gliwickich podwozi UPG-NG, ale kupić inne za granicą, została zaakceptowana przez MON. Sama Huta, chcąc bronić się przed zarzutami, że tym samym odbiera chleb swym polskim podwykonawcom, wydała w tej sprawie oświadczenie, w którym między innymi można było przeczytać: „Ocena dotychczas wykorzystanych podwozi produkcji ZM Bumar-Łabędy S.A. jednoznacznie wskazuje zasadność działań służących pozyskaniu licencji zagranicznej. Badania eksploatacyjno-wojskowe wyprodukowanych 8 sztuk armatohaubicy Krab wykazały szereg wad podwozia produkowanego w ZM Bumar-Łabędy S.A. Te wady to m.in. [mikro]pęknięcia kadłubów, niewydolny układ chłodzenia skutkujący przegrzewaniem się silnika, niewydolny układ napędowy z wyciekami z silnika i przekładni bocznych, nieszczelny układ paliwowy, nieszczelności układu wydechowego skutkujące przedostawaniem się spalin do środka przedziału układu napędowego, niedokładny pomiar poziomu paliwa, zbyt długi okres zalewania układu paliwowego paliwem, niestabilna praca układu zasilania elektrycznego”. Słowem... klapa.



WIEŻA Z DZIAŁEM KAL. 155 MM I DŁUGOŚCI LUFY 52 KALIBRY, W ODRÓŻNIENIU OD PODWOZIA, JEST SPRAWDZONYM I DOBRZE DZIAŁAJĄCYM ELEMENTEM KRABA

Plany przewidują, że w przez najbliższe dwa lata zostaną przeprowadzone testy wież na dwóch podwoziach sprawdzonych z Korei, które w 2016 roku przekazano by wojsku. Większa partia podwozi K9 wyprodukowana przez firmę Samsung Techwin byłaby dostępna w 2017 roku i wówczas armia ma odebrać cały dywizjon – 24 działa. Zgodnie z planami modernizacji technicznej, siły zbrojne są zainteresowane aż pięcioma dywizjonami krabów, razem 120 wozami w jednostkach liniowych. A to oznacza, że i tak ich produk-

cję należy kontynuować, opierając się na podmiotach krajowych.

Najpierw, w 2018 roku, pozyskano by kolejnych 12 wozów jeszcze z Korei, niemniej w tym samym roku ich produkcja ruszyłaby już w kraju. HSW nie wyklucza, że nośniki od K9 mogłyby licencyjnie wykonywać ZM Bumar-Łabędy, pod warunkiem jednak zapewnienia odpowiedniej jakości wyrobu. W Polsce w latach 2018–2022 można wyprodukować 84 podwozia.

W Polskiej Grupie Zbrojeniowej na umowę z Samsungiem patrzy się z nadzieją. Takie podwozie może bowiem w przyszłości stać się nośnikiem także pod inne zabudowy, w tym dla UPMG. Z punktu widzenia MON kluczowe jest natomiast, aby zrealizować program „Regina”, nawet jeśli oznacza to kolejne opóźnienia i wzrost kosztów. Wiceminister Czesław Mroczek przyznał, że cena jednostkowa kraba na importowanym podwoziu będzie wyższa niż pierwotnie zakładana z użyciem UPG-NG. Dokładnie oznacza to 32 mln zł za kompletny wóz, a zatem o 6 mln zł więcej. Część kosztów ma zostać przeniesiona na producenta. W zamian wojsko dostanie jednak nowoczesny i sprawdzony sprzęt, który pozwoli artylerii na osiągnięcie nowych zdolności operacyjnych.

KTO JEST WINIEN?

Być może w innych okolicznościach MON nie dawałoby wykonawcom kolejnej szansy, lecz poszukało innej armatohaubicy, ale kwestie związane z krabem są bardziej skomplikowane i wariant radykalny nie byłby dobrym rozwiązaniem. HSW SA jest własnością państwa (należy w 88% do holdingu PGZ) i w ostatnich latach poczyniono w niej duże inwestycje właśnie pod kątem rozwoju produkcji systemów artyleryjskich. Dziś to zakład z nowoczesnymi liniami produkcyjnymi. Wykonano w nim już wszystkie 24 wieże dla pierwszego dywizjonu, co jednak – z braku podwozi – nie może przełożyć się na wyrób finalny.

Należy pamiętać, że wieża od kraba jest spolonizowaną brytyjską armatohaubicą AS-90 Braveheart. Pierwsze dwie wieże, wraz z działami, dostarczył BAE Systems, kolejnych sześć luf wykonano ze wsparciem francuskiego koncernu Nexter, a 16 następnych luf z pomocą niemieckiego Rheinmetalla (wieże kompletując już w HSW). Teraz ten „przekładaniec” ma się skończyć i działa będą produkowane z wykorzystaniem nowych technologii wdrożonych w HSW.

Wieża z działem kalibru 155 mm i długości lufy 52 kalibry, w odróżnieniu od podwozia, jest sprawdzonym i dobrze działającym elementem kraba. To najnowocześniejszy system artyleryjski w Wojsku Polskim. Został przetestowany i wdrożony, prowadzi się prace nad nowymi rodzajami amunicji do niego. Zamknięcie programu „Regina” uderzyłoby w związku z tym w plany modernizacji artylerii, już dziś przecież →



H.S.W.

SYSTEM WIEŻOWY KRABA TO NAJNOWOCZEŚNIEJSZY ZESTAW ARTYLERYJSKI W WOJSKU POLSKIM

opóźnione. Na to MON nie może sobie pozwolić. Alternatywa w postaci kupna za granicą używanych armatohaubic lub fabrycznie nowych oznaczałaby konieczność rozpoczęcia wprowadzania wielu systemów i procedur od początku.

Dlaczego krab z polskim podwoziem nie przeszedł pomyślnie testów? Realizacja tego programu dawno temu została wstrzymana i kilka lat stanu zawieszenia uczyniło w nim ogromne szkody. Tak duże, że potem nie udało się ich wszystkich naprawić.

Należy zatem przypomnieć, że program pozyskania samobieżnej armatohaubicy kalibru 155 mm ruszył jeszcze w 1994 roku, a formalny przetarg wystartował trzy lata później. Ostatecznie w 1999 roku wybrano ofertę brytyjską – działo AS-90 (przyjęte do uzbrojenia British Army jeszcze w 1992 roku, później zmodyfikowane przez zmianę długości lufy). Licencyjna produkcja tego sprzętu miała się odbywać w Polsce. Nie kupiliśmy jednak wówczas oryginalnego podwozia, bo zdecydowaliśmy się na własne. Umowę w lipcu 1999 roku podpisano w obecności premiera Jerzego Buzka i brytyjskiego sekretarza obrony George'a Robertsona. To był czas, gdy wchodziliśmy do NATO. Zobowiązaliśmy się wówczas na przejście w artylerii na kaliber standardowy dla sojuszu, czyli właśnie 155 mm. Nowy był reszta – nie tylko kaliber, ale przede wszystkim system kierowania ogniem.

W 2000 roku Departament Polityki Zbrojeniowej podpisał z HSW umowę na dostawy dwóch prototypów. W 2001 roku powstał pierwszy kompletny krab, w następnym roku kolejny. Produkcja seryjna była oczekiwana od 2003 roku i pierwszy kompletny dywizjon wojsko miało mieć w 2008 roku. Równolegle miały powstać wozy dowodzenia i kierowania ogniem oraz pojazdy logistyczne.

Zanotowano wówczas pierwsze opóźnienia, a wkrótce program został zastopowany. W efekcie plany modernizacji artylerii sparaliżowano na kilka lat. Brytyjczycy nie mogli się doczekać zamówień, więc zlikwidowali linię produkcyjną i nie było skąd brać kolejnych dział. Także w Polsce zakłady produkujące silniki S-12U, serce podwozia dla UPG-NG, za-

przestały produkcji (inna sprawa, że silnik ten od początku nie nadawał się dla wążącego 50 t działu samobieżnego). Modernizacji wymagał również system kierowania ogniem. Ponadto zakończono produkcję ciężarówek Star (przewidziane jako wozy logistyczne). Nie wszedł też do produkcji seryjnej transporter Ryś, przewidziany jako nośnik dla systemów dowodzenia.

I tak, gdy krabem znów zainteresowano się w 2008 roku, jego sytuacja wydawała się bardzo trudna. Wiedzano, że oryginalny projekt będzie wymagał znalezienia nowego wytwórcy luf, silnika, a w związku z tym także układów przeniesienia mocy. Słowem, z oryginalnego pojazdu niewiele zostanie.

Wiosną 2008 roku podpisano z HSW umowę na wdrożenie do końca 2011 roku dywizjonowego modułu ogniowego Regina (w jego skład wchodzi też wozy wspomnianego systemu dowodzenia i kierowania ogniem Azalia i pojazdy logistyczne systemu Waran). Na początek z ośmioma krabami. Znaleziono nowych wykonawców luf, ale kwestię silnika i układu przeniesienia mocy przełożono na później.

W 2012 roku podpisano umowę na cały, liczący 24 działa, dywizjon, wiedząc, że serce kraba będzie wymagać transplantacji. Nie chciano jednak, aby ta kwestia hamowała cały program. Dlatego najpierw postanowiono kupić dywizjon w pierwotnej konfiguracji, tak aby żołnierze dostali wreszcie do ręki potężne działa i zaczęli się szkolić w strzelaniu, a kolejne dywizjony zamierzano zamawiać już ze zmodernizowanymi podwoziami, czyli z lepszymi silnikami oraz układem przeniesienia mocy.

Opóźnienia Kraba to problem, ale to właśnie dzięki wyłożonej pracy artylerzystów, ostro testujących sprzęt i nieidących na kompromisy, oraz zdecydowanej postawie MON sprawy nie zamieciono pod dywan. Ten przypadek to przede wszystkim blamaż części firm polskiego przemysłu zbrojeniowego. Ci, którzy obecnie pragną wyłącznie na jego bazie pozyskać nowe wozy bojowe dla polskiej armii, zwłaszcza te najbardziej zaawansowane technicznie, czyli właśnie gąsienicowe, powinni wyciągnąć z tego wnioski. ■

CHOR. DARIUSZ ALEKSIUK

W wojsku służy od 25 sierpnia 1994 roku.



Data i miejsce urodzenia:

7 stycznia 1973 roku, Kłodzko.

Tradycje wojskowe: dziadek służył w 13 Pułku Ułanów Wileńskich w okresie międzywojennym.

Stanowisko: zastępca dowódcy plutonu w 22 Karpackim Batalionie Piechoty Górskiej.

Edukacja wojskowa: szkoła chorążych w Poznaniu, kierunek rozpoznanie ogólnowojskowe; kurs instruktorów wychowania fizycznego; kurs instruktorów walki w bliskim kontakcie; kurs call for fire, kurs instruktorów SERE.

Wielokrotnie reprezentowałem jednostkę w międzynarodowych zawodach narciarskich i wspinaczkowych dla jednostek górskich w Niemczech, we Włoszech i w Austrii.



Książka życia: Andy'ego McNaba „Kryptonim Bravo Two Zero”. Interesuję się jednostkami specjalnymi, czytam o ich tradycjach, historii i misjach. Dlatego wybrałem książkę, która opisuje prawdziwe wydarzenia z operacji SAS w Iraku.

Najlepsza broń:

**kbk AKM
7,62 mm**

Zostałem żołnierzem, bo: wychowałem się na filmie „Czterej pancerni i pies” i marzyłem o tym. Gdy zamieszkałem w pobliżu jednostki wojskowej, postanowiłem spełnić swoje dziecięce pragnienie i kilkanaście lat później zostałem kadetem szkoły chorążych.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: różnorodność symboliki, między innymi oznak rozpoznawczych i odznak honorowych, które odnoszą się do heraldyki rycerskiej.



Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: na przykładzie swojej jednostki przyznam, że chciałbym powrócić do służby, gdzie w strukturach batalionu, zamiast kompanii zmechanizowanych, byłyby kompanie piechoty górskiej.

Niezapomniany film:

„Terytorium wroga”.



Przełomowe wydarzenie w życiu: rozpoczęcie służby w 2 Batalionie Piechoty Górskiej w 22 Brygadzie Piechoty Górskiej. Dzięki tej jednostce mogłem w pełni rozwijać swoje zainteresowania górami.

Moje największe osiągnięcie: ukończenie z drugą lokatą kursu taktyczno-wytrzymałościowego dla dowódców pododdziałów rozpoznawczych Patrol.

Odniesienia: srebrny medal Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny, brązowy medal „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, odznaka „Zasłużony Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej” III stopnia oraz tytuł Wzorowego Dowódcy.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś może kierowcą ciężarówki.



Co robię po służbie: dużo czasu poświęcam córkom. Rozwijam też swoje zamiłowania do sportów ekstremalnych: wspinaczki i narciarstwa. W sezonie letnim uprawiam turystykę motocyklową.

JAROSŁAW RYBAK

Drzwi do specjednostki

To pierwsza okazja, żeby kandydat na własnej skórze przekonał się, gdzie trafia. Na selekcji można już poznać specyfikę oddziału oraz filozofię ludzi, którzy mają wpływ na jego funkcjonowanie.

Wdzikich ostępach Sudetów i Bieszczad za kilka tygodni rozpoczną się wiosenne kursy selekcyjne. Dużo już o ich napisano. Kilku dziennikarzy maszerowało wspólnie z kandydatami. Miałem okazję robić to w 2002 roku w GROM-ie. Jesienią 2014 roku spędziłem z kolei pięć dni w Bieszczadach na selekcji do jednostki Agat. Tym razem interesowali mnie nie kursanci, lecz instruktorzy. Starałem się podpatrzeć, na co zwracają uwagę i co chcą przekazać kandydatom.

Wystartowało 27 ochotników. Po pięciu dniach zostało ich 13. Pierwsza osoba odpadła już w drugiej godzinie kursu. Ostatnia – w czasie rozmowy kwalifikacyjnej z dowódcą jednostki. Najpierw podziękowano jedynej kobiecie. Była żoną żołnierza, który kiedyś służył w JW Agat. Przeszedł do innej jednostki specjalnej, poleciał do Afganistanu i tam został ciężko ranny. „Udało mu się wrócić do służby. Teraz trzymamy kciuki, żeby dziewczynie też się udało, ale pomagać jej nie będziemy”, już w drodze w Bieszczady zgodnie deklarowali selekcjonerzy. Kobieta nie zmieściła się w limicie czasu podczas pierwszej konkurencji. Zbyt długo pokonywała kilkunastokilometrowy nocny marszobieg.

Jako jeden z ostatnich odpadł oficer. Świetnie radził sobie na trasie: przygotowany fizycznie, dobrze wykonywał zadania. Wyraźnie dystansował się jednak od zespołu. Jadł osobno, niezbyt interesowały go problemy innych. Po kilku dniach grupa prawie trzymała kciuki, żeby... po-

winęła się mu noga. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej wyjaśnił, że jest oficerem, a reszta to podoficerowie. Uważał, że ma dowodzić, a nie „kolegować się z podwładnymi”. Usłyszał więc, że z takim nastawieniem nie poradzi sobie w jednostce specjalnej.

NAJMŁODSZY SPECODDZIAŁ

Choć Agat to najmłodsza jednostka specjalna, instruktorzy są doświadczonymi żołnierzami. Mają świadomość miejsca, jakie zajmują w wojskach specjalnych. Nie są ani „młodszym GROM-em”, ani „drugim Lublińcem”. Oddział nie ma bojowych, misyjnych epizodów, na których mógłby budować tożsamość. Kłopotliwa jest też nazwa, odnosząca się do akowskiego oddziału z II wojny światowej. Chodzi o Pegaz, czyli „Przeciw-gestapo”, Agat, czyli „Anty-gestapo” i Parasol – ci sami ludzie, te same zadania, tylko nazwa oddziału była zmieniana ze względów konspiracyjnych. Tymczasem, z niezrozumiałych powodów, tradycje Parasola dziedziczą komandosi z Lublińca, a Agatu – z Gliwic. Trudno więc budować tożsamość na historii, bo to by musiało oznaczać niepotrzebne rocznicowe wyścigi z komandosami z JWK.

„Mamy się zająć wsparciem bojowym kolegów z innych specjednostek. Odbijanie zakładników czy łapanie »złych ludzi« nie jest naszym głównym zadaniem. Laikom może się wydawać, że to mniej prestiżowe i odpowiedzialne. Bez profesjonalnego wsparcia bojowego nie da się jednak

JAROSŁAW RYBAK

Błyskawiczna orientacja w terenie, umiejętność czytania mapy i wyznaczania azymutów to jedne z najtrudniejszych elementów selekcji.

przeprowadzić żadnej dużej operacji specjalnej. To nasza wartość”, przekonuje kolejny instruktor.

Selekcjonerzy wiedzą, że niektórzy żołnierze traktują Agat jako pierwszy etap kariery w wojskach specjalnych. W jednostce nie ma dodatków wynikających ze służby w tym rodzaju sił zbrojnych. Zajmowanie podobnych stanowisk w GROM-ie, Lublińcu, Formozie oznacza więc wyższe zarobki. „Często porównuje się nas do amerykańskich rangersów. Oni są zasobem kadrowym dla Delt. Tyle że rangersi mają tak ugruntowaną pozycję, że nikt się nie zastanawia nad ich profesjonalizmem ani nie traktuje jak komandosów drugiej kategorii. U nas, niestety, jest z tym jeszcze problem”, uważa oficer.

Niesprzyjające jednostce były też dynamiczne zmiany w gliwickich koszarach. Od 1990 roku funkcjonował tam pułk zmechanizowany, przekształcony w brygadę obrony terytorialnej, zrestrukturyzowaną do batalionu obrony terytorialnej, potem przeformowanego w oddział specjalny Żandarmerii Wojskowej, który ostatecznie stał się jednostką wojsk specjalnych.

„Pierwsze selekcje do OS-u i Agatu spora część gliwickiej kadry traktowała jak wymianę beretów po zmianach nazw. Od jakiegoś czasu jednak wiadać, że zdecydowana większość ludzi przychodzących na selekcje ma motywację i przygotowuje się do kursu. To już inny typ żołnierzy niż ci, którzy kiedyś dominowali. Tacy teraz przyjechali w Bieszczady”, podkreślają instruktorzy.

SELEKCJONERZY

Przez pięć dni kandydatami do Agatu zajmowało się dziesięciu specjalistów – sześciu instruktorów prowadzących selekcję oraz czterech zabezpieczających zajęcia: dwóch medyków i dwóch logistyków. Całością kierował – jedyny oficer w tym zespole – mjr Z. Mundur nosi od 1998 roku, dwa razy był w Iraku (na pierwszej zmianie dowodził plutonem rozpoznawczym), raz w Czadzie, gdzie podlegała mu kompania wojsk lądowych, a w Afganistanie służył w POMLT, czyli zespole oddelegowanym do ścisłej współpracy z afgańskimi policjantami. Gdy powstał Agat, zaliczył tam pierwszą selekcję.

„Są dwie szkoły prowadzenia kursów weryfikacyjnych. Zwykle zajmują się nimi wyłącznie ludzie służący w szkoleniówce. Po kilku latach wpadają w rutynę. Dlatego – mając taką możliwość – staram się, żeby instruktorami byli ludzie z zespołów szturmowych. Tacy o świeżej krwi, którym chce się prze...ć w górach, żeby pokazać kursantom, jakimi jesteśmy twardejami”, opowiada mjr Z. Jego zastępcą był st. chor. szt. K., w JW Agat służący od początku. Mundur nosi od 1995 roku, zaliczył misje w Iraku, Bośni, Gruzji, na Litwie i Łotwie. Reszta selekcjonerów to chorążowie i podoficerowie.

Major podkreśla rolę logistyków. „Zwykle się o nich zapomina, tymczasem oni wykonują ciężką



JAROSŁAW RYBAK

Każdy z instruktorów robił wrażenie na kursantach: kondycyjnie lepszy, lepiej zorientowany w terenie, lepiej przygotowany do wędrowki.

KILKA DNI EKSTREMALNEGO WYSIŁKU W GÓRACH OTWIERA BRAMĘ NIE TYLKO DO JEDNOSTKI SPECJALNEJ

robotę, bez której posypie się każde poważne zadanie”, podkreśla. Załatwiają mnóstwo formalności. Na ich głowie są uzgodnienia między innymi ze Strażą Graniczną, Służbą Leśną, Policją, urzędnikami Bieszczadzkiego Parku Narodowego, szpitalem, Lotniczym Pogotowiem Ratunkowym. Do tego dochodzą takie „drobności”, jak wyznaczenie miejsc biwaków, znakowanie trudniejszych fragmentów tras, zapewnienie właściwych posiłków czy drewna (jeśli jest planowane palenie ognisk), zadbanie, żeby wszystkie pojazdy były zatankowane i gotowe do wyjazdu. Ich robota kończy się na zacieraniu śladów bytowania kursantów.

WOLA WALKI

Podczas pierwszej fazy kursanci działają w grupach. Do każdej z nich jest przydzielony opiekun.

„Wybieram instruktorów o odpowiedniej kondycji, ale muszę ich znać, bo cenię ludzi godnych zaufania, takich, na których można liczyć w sytuacjach kryzysowych. Równie ważne jest to, żeby mieli doświadczenie i umieli rozpoznać profil psychologiczny kandydatów”, wyjaśnia major.

Pięć dni w górach to finał kilkumiesięcznej pracy. Analiza ankiet trwa dwa lub trzy miesiące. Po niej zaprasza się wytypowanych ludzi na komisję kwalifikacyjną. Trzeba zorganizować egzamin ze sprawności fizycznej, psychotesty, sprawdzić znajomość języka obcego. Do wyjazdu w Bieszczady dopuszcza uzyskanie ogólnej oceny na poziomie „4”.

Jesienią pierwszy raz instruktorem był N., dobrze zbudowany podoficer, mówiący z wyraźnym śląskim akcentem. Jednym samochodem jechaliśmy we dwójkę z Gliwic w Bieszczady. N. bardzo chętnie opowiadał o wszystkim, co nie dotyczyło wojska, ale nawet pytania o miejsce kursu czy liczbę uczestników zbywał uprzejmym „od informowania jest major”. Jako dziennikarza irytowała mnie ta maniera, ale mój kierowca wykazywał się profesjonalizmem w kontaktach z mediami. Zasada jest prosta: nie wdawać się w nawet niewinne rozmowy o służbie. Dopiero po pięciu dniach dowiedziałem się, że N. w wojsku jest od dziewięciu lat, od trzech służy w JW Agat. Ma za sobą misję w Czadzie.

„Bycie instruktorem to wyróżnienie. Major zaproponował, żebym to ja decydował o tym, kto trafi do jednostki. Obserwując kandydatów, zwracam uwagę na ich umiejętności i na zawziętość. Ważne, żeby kursant łatwo się nie poddawał. Dla mnie na selekcji najtrudniejsze były marsze na azymuty, ostatnie przechodziłem w nocy. Każdemu proponuję, żeby to poćwiczył”, opowiada N.

Wola walki to cecha, którą ceni większość instruktorów. Ale mjr „Doktor”, szef grupy zabezpieczenia medycznego Agatu, który dbał o bezpieczeństwo w czasie pięciu selekcji, jest zdystansowany do takiego sposobu oceny kandydatów. Instruktorzy szukają najbardziej wytrwałych, najtwardszych, ale lekarzowi zależy na tym, żeby wszyscy w miarę cało i zdrowo wrócili do domów. „Nie raz mieliśmy przypadki, że żołnierze gubili się w górach. Późną jesienią i wczesną wiosną łatwo o wychłodzenie, które może skończyć się tragedią”, opowiada „Doktor”, przyznając jednocześnie, że niektórzy jednak zbyt łatwo się poddają, nie podejmują wyzwania, za szybko „kleka im psycha”: „Kiedyś żołnierz zrezygnował w drodze do ostatniego punktu kontrolnego. Stwierdził, że nie odpowiada mu chodzenie w ciemności. Ale mieliśmy taki przypadek, gdy kursant stracił z wysiłku przytomność. Sam był zaskoczony reakcją własnego organizmu”.

Na razie nie dochodziło do poważniejszych wypadków. Zdarzało się, że kandydat ze skrzyżnym stawem kolanowym trafił do szpitala, ale będąc w wyposażeniu sanitarki defibrylator i respirator nigdy nie były potrzebne. Podczas tej selekcji najważniejszy okazał się uraz oka. Jeden z kursantów oberwał przypadkowo puszczoną gałęzią, miał podrażnioną spojówkę i rogówkę. Mimo dokuczliwego urazu nie chciał przerwać kursu i go zaliczył.

„Najczęstsze problemy to skręcenia stawów oraz odnawiające się stare kontuzje i niedoleczone urazy. Zanim więc ktoś zdecyduje się na selekcję, powinien gruntownie doprowadzić do porządku swój organizm. Natomiast już w górach kolosalne znaczenie odgrywa profilaktyka. Proponuję zatem

każdemu dobre pudry i kremy zabezpieczające przed otarciami”, mówi lekarz.

W AWANGARDZIE

Każdy z instruktorów robił wrażenie na kursantach: kondycyjnie lepszy od nich, lepiej zorientowany w terenie, lepiej przygotowany do wędrowki. Jeden z nich – P., czwarty raz prowadzący selekcję, w mundurze chodzi od 11 lat, a w wojsku jest od trzech. Do Agatu trafił z oddziału specjalnego z resortu spraw wewnętrznych. „Zaliczam bieszczadzkiego »Rzeźnika« i inne biegi długodystansowe. Moja własna selekcja była świetną przygodą. Wtedy pierwszy raz dostałem wojskową eskę – bardzo fajne żarcie. W górach robiłem to, co od dawna było moim hobby, tylko walka szła o większą stawkę. Chodziło o dostanie się do jednostki”, opowiada P. Wykorzystując własne doświadczenie sportowe, w czasie selekcji zwraca uwagę na potencjał kandydatów. „To muszą być goście z pazurem. W mojej grupie był dobry kandydat, po dwóch misjach w Afganistanie, dobry kondycyjnie, ale nie radził sobie z mapą. Po podsumowaniu kilku etapów zajmował przedostatnie miejsce. Powiedziałem mu, że dostanie szansę, jeśli końcowy maraton zaliczy w pierwszej trójce. Doszedł jako pierwszy”, relacjonuje P.

Pechowcami okazało się trzech żołnierzy. Odpadli, bo w czasie przedostatniej konkurencji, czyli maratonu według mapy, pomylili kierunki. Dwóch było niezdecydowanych, trzeci przekonał ich, gdzie trzeba iść, ale wskazał złą drogę. „Przez kilkanaście godzin nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje. A oni przez całą noc błądzili po lasach. Odnaleźli się nad ranem. Teraz uważają się za przegranych, ale jak każdy z nich przeanalizuje własne działania i wyciągnie wnioski, to w następnej selekcji będą liderami”, uważa P. Wtóruje mu R. – instruktor w czasie czterech selekcji. „Kandydaci przechodzą testy na inteligencję, ale ważny jest jeszcze spryt”, uważa R., który do Gliwic trafił z innej jednostki specjalnej, a w wojsku służy od 2000 roku. Wszyscy natomiast zgodnie podkreślają, że źródłem sukcesu jest motywacja i wola walki. „Pochodzę ze wschodniej Polski. W domu było biednie, rodzice nauczyli mnie szacunku do tego, co mam. Na jedną z selekcji przyjechał chłopak bez spiwora. Przemarzał w nocy i odpadł. Myślałem, że to cwaniak, który myślał, że wytrzyma w każdych warunkach. Okazało się, że ma skomplikowaną sytuację w domu i nie stać go na kupno sprzętu, a wojskowego nie miał. Po pół roku wrócił z solidnym spiworem i kurs zaliczył”, opowiada M. Dodaje, że w górach obserwuje, jak żołnierz „jest ułożony”: w jaki sposób zwraca się do kolegów i przełożonych.

M. w mundurze chodzi od 1997 roku. Cztery razy był w Afganistanie, cztery w Bośni, raz w Iraku. Chciał służyć w jednostce specjalnej, bo na misjach zobaczył, że to inne wojsko. „Wcześniej odnosiłem takie wrażenie, że człowiek się nie liczył. Ważne było wykonanie zadania. U specjalsów obowiązuje inna filozofia. Bezpieczeństwo żołnierzy to priorytet. Na misji mieszkaliśmy obok żołnierzy z Lublińca. Podobało mi się, że nikt nie wtrącał się im do roboty. Dostawali zadanie, sami je planowali i wykonywali. Zazdrościłem im zabezpieczenia, swobody, zaufania dowódców do umiejętności podwładnych. Chciałem mieć taki komfort w czasie służby”, przekonuje. Będąc kolejnym raz na selekcji, M. ma wpływ na to, kto trafi do gliwickiej specjednostki. Później, szkoląc nowicjuszy, wpaja im zasady ważne w tej robocie. Przykłada swoją, niewielką cegiełkę do budowy Agatu. Tak samo, jak pozostali selekcjonerzy. ■

kadr



|BALTIC AIR POLICING|

BARTOSZ BERA

PODNIĘBNY PATROL

Zanim PKW „Orlik VI” dotarł na Litwę, nieba państw bałtyckich strzegli Portugalczycy oraz Kanadyjczycy, operujący z bazy Szawle, wspierani przez Niemców w Amari i Holendrów w Malborku.



Kanadyjski CF-18 i portugalski F-16 w niskim przelocie nad drogą startową bazy w Szawlach. Zwracają uwagę, oznaczone żółtymi pasami, rakiety AIM-9 i AIM-120 z głowicami bojowymi.

BARTOSZ BERA

WIĘKSZOŚĆ MEDIÓW
W BŁĘDNY SPOSÓB
PRZEDSTAWIA
SYTUACJĘ NA NIEBIE
PAŃSTW BAŁTYCKICH.
ROSIJANIE TAK
NAPRAWDĘ RZADKO
NARUSZAJĄ ICH
PRZESTRZEŃ
POWIETRZNĄ



BARTOSZ BERA (3)

W kontyngencie portugalskim latał też Belg – znany byłym pilotom pokarów lotniczych pilot Michel „Mitch” Beulen – służący w portugalskich siłach powietrznych w ramach wymiany.

E

skalacja konfliktu na Ukrainie wiele zmieniła również w samej misji „Baltic Air Policing”. Okazało się, że dotychczasowy model kontroli przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii, według którego cztery samoloty jednego z państw NATO operowały z bazy Szawle, jest niewystarczający. Po wzmocnionej Anglikami, Francuzami i Duńczykami rotacji polskiej (PKW „Orlik V”) przyszła kolej na zmianę 36., którą nominalnie mieli objąć Portugalczycy na swoich F-16 z Monte Real. Sojuszników zdecydowali się wspomóc Kanadyjczycy, którzy już od wiosny przebywali w rumuńskiej bazie Cămpia Turzii ze względu na operację „Reassurance”.

W tyle nie pozostali również Niemcy, którzy przetrzucili swoje cztery typhoony do estońskiej bazy Amari; tym posunięciem zadali kłam doniesieniom prasy, która alarmowała, że niemieckie EF-2000 nie będą w stanie wypełnić tej misji. Do tego grona przyłączyli się Holendrzy, operujący z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku.

Zadania misji pozostały takie same, ale wykonywano je znacznie częściej. Przy czym trzeba wziąć poprawkę na to, że większość mediów w błędny sposób przedstawia sytuację na niebie państw bałtyckich. Rosjanie bardzo rzadko naruszają ich przestrzeń powietrzną – w 2014 roku taki incydent miał miejsce kilkakrotnie tylko w wypadku Estonii. Zwykle po prostu latają nad wodami międzynarodowymi z wyłączonymi transponderami, a wcześniej nie przedstawiają planów. Stwarza to realne zagrożenie dla ruchu lotniczego. Zadaniem załóg pełniących dyżur w „Baltic Air Policing” jest przechwycenie tych samolotów i ich identyfikacja. Dowódca kanadyjskiego komponentu płk David Pletz zapytany, jak czują się jego żołnierze w roli takich europejskich powietrznych policjantów, odparł: „Nie jest to dla nas nic nowego, podobne zadania wykonujemy w ramach NORAD [kanadyjsko-amerykański system obrony powietrznej]. A jak się czujemy? Jak dzieci w sklepie ze słodyczami – świetnie”.

kadr

W MISJACH
AIR POLICING
KLUCZOWA JEST
IDENTYFIKACJA
WZROKOWA.
DO TEGO SŁUŻĄ
ZASOBNIKI
CELOWNICZE
WSPOMAGAJĄCE
PILOTA

Przymiarki do rozbudowy Nadbrzeżnego Dywizjonu Rakietowego (NDR) trwały już od kilku lat. W kwietniu 2014 roku, kiedy minister Tomasz Siemoniak podpisał decyzję o sformowaniu Morskiej Jednostki Rakietowej (MJR) podległej 3 Flotylli Okrętów w Gdyni, prace nabrały tempa. W połowie lipca 2014 roku Inspektorat Uzbrojenia ogłosił uruchomienie procedury zakupowej. Negocjacje prowadzono w trybie zamkniętym; rozmawiano tylko z firmą Kongsberg, czyli producentem rakiet Naval Strike Missile (NSM). Było to oczywiste – potrzebna była broń tego samego typu, który kupiono wcześniej.

Pierwszy kontrakt na tę broń zawarto pod koniec 2008 roku. Formalnie została ona wprowadzona do uzbrojenia Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej rozkazem szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego 26 listopada 2013 roku. Rakiety NSM są podstawowym uzbrojeniem NDR, który funkcjonuje od stycznia 2011 roku. W połowie roku 2013, po zakończeniu testów poligonowych, jednostka osiągnęła gotowość techniczną do działań, ale wszystkie rakiety otrzyma do 2016 roku.

DRUGIE ZAMÓWIENIE

9 grudnia 2014 roku zakończono negocjacje z Norwegami, a dziesięć dni później została zawarta umowa na dostawy kolejnego NDR-u dla marynarki wojennej. Podpisali ją zastępca szefa Inspektoratu Uzbrojenia Jan Woźniak oraz prezes norweskiej firmy Kongsberg Defence Systems Harald Ånnesstad. Rangę tej uroczystości podkreślała obecność wicepremiera, ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka, sekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Czesława Mroczyka oraz ambasadora Norwegii w Polsce Karstena Klepšovika.

Wartość kontraktu to około 800 mln zł. Głównym beneficjentem offsetu będą Wojskowe Zakłady Elektroniczne SA (w Zielonce pod Warszawą powstanie centrum serwisowania rakiet). Skorzystają z niego także inne polskie firmy, które dostarczyły sprzęt dla pierwszego NDR-u. Tym razem MON kupiło 24 rakiety dla tylko jednej baterii, ale i tak oznacza to pełną jednostkę ognia. Dotychczas pozyskano, choć na raty, 48 rakiet, ale też sześć wyrzutni, każda z czterema pociskami (razem dwie baterie). Siła salwy NDR-u wynosi więc 24 rakiety, a z powtórным przeładowaniem daje to właśnie jednostkę ognia. Teraz nowe wyrzutnie będą tylko trzy, co daje siłę salwy 12 rakiet.

Umowa obejmuje też wyposażenie dywizjonu w zasadniczy sprzęt, czyli 23 specjalistyczne pojazdy, między innymi: wozy dowodzenia, wozy kierowania środkami walki, wyrzutnie rakietowe, mobilne centra łączności, samochody transportowo-załadawcze oraz ruchome warsztaty remontowe. Dostawy rakiet są przewidziane w latach 2017–2018, czyli zaraz po dostarczeniu pocisków z pierwszego kontraktu. Termin realizacji zamówienia to 29 maja 2018 roku. Oznacza to, że dopiero po tym czasie MJR osiągnie pełną gotowość bojową. Docelowo oprócz zestawów z bateriami pocisków ziemia–woda w jej wyposażeniu mogłyby się znaleźć jeszcze przeciwlotnicze zestawy rakietowe Narew w autonomicznej baterii przeciwlotniczej.

ANATOMIA SYSTEMU

Sam pocisk NSM jest bronią przeciwokrętową typu „wyrzuteł i zapomnij” (po wcześniejszym wprowadzeniu lokalizacji celu). Zaprojektowano go tak, aby był trudno wykrywalny przez radary. Startuje z wyrzutni z pomocą silnika rakietowego,



NORBERT BĄCZYK
TADEUSZ WRÓBEL

Większa siła rażenia

Dzięki drugiemu dywizjonowi rakiet NSM Morska Jednostka Rakietowa w Siemirowicach stanie się w najbliższych latach jedną z najnowocześniejszych w całej armii.

a następnie porusza się dzięki silnikowi odrzutowemu. Rakieta w czasie lotu poddźwiękowego z prędkością do 0,9 Ma może manewrować (także na niewielkiej wysokości), a w końcowej fazie ataku na cel jest sterowana przez pasywny, termiczny układ samonaprowadzania. Pocisk, o masie całkowitej 400 kg, ma głowicę bojową o wadze 120 kg. Nie jest ona zbyt wielka, ale w zupełności wystarczająca w wojnie morskiej. Używane do rażenia stacjonarnych celów lądowych kierowane bomby lotnicze czy pociski manewrujące mają na ogół cztery razy cięższe głowice bojowe. Traktowanie NSM jako czegoś więcej



KONGSBERG DEFENCE

**NSM Z POLSKIEGO
WYBRZEŻA MOŻE
SIĘGNAĆ NIEMAL
BRZEGÓW SZWECJI,
A TO OZNACZA FAKTYCZNĄ
BLOKADĘ RUCHÓW FLOT
I STATKÓW NA BAŁTYKU**

niz broń przeciw okrętom jest zatem do pewnego stopnia nieporozumieniem.

Na system bojowy NDR-u składają się wozy dowodzenia (Command Vehicle – CV). Jeden jest na szczeblu dywizjonu (Squadron Command Vehicle – SCV), dwa – baterii (Battery Command Vehicle – BCV) i sześć Combat Command Vehicle – CCV. Ponadto są w nim trzy ruchome węzły łączności (Mobile Communication Centre – MCC), sześć wozów rakietowych (Missile Launch Vehicle – MLV) oraz dwa pojazdy ze stacjami radiolokacyjnymi TRS-15C. Wszystkie jako nośniki →

wykorzystują ciężarówki Jelcz, co umożliwia jednostce szybką zmianę miejsca dyslokacji. Służą także jako pojazdy załadowcze, przewożące zapasowe pociski.

Kluczowym elementem NDR-u są trzy wozy łączności cyfrowej MCC, które zapewniają komunikację dla dowództwa dywizjonu i obu baterii ogniowych oraz utrzymują łączność zewnętrzną (zautomatyzowany system dowodzenia Łeba, system teleinformatyczny MIL-WAN, podsystem cyfrowej łączności utajnionej Storczyk, łączność HF, UHF), w tym w ramach sieci sojuszniczej Tactical Data Link 11 A/B, a docelowo Link 16. System łączności, oczywiście szyfrowanej, jest wielokrotnie dublowany. Pojazdy MCC pracują na rzecz wozów dowodzenia SCV i BCV (wspomniane pojazdy dowodzenia mają takie same charakterystyki), do których i poprzez które przesyła się wiele informacji oraz komend.

Dzięki temu w NDR-ze funkcjonuje sieć wymiany danych: jedna nadrzędna na rzecz dywizjonu i dwie dla baterii ogniowych. W razie zniszczenia jednej z nich, jej rolę może przejąć inna, a i po jej unieszkodliwieniu, kolejna. Ponadto w każdej baterii, oprócz wozów MCC i BCV, są jeszcze trzy wozy dowodzenia (CCV), które wraz z trzema MLV tworzą trzy zespoły ogniowe. Ponieważ obecnie są dwie baterie, łącznie NDR składa się z sześciu wyrzutni MLV, z których każda jest uzbrojona w cztery pociski raketowe. Razem daje to 24 rakiety

NSM, czyli potężną siłę ognia. Do każdej baterii jest przypisany również jeden radar TRS-15C. Pomimo posiadania dwóch takich stacji radiolokacyjnych oraz radaru mobilnego Nur-22 dla baterii przeciwlotniczej (uzbrojonej w armaty ZU-23-2 i ręczne przenośne zestawy raketowe Grom), NDR jest uzależniony w dziedzinie rozpoznania i określania celów na morzu od informacji otrzymywanych z zewnątrz. Wynika to z tego, że w śledzeniu celów morskich TRS-15C ma ograniczony zasięg do około 50 km, podczas gdy sam pocisk raketowy NSM może razić cele oddalone o 18–200 km od wyrzutni. Aby zatem zdobyć informacje o lokalizacji dalszych celów, do dywizjonu muszą służyć dane na przykład z samolotów, śmigłowców, aparatów bezzałogowych czy okrętów. Przekazane w ten sposób do SCV, są kierowane do BCV, a następnie do CCV.

Należy zatem pamiętać, że NDR ma wartość przede wszystkim jako część większego systemu, dysponującego na poziomie operacyjnym skutecznymi środkami rozpoznania, najlepiej lotniczymi. W wariantcie idealnym mógłby natomiast działać pod parasolem raketowego systemu obrony przeciwlotniczej, współpracując z lotnictwem rozpoznawczym i uderzeniowym, w tym z aparatami bezzałogowymi. W razie braku takiego systemu dywizjon nie pozostaje bezbronny, bo nawet oderwane od sił głównych pojedyncze zespoły mogą prowadzić ogień. Będą to jednak strzelania wyłącznie do celów bliskich. ■

Jak to robią na świecie

Po zakończeniu zimnej wojny większość państw europejskich zrezygnowała z rozmieszczonych na lądzie zestawów raketowych typu ziemia-woda.

Śpośród członków NATO utrzymują je, oprócz Polski, Bułgaria i Chorwacja. Niemniej jednak należy brać pod uwagę to, że najważniejsze państwa sojuszu mają bardzo silne siły morskie i lotnictwo, które przy zupełnie innym położeniu geopolitycznym niż nasze zapewniają bezpieczeństwo wybrzeży. Nie można wykluczać, że zmieniająca się sytuacja w dziedzinie bezpieczeństwa w Europie spowoduje, że niektóre z państw mających długie wybrzeża morskie przywrócą ten rodzaj uzbrojenia. Rozmieszczone na lądzie pociski przeciwokrętowe są szczególnie groźne nad małymi, zamkniętymi akwenami; te o zasięgu kilkuset kilometrów mogą sparaliżować ruchy sił nawodnych przeciwnika (NSM z polskiego wybrzeża może sięgnąć niemal brzegów Szwecji, a to oznacza fak-

tyczną blokadę ruchów flot i statków na Bałtyku).

Przykładem państwa, które rozwija nadbrzeżne jednostki raket, jest Iran. Stara się w ten sposób zniwelować przewagę sił morskich potencjalnych przeciwników. Rozmieszczone w pobliżu cieśniny Ormuz pociski przeciwokrętowe mogą w razie konfliktu doprowadzić do zablokowania Zatoki Perskiej, przez którą przechodzi większość tankowców z ropą naftową z Bliskiego Wschodu.

Największymi producentami i użyt-

kownikami przeciwokrętowych pocisków bazowanych na lądzie są Rosja i Chiny. Moskwa kilka lat temu zapowiedziała rozmieszczenie na Wyspach Kurylskich systemu Bastion z raketami naddźwiękowymi P-800 Oniks o zasięgu do 300 km. Dla Pekinu groźną bronią są z kolei manewrujące rakietki YJ-85 (C-805), które wyeksportowano do kilku państw, w tym Iranu. Ich operacyjny zasięg wynosi około 500 km.

Także Japonia, choć ma bardzo silne siły morskie, w ramach wzmocnienia obrony swych wybrzeży przed niespodziewanym atakiem w ostatnich latach zamawia nowe wyrzutnie. Obecnie w strukturze Japońskich Lądowych Sił Samoobrony jest pięć pułków z pociskami **typu 88** (na zdjęciu). W tym wypadku na samochodowej wyrzutni znajduje się sześć raket o zasięgu do 180 km. ■



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Poszukiwacze min

ORP „Mewa” to kolejny polski okręt w Stałym Zespole Sił Obrony Przeciwminowej NATO.

Szczególnej zmiany nie odczuwamy. Wynika to z charakteru służby w naszym dywizjonie, gdzie zajęć jest mnóstwo. W efekcie i tak właściwie przez cały czas pozostajemy w gotowości”, przyznaje kpt. mar. Michał Dziugan, dowódca ORP „Mewa”. 1 stycznia 2015 roku polski niszczyciel min rozpoczął roczny dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO. Teraz, gdy przyjdzie sygnał do działania, okręt musi wyruszyć na morze w ciągu siedmiu dni.

Jednak i bez tego w połowie lutego opuści macierzysty port na cztery długie miesiące. Dołączy wówczas do Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO (SNMCMG1). Można zaryzykować twierdzenie, że historia w pewnym sensie zatoczy koło. ORP „Mewa” to pierwszy okręt pod białoczerwoną banderą, który służył w zespole. I pierwsza polska jednostka, nad którą załopotała flaga NATO.

POLSKA RUSZA NA ZACHÓD

SNMCMG1 to najstarszy ze stałych zespołów natowskich. Został powołany 11 maja 1973 roku w Ostendzie. Początkowo w jego skład wchodziły okręty z Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii i Belgii. Miały strzec bezpieczeństwa na kanale La Manche (sam zespół nosił wówczas nazwę Stałe Siły Morskie Kanału Angielskiego). Gdyby jednak doszło do konfliktu z państwami Układu Warszawskiego, okręty zostałyby skierowane na Morze Północne.

Stopniowo rejon działania zespołu systematycznie się powiększał, a swoje jednostki na misję wysyłały kolejne państwa. W 2002 roku dołączyła do nich Polska. Załogi okrętów krajów, które do niedawna znajdowały się po przeciwnej stronie politycznej i wojskowej barykady, teraz miały ze sobą współpracować.

Załoga ORP „Mewa” już wcześniej zdążyła się otrzeć o nową rzeczywistość. W 1999 roku, dosłownie dzień po podpisaniu dokumentów pieczętujących wstąpienie Polski do NATO, ćwiczyła na Bałtyku z okrętami niemieckimi. Ale i tak Polaków czekał skok na głęboką wodę. „Kiedy wchodziliśmy do zespołu, tak naprawdę nie wiedzieliśmy, czego możemy się spodziewać, jakie procedury w nim obowiązują i jak bardzo różnią się od tych, które stosowaliśmy na co dzień”, wspomina kmdr ppor. Arkadiusz Kurdybelski, szef sztabu w 13 Dywizjonie Trałowców, który trzynaste lat temu w załodze ORP „Mewa” pełnił funkcję dowódcy jednego z okrętowych działów. „Oczywiście mieliśmy instrukcje, ale przecież, by poznać jakiś mechanizm, trzeba na własne oczy

zobaczyć, jak działa”, dodaje. Ponadto polscy marynarze z „Mewy” oswajali się nie tylko z NATO. Tak naprawdę poznawali również własny okręt. U progu nowego wieku trałowce projektu 206F przeszły gruntowną modernizację, by stać się właśnie niszczycielami min.

ORP „Mewa” dołączyła do zespołu we wrześniu. „Misja była w sumie krótka. Trwała półtora miesiąca. Operowaliśmy tylko na Bałtyku – Litwa, Łotwa, Finlandia i, o ile dobrze pamiętam, także Rønne na wyspie Bornholm”, opowiada kmdr ppor. Kurdybelski. „Pierwszy krok został zrobiony, a my przekonaliśmy się, że pod wieloma względami wcale nie odstawiamy od sojuszu, że mamy niezłe wyszkolonych marynarzy”.

Potwierdza to kmdr por. Piotr Sikora, dziś dowódca 13 Dywizjonu, który pierwszą misję pod flagą NATO zaliczył rok później. Do zespołu wszedł wówczas dowodzony przez niego niszczyciel min ORP „Flaming”. „Czasem potrafiliśmy pozytywnie zaskoczyć naszych partnerów zastosowaniem procedur wywodzących się jeszcze z czasów Układu Warszawskiego”, tłumaczy. Zaraz jednak dodaje, że pierwsze lata w zespole to przede wszystkim nauka. „Pamiętam, że w 2004 roku, kiedy służyłem już na ORP »Czajka«, bardzo chcieliśmy spróbować tankowania okrętu w ruchu. Niestety, nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu. Udało się jednak uprosić norweskiego dowódcę zespołu, by przysłał nam na pokład taką aparaturę i ludzi, którzy pokazaliby, jak to wszystko działa. I w trakcie przejścia przez Bałtyk przećwiczyliśmy tę procedurę, oczywiście na sucho, bez podawania paliwa. Byliśmy jednak już o tę jedną rzecz mądrzejsi”, opowiada kmdr por. Sikora.

Nauka wiązała się z wprowadzeniem mnóstwa zmian. Często pozornie tylko drobnych. Przykład? W czasie pożaru na pokładzie do zadymionego pomieszczenia wchodził marynarze ze sprzętem gaśniczym. Koledzy, którzy pozostali na zewnątrz, utrzymywali z nimi kontakt dzięki systemowi sygnałów wysyłanych za pośrednictwem linek. „Ale przecież linka w trakcie pożaru może się przepalić. W jej miejsce lepiej więc wprowadzić system łączności bezprzewodowej”, tłumaczy kmdr por. Sikora. Modyfikacje dotyczyły nie tylko walki z pożarem, lecz także obrony przeciwlotniczej, zwalczania min i wielu innych dziedzin. Wiązały się choćby z wprowadzaniem nowego sprzętu. „Oczywiście zmiany na tym się nie kończą. Procedury w zespole są doskonalone przez cały czas, regularnie wcho-

dzą nowe dokumenty. Przez te wszystkie lata zdołaliśmy się już jednak wdrożyć w pewien system, poznaliśmy mechanizm i przyswajanie nowości nie stanowi już dla nas problemu”, zaznacza kmdr por. Sikora.

OD ROSJI PO AMERYKĘ

Już trzynaście lat polskie niszczyciele min służą regularnie w SNMCMG1. Dwukrotnie zespołem dowodzili polscy oficerowie, jego okrętem flagowym była zaś jednostka dowodzenia ORP „Kontradmirał Xawery Czernicki”.

Okręty wchodzące w skład SNMCMG1 operują na Bałtyku, Morzu Północnym i w północnej części Oceanu Atlantyckiego. „Kiedy dowodziłem zespołem, odwiedziliśmy na przykład Islandię”, wspomina kmdr por. Sikora. Co pewien czas okręty zespołu zawijają do portu w Stanach Zjednoczonych. W przeszłości zdarzało się też, że wykonywały zadania w okolicach Hiszpanii, Portugalii, na Morzu Śródziemnym. Ważną funkcją SNMCMG1 jest prezentacja bander – zarówno narodowych, jak i tej natowskiej – demonstrowanie stałej obecności i gotowości do działania w tym rejonie świata. „W myśl niepisanej reguły każdego roku zespół stara się odwiedzić wszystkie znajdujące się w regionie państwa członkowskie”, zaznacza kpt. mar. Dziugan. Niespełna dwa lata temu natowskie okręty zawinęły nawet do portu w Sankt Petersburgu, a potem ćwiczyły z jednostkami Floty Bałtyckiej. Dziś brzmi to trochę, jak bajka.

Przed wszystkim jednak SNMCMG1 ma czuwać nad bezpieczeństwem żeglugi w północnej części Europy. Załogi muszą być też przygotowane do udziału w konflikcie zbrojnym albo w misji humanitarnej. Takie przedsięwzięcia wymagają jednak dodatkowej zgody państwa, do którego należy okręt. Polscy marynarze przyznają, że w trakcie służby w zespole nigdy tego nie doświadczyli, choć kilka razy sytuacja międzynarodowa była bardzo napięta. Wystarczy wspomnieć 2011 rok i natowską interwencję w Libii czy też kryzys wywołany przez wojnę domową w Syrii.

Nie oznacza to jednak, że absolutnie wszystkie działania zespołu są podyktowane przygotowanym wcześniej planem. „Misja wymaga dużej elastyczności”, przyznaje kmdr por. Sikora i wspomina przywołaną już wyprawę na Islandię: „Wyruszyliśmy tam, by ćwiczyć z miejscową strażą przybrzeżną. A już na miejscu się okazało, że Islandczycy mają spory pro-



**TO TA JEDNOSTKA
JAKO PIERWSZA
REPREZENTOWAŁA
BIAŁO-CZERWONĄ
BANDERĘ
W STAŁYM
ZESPOLE
SIŁ OBRONY
PRZECIWMINOWEJ
NATO**

blem z zalegającymi na dnie pozostałościami po II wojny światowej”, wspomina dowódca 13 Dywizjonu. W trakcie ćwiczeń jeden z okrętów zespołu natrafił na starą minę. Trening przerodził się w operację bojową. Ostatecznie mina została zniszczona.

Podobna historia wiąże się z organizowaną od lat operacją „Beneficial Cooperation”, która polega na usuwaniu niewybuchów i starych min z wód Morza Północnego w okolicach Holandii, Belgii i Wielkiej Brytanii. A wszystko zaczęło się od interwencji NATO po tym, gdy trzech holenderskich rybaków zginęło w eksplozji przypadkowo wyłowionej bomby.

Ostatni dowód owej elastyczności mieliśmy na początku 2014 roku. W myśl poczynionych wcześniej ustaleń, okręty miały wyruszyć na morze dopiero w drugiej połowie. Jednak działania Rosji na wschodzie Ukrainy i przy granicach z państwami NATO sprawiły, że sojusz postanowił szybciej zademonstrować swoją obecność na Bałtyku.

CZAS KORMORANA

Można zakładać, że wzmożona aktywność rosyjskich marynarki i lotnictwa będzie też towarzyszyła kolejnej misji SNMCMG1. „Ocena sytu-

acji międzynarodowej nie należy do nas. My skupiamy się na tym, by utrzymać okręt w gotowości do wykonywania wszelkich zadań, które postawią przed nami przełożeni”, zastrzega jednak dowódca ORP „Mewa” i dodaje, że przed jego załogą bardzo pracowite miesiące. Zgodnie z planem jednostka powinna wziąć udział w sześciu międzynarodowych ćwiczeniach, w tym w „Steadfast Jazz” u wybrzeży Wielkiej Brytanii, „Baltops” na Bałtyku i w dwustronnych manewrach NATO–Szwecja. Polscy marynarze mają też czyścić dno Morza Północnego i Bałtyckiego z niebezpiecznych pozostałości po ostatniej wojnie.

Zdobywane od lat doświadczenie w sposób naturalny przekłada się na funkcjonowanie marynarki. Niebawem też zyska ono bardzo konkretny wymiar. „Udział Polski w SNMCMG1 sprawił, że odżyła wizja budowy nowoczesnych niszczycieli min typu Kormoran II”, wyjaśnia kmdr ppor. Kurdybelski. Marynarze z gdyńskiego dywizjonu biorą bezpośredni udział w realizacji projektu, dzieląc się swoim doświadczeniem i podpowiadając wykonawcom konieczne, ich zdaniem, rozwiązania. Konsorcjum, na którego czele stoi gdańska stocznia Shipbuilding, wybuduje trzy takie okręty. Pierwszy ma zostać przekazany marynarce wojennej w 2016 roku. ■





JUSTYNA BALIK / 10 BKPANC

NA UNIJNYM DYŻURZE

Z gen. bryg. Cezarym Podlasińskim

o formowaniu dowództwa operacyjnego Unii Europejskiej i obowiązkach Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Centrum Operacji Lądowych – Dowództwo Komponentu Lądowego istnieje pół roku. Co się udało zrobić w tak krótkim czasie?

Z końcem 2014 roku osiągnęliśmy wstępną gotowość do działań. Skompletowaliśmy skład i teraz rozpoczynamy ostatnią fazę przygotowań. Pod koniec grudnia 2015 roku zameldują dowódcy operacyjnemu pełną gotowość. Choć pół roku to czasu niewiele, już dziś mamy pewne obserwacje dotyczące rozwiązań systemowych, w tym naszej struktury. Pracujemy nad różnymi propozycjami, także nad zmianami etatowymi.

Czego miałyby one dotyczyć?

W składzie Centrum są dziś trzy pionki: operacyjny, planowania i wsparcia. Chcielibyśmy rozbudować dwa pierwsze.

Mamy też zamiar na bazie obecnie istniejących komórek wydzielić osobny pion rozpoznania.

A czym zajmuje się Centrum Operacji Lądowych?

Jest ostatnim elementem spinającym wszystkie rodzaje wojsk lądowych, którymi w czasie kryzysu i wojny dowodzi dowódca operacyjny lub naczelny dowódca wyznaczony przez prezydenta. Obecnie centra operacji morskich, powietrznych, specjalnych i lądowych tworzą jedną całość. Naszym głównym zadaniem jest zatem utrzymywanie gotowości do dowodzenia siłami lądowymi.

Jak to wygląda w praktyce?

W zależności od zagrożenia tworzy się plan i wyznacza odpowiednią liczbę jednostek lądowych. Następnie dowódca ge- →

neralny przekazuje wskazane siły i środki w podległość dowódcy operacyjnego. Ten z kolei dowodzenie nimi ceduje na mnie, jako dowódcę komponentu lądowego. To jednak nie wszystko. Docelowo Centrum ma też osiągnąć zdolność do kierowania misjami wojsk lądowych poza granicami kraju, a także pododdziałami wydzielanymi do Sił Odpowiedzi NATO i grup bojowych Unii Europejskiej. Będziemy także uczestniczyć w określaniu wymogów dla kontyngentów wojskowych wojsk lądowych wyjeżdżających na misje.

A jak to będzie wyglądało w razie kryzysu niemilitarnego?

W czasie jakiejś dużej sytuacji kryzysowej, na przykład związanej z klęskami żywiołowymi, Centrum Operacji Lądowych pokieruje wszystkimi zgrupowaniami wydzielanymi do tych zadań. Oczywiście dotyczy to wyłącznie działania na obszarze lądowym.

Jakie zadania w wymiarze sojuszniczym wypełnia Centrum Operacji Lądowych?

Pracujemy nad tym, żebyśmy osiągnęli zdolności jako dowództwo strategiczno-operacyjne Unii Europejskiej. Od stycznia 2016 roku będziemy bowiem pełnić półroczny dyżur jako najwyższe dowództwo poziomu operacyjno-strategicznego Unii, które może dowodzić każdą operacją wojskową przez nią prowadzoną. Oczywiście decyzja o jego aktywowaniu zapada na szczeblu politycznym.

Kiedy może dojść do aktywacji takiego dowództwa?

Dyżury są pełnione przez pół roku i nie częściej niż co dwa lata. Jeżeli wybuchą konflikt humanitarny lub militarny, to Sztab Wojskowy Unii Europejskiej decyduje o wyznaczeniu dowództwa, być może tego, które akurat ma dyżur. Zasada jest też taka, że podczas półrocznej misji może ono kierować maksymalnie trzema operacjami równocześnie, przy czym działania te mogą mieć charakter połączony: powietrzny, lądowy i morski.

Czy to, że Polacy tworzą dowództwo na szczeblu Unii Europejskiej, wpłynie na zdolności obronne naszego kraju?

Posiadanie dowództwa kompatybilnego z Unią Europejską to niewątpliwie ogromny prestiż. Naszym zwierzchnikiem będzie tylko jej sztab wojskowy. Będziemy współuczestniczyć w kreowaniu głównej strategii prowadzenia misji, jeśli taka zostanie aktywowana. Polska awansuje do nielicznej grupy państw, które mają takie zdolności. W Europie dotąd tylko kilka krajów stworzyło tego typu struktury, między innymi Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Grecja. Teraz dołączy do nich Polska.

Dlaczego polskie dowództwo operacyjne Unii Europejskiej rozpocznie dyżur właśnie od stycznia 2016 roku?

Praca dowództwa opiera się na idei grup bojowych Unii. Właśnie od stycznia przyszłego roku sześciomiesięczny dyżur rozpocznie Wyszehradzka Grupa Bojowa, którą stworzą Polacy, Węgrzy, Czesi i Słowacy. Przy czym Polska jest państwem ramowym i deleguje największą liczbę żołnierzy. To naturalne, że obejmujemy dyżur z naszą grupą bojową. Nie chcemy jednak być dowództwem jednorazowym. Za dużo wysiłków i pieniędzy kosztuje stworzenie takiej struktury, by rozwiązać ją po jednym półroczu.



M. KOWALSKA - SENDEK

Naszym głównym zadaniem jest utrzymywanie gotowości do dowodzenia siłami lądowymi

Jak wygląda praca takiego dowództwa? Czy to struktura mobilna?

Swoją siedzibę dowództwo będzie miało w Krakowie na terenie Centrum Operacji Lądowych. Nie będzie to instytucja mobilna. Już za kilka tygodni rozpoczniemy potrzebne remonty i rozbudowę niektórych obiektów. Dowództwo zostanie wyposażone w nowoczesne systemy informatyczne i łączności. Umożliwią one kontakt ze sztabem Unii Europejskiej w Brukseli oraz z dowództwem grupy bojowej, jeśli ta rozpocznie jakąś operację. Oprócz tego musimy mieć stałą łączność ze wszystkimi państwami Grupy Wyszehradzkiej. Środki na budowę dowództwa przeznaczyło Ministerstwo Obrony Narodowej. Być może docelowo w części kosztów będzie partycypować także Unia Europejska.

Kto stworzy nowe dowództwo Unii Europejskiej?

Odpowiadam za stworzenie, przygotowanie i wyszkolenie międzynarodowego dowództwa. W jego skład wejdzie około 300 osób. Będzie ono zbudowane głównie na bazie Centrum Operacji Lądowych, ale dodatkowo swoje siły na potrzeby nowej struktury będą delegować Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych, Dowództwo Generalne RSZ i MON oraz kraje członkowskie Grupy Wyszehradzkiej, czyli Czechy, Słowacja i Węgry. To wcale nie oznacza, że wspomniani specjaliści będą służyć w Krakowie od stycznia do czerwca 2016 roku. Przez cały najbliższy rok będziemy się spotykać na różnego rodzaju szkoleniach, kursach i warsztatach. Kluczowy personel dowództwa liczy około 40 osób. To kadra Centrum Operacji Lądowych. To że są na miejscu w Krakowie, ułatwi nam pracę. Jeżeli zapadną sto-

sowne decyzje, to całe dowództwo będzie aktywowane w ciągu kilku dni.

W jaki sposób przygotowujecie się do dyżuru?

Skorzystamy z doświadczeń Niemców i Francuzów, będziemy czerpać też z wiedzy Greków, którzy niebawem kończą dowodzenie operacją w Republice Środkowoafrykańskiej. Spotkamy się między innymi z fachowcami ze sztabu Unii Europejskiej, by rozszerzać swoją wiedzę o prawie humanitarnym oraz rozmawiać o finansowych i logistycznych aspektach misji. Utrzymujemy stały kontakt między innymi z gen. bryg. Rajmundem Andrzejczakiem, który dwa lata pełnił dyżur w ramach grupy bojowej Unii Europejskiej, a teraz jako zastępca dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej współodpowiada za formowanie kolejnej grupy bojowej, którą wystawia 12 Brygada Zmechanizowana. Pod koniec 2015 roku pojedziemy także do Brukseli, by tam przygotowywać potencjalne scenariusze naszego działania, analizować zagrożenia bez wskazywania konkretnych obszarów i zaangażowanych sił. Jestem spokojny o nasze kwalifikacje. Mamy jeszcze sporo czasu, by uzupełnić niezbędną wiedzę. Poza tym w Polsce mamy doświadczoną kadrę po misjach na Bałkanach, w Czadzie, Iraku, Afganistanie, a teraz w Republice Środkowoafrykańskiej. Ja byłem szefem sztabu dywizji w Iraku, dowodziłem kontyngentem w Afganistanie. Trzeba tylko sięgnąć po swoje doświadczenia, bo cel mamy jasno wyznaczony.

À propos doświadczeń z misji. W 2014 roku obronił Pan rozprawę doktorską o wpływie struktury Polskich Sił Zadaniowych w Afganistanie na prowadzenie zadań niemilitarnych. Jak to zagadnienie przekłada się na Pana dzisiejsze obowiązki służbowe?

Istotne jest podejście do misji. Do tej pory przeważało myślenie o sile pododdziałów bojowych, o działaniach typowo kinetycznych, czyli o obronie i natarciu. Z moich doświadczeń wynika natomiast, że to nie zawsze się sprawdza. Czasami dobre kontakty, ulotka, audycje radiowe, opracowane w odpowiednim czasie, mogą więcej zdziałać niż batalion czy brygada. Trzeba umieć wychwycić jednak te momenty, w których niezwykle istotne jest podjęcie działań niemilitarnych. Przed konfliktem, żeby do niego nie dopuścić, lub po jego zakończeniu, przy odzyskaniu terenu. Jeśli przyjdzie mi dowodzić misją Unii Europejskiej, na pewno tę wiedzę wykorzystam w praktyce, tak jak to robiłem w Afganistanie.

Wróćmy do dyżuru w Unii Europejskiej. Jakiego rodzaju misje mogą Was czekać?

Trudno dziś powiedzieć, co się wydarzy w Europie za rok czy dwa lata. Ciężko też mówić o potencjalnych obszarach misji czy jej charakterze. Dziś mamy natowską misję w Kosowie. Poza tym wojska są w Afryce i na Litwie. Jedno jest pewne. Musimy być gotowi do kierowania operacją stabilizacyjną, pokojową, humanitarną i bojową. Możemy dowo-

dzić wojskami w operacji, która odbędzie się w promieniu 6 tysięcy kilometrów od Brukseli.

Zanim jednak zameldujecie w Brukseli pełną gotowość do dyżuru, czeka Was certyfikacja.

Rzeczywiście, choć teraz jeszcze nie mogę powiedzieć, czy będzie to certyfikacja na poziomie narodowym, czy uijnym. Czekamy w tej sprawie na wskazówki z Brukseli.

A co jeśli grupa bojowa nie będzie aktywowana? Przygotowania pójdą na marne?

Absolutnie nie. Oczywiście może się zdarzyć, że nie zostanie ona aktywowana. To jednak niczego nie przekreśla. Umiejętności nigdy się nie marnują. Osiągamy unikatowe zdolności i uprawnienia. Być może w przyszłości będziemy mogli wykorzystać swoją wiedzę. Oprócz tego trzeba pamiętać, że jeśli dowództwa i jednostki są gotowe do użycia, jest to wartościowe z kilku powodów. Przede wszystkim może to być element odstraszania dla potencjalnego przeciwnika. Inna rzecz, że lepiej mieć jednostki gotowe w kilka dni do akcji, niż tworzyć na poczekaniu pododdziały i się zastanawiać, kto nimi pokieruje w walce.

Obowiązki związane z formowaniem nowego dowództwa pokrywają się w czasie z pracą Centrum Operacji Lądowych. Jak to pogodzić?

Działamy wielotorowo: zajmujemy się pracą zmierzającą do osiągnięcia pełnej gotowości Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego, ale także ciągle utrzymujemy gotowość do działania w razie sytuacji kryzysowych w aspekcie pozamilitarnym. I ostatnie zadanie to tworzenie dowództwa operacyjnego Unii Europejskiej. Część ludzi ma tak rozłożone obowiązki, by się zajmować kilkoma sprawami jednocześnie. Zająć mamy naprawdę dużo. Nie pamiętam już, kiedy wyszedłem z pracy przed godziną 16. Może w sobotę? Absolutnie jednak nie narzekam, bowiem wyzwania mobilizują do jeszcze większego wysiłku.

Ale i to nie wszystko. Przed Centrum Operacji Lądowych dwa duże poligony.

Kursy, szkolenia w kraju i za granicą, warsztaty eksperckie to nie wszystko. Będziemy ćwiczyć także na poligonach. Już w kwietniu odbędą się ćwiczenia dowódczo-sztabowe, w których razem z pozostałymi dowództwami komponentów będziemy głównymi uczestnikami. Jesienią weźmiemy udział w ćwiczeniach Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych „Dragon”. To dla nas doskonała okazja, żeby sprawdzić się w działaniu. W kolejnym roku z kolei będziemy na ćwiczeniach Dowództwa Operacyjnego „Anakonda”, gdzie, podobnie jak wcześniej, COL będzie dowodzić komponentem lądowym. To novum w dowodzeniu. Dotychczas dowódca operacyjny kierował działaniami komponentów morskich i powietrznych oraz całością wojsk lądowych. Teraz będzie dowodził czterema dowódcami komponentów. ■

WIZYTÓWKA

GEN. BRYG. DR CEZARY PODLASIŃSKI

Od 1 lipca 2014 roku jest dowódcą Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego. Wcześniej służył w Sztabie Generalnym WP i Dowództwie Wojsk Lądowych. W lipcu 2006 roku na VII zmianie PKW Irak (2006–2007) objął stanowisko szefa sztabu w Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe. Po powrocie do kraju pełnił obowiązki szefa Centrum Dowodzenia w Dowództwie Operacyjnym. Od lipca 2011 roku dowodził 10 Brygadą Kawalerii Pancerniej w Świętoszowie, z którą dwa lata później wyjechał do Afganistanu – był dowódcą XIV zmiany PKW.



MIROŚLAW RÓŻAŃSKI

Wyboista droga

Kierunki zmian w systemie dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi wyznaczone przed prawie 15 laty nie odbiegają od głównych założeń dzisiejszej reformy.

Przez jakiś czas reforma systemu kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP budziła wiele emocji. Głosy krytyki, które można było usłyszeć, wynikały albo z niedoinformowania, albo niezrozumienia istoty sprawy, a być może – po prostu – z troski o funkcjonowanie systemu po zmianach. Nie chcę dokonywać ocen, ale spróbuję przenieść się w czasie, żeby pokazać genezę reformy, mechanizmy, jakie wprowadziły ją w ruch, oraz wspomnieć o ludziach, którzy niejednokrotnie kładąc na szali własną reputację oraz dotychczasowy kapitał zaufania, jakim ich obdarzono, uczestniczyli w jednej z najważniejszych przemian we współczesnych Siłach Zbrojnych RP.

Szukając kamieni milowych na drodze prowadzącej do reformy systemu dowodzenia, można wskazywać wiele wydarzeń we współczesnej historii. Niewątpliwie należy do nich obalenie komuny oraz skierowanie się w stronę Zachodu i sojuszu północnoatlantyckiego. Działania akcesyjne, wspólne ćwiczenia oraz udział w operacjach poza granicami kraju stanowiły kolejne etapy w pracach nad koncepcją reformy systemu dowodzenia polską armią.

Pierwsze formalne sygnały o potrzebie reform systemu dowodzenia pojawiły się po przedstawieniu przez ówczesnego szefa resortu obrony narodowej Bronisława Komorowskiego w 2001 roku sześcioletniego planu rozwoju armii.



Co ciekawe, kierunki wyznaczone przed prawie 15 laty nie odbiegają od głównych ram dzisiejszej reformy. Dążono wówczas do ograniczenia liczebności armii, zmniejszenia i uproszczenia organów dowodzenia czy zmiany roli Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Zwrócono uwagę na zachwianie proporcji między dowództwami centralnymi a liniowymi, utrudnienia związane z rosnącymi potrzebami szkoleniowymi w systemie połączonym czy powielanie podobnych funkcji w poszczególnych dowództwach rodzajów sił zbrojnych (logistyka, finanse itp.). Takie opinie pojawiały się we wnioskach ekspertów wojskowych i dowódców po ćwiczeniach z wojskami, treningach sztabowych. Były również wynikiem praktycznych doświadczeń ze współpracy z jednostkami wojskowymi innych państw.

W lutym 2009 roku podczas konferencji naukowej w Akademii Obrony Narodowej, zorganizowanej z inicjatywy i pod patronatem ministra obrony narodowej, oficerowie ze Sztabu Generalnego WP przedstawili bardziej sprecyzowane założenia. Wskazywali przede wszystkim na potrzebę rozdzielenia funkcji planowania i dowodzenia siłami zbrojnymi; powierzenie SGWP roli centralnego organu planistycznego w czasie pokoju, kryzysu i wojny; doskonalenie koordynacji

zadań na szczeblu rodzajów i komponentów sił zbrojnych oraz spłaszczenie i racjonalizację struktur dowodzenia. Niestety, to nie był jeszcze odpowiedni czas na wprowadzenie tych planów w życie.

O reformie systemu dowodzenia znowu zrobiło się głośno dwa lata później. 8 listopada 2011 roku prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski wydał postanowienie o „głównych kierunkach rozwoju SZRP i ich przygotowań do obrony państwa na lata 2013–2022”. Znalazł się w tym dokumencie między innymi zapis o potrzebie „rozwijania zdolności do dowodzenia na szczeblu centralnym (strategicznym) poprzez skonsolidowanie organów dowodzenia wokół trzech funkcji: planowania strategicznego, dowodzenia bieżącego i dowodzenia operacyjnego”. Zwrócono też uwagę na „przekształcenie Sztabu Generalnego WP w organ planowania, doradztwa i nadzoru strategicznego oraz zintegrowanie pozostałych organów dowodzenia w dwa dowództwa strategiczne odpowiedzialne za działalność bieżącą i operacyjną SZRP”.

Ponadto wskazano na konieczność „dostosowania na szczeblu taktycznym i operacyjnym organów dowodzenia do konsolidowanych struktur sił zbrojnych”. Tym samym, wraz z wydaniem postanowienia prezydenta RP reforma ruszyła. Do →

precyzowano wówczas zgłaszane wcześniej postulaty zmian i reorganizacji systemu dowodzenia, które formalnie zintegrowano w uchwale Rady Ministrów w „Szczegółowych kierunkach przebudowy i modernizacji Sił Zbrojnych RP na lata 2013–2018”. W dokumencie znalazł się również zapis o stworzeniu modułowych struktur jednostek wojskowych. Chciałbym zwrócić uwagę na tę tezę, niezwykle istotną w kontekście zachowania spójności ze strukturami NATO oraz odpowiedniej korelacji między dowództwami operacyjnymi i taktycznymi. Oprócz zmian na poziomie dowództw rodzajów sił zbrojnych reformy miały objąć również dowództwa związków taktycznych, oddziałów i pododdziałów wojskowych do szczebla batalionu włącznie.

PRACA ZESPOŁOWA

Na początku w prace nad reformą zaangażowano zespół powołany przez ministra obrony narodowej pod kierunkiem gen. Waldemara Skrzypczaka. W skład tego gremium weszli przedstawiciele sekretarza stanu, podsekretarzy stanu, szefów zarządów tworzących SGWP oraz czterech dowództw rodzajów sił zbrojnych. Do zadań zespołu należało opracowanie koncepcji, zawierającej między innymi przegląd dotychczasowego systemu dowodzenia i zarządzania, propozycję nowych struktur i ich dyslokacji oraz nowelizację dokumentów normatywnych funkcjonowania SZRP.

W kwietniu 2012 roku w Karwicach zorganizowano warsztaty robocze, a ich efektem było przygotowanie koncepcji reorganizacji systemu kierowania i dowodzenia. Zawierała ona między innymi ogólny podział zadań między poszczególne dowództwa rodzajów sił zbrojnych oraz SGWP po dokonanej reorganizacji, a także przykładowe struktury organizacyjne. W koncepcji wskazywano również na potrzebę: wzmocnienia zdolności struktur dowodzenia do wykonywania zadań w czasie kryzysu i wojny, zwiększenia potencjału dowództw szczebla operacyjnego i taktycznego, a także zmniejszenia liczby etatów wojskowych w urzędzie MON.

Koncepcję tę dalej rozwijał etatowy zespół do spraw nowego systemu kierowania i dowodzenia SZRP oraz powołany przez ministra obrony narodowej pełnomocnik. W skład zespołu weszło 23 oficerów, w tym trzech generałów, 17 pułkowników, trzech podpułkowników, dwóch podoficerów oraz czterech ekspertów cywilnych. Była to kadra, która uprzednio służyła w różnych komórkach i jednostkach organizacyjnych MON, Sztabu Generalnego WP, dowództw rodzajów sił zbrojnych, dowództw szczebla operacyjnego i taktycznego czy Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Ci ludzie mieli doświadczenie w wielu dziedzinach: w dowodzeniu związkami taktycznymi, jednostkami wojskowymi, kontyngentami, budowie struktur organizacyjnych oraz ze służby

w strukturach dowodzenia Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego i w polskich misjach wojskowych. Pracę zespołu wsparło około stu nieetatowych ekspertów.

Cały zespół podzielono na grupy zajmujące się osobno: Sztabem Generalnym WP, Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych i Dowództwem Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych, a także Inspektorem Wsparcia Sił Zbrojnych oraz samym urzędem ministra obrony narodowej. Codziennie po korytarzach Centrum Konferencyjnego przewijały się dziesiątki oficerów i podoficerów w mundurach wszystkich kolorów. Dopracowywanie szczegółów wymagało szerokich konsultacji prowadzonych nie tylko zza biurka w Warszawie, ale podczas spotkań i rozmów z ludźmi w terenie.

W pierwszej kolejności zespół opracował „Model systemu kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP 2013”. Nie były to już tylko założenia, lecz kompletny zarys struktur przyszłego Sztabu Generalnego z jego zarządami, Dowództwa Generalnego oraz poszczególnych inspektoratów, a także Dowództwa Operacyjnego oraz zreformowanego Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Następnie prowadzono prace nad zmianami na poziomie operacyjnym i taktycznym (ujednolicenie tego elementu wciąż czeka na wdrożenie).

W międzyczasie pracowano nad projektem ustawy. Poprawy i uzgodnień wymagało również ponad 300 aktów prawnych. W czasie tych legislacyjnych zawirowań korzystano z pomocy departamentów strategii i planowania obronnego, budżetowego, kadr oraz prawnego. Przeprowadzono również konsultacje społeczne, między innymi z przedstawicielami Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych Wojska Polskiego, Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Wojska, Zarządu Głównego Związku Zawodowego „Militaria”, Stowarzyszenia „Niezależne Forum o Wojsku” i Rady Służby Cywilnej. 21 czerwca 2013 roku Sejm przyjął rządowy projekt ustawy o zmianie ustawy o urzędzie ministra obrony narodowej oraz niektórych innych ustaw, a 22 lipca 2013 roku podpisał go prezydent Komorowski. Tym samym dobiegły końca prace nad ramami prawnymi jednej z najważniejszych reform w polskiej armii ostatnich lat.

WIZYTÓWKA



GEN. DYW. DR MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

Radca koordynator w pionie sekretarza stanu w MON Czesława Mrocza, były pełnomocnik MON do spraw wdrażania nowego systemu zarządzania, kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej. Dowodził 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną, 11 Lubuską Dywizją Kawalerii Pancernej oraz Brygadą Grupą Bojową w Iraku. Pełnił także obowiązki dyrektora Departamentu Strategii i Planowania Obronnego oraz zastępcy szefa Zarządu Planowania Strategicznego – P5 SGWP.

PRÓBA CZASU

Od pierwszych wzmianek o reformie systemu dowodzenia minęło niemal 15 lat. Co ciekawe, jej główne założenia przetrwały próbę czasu. To, jak system funkcjonuje, czy został dobrze wdrożony, czy zastosowano wszystkie postanowienia oraz założenia programowanych wcześniej rozwiązań i w jakim stopniu usprawniono dowodzenie organem połączonym, wykaże przewidziana na 2015 rok ewaluacja. Jestem jednak przekonany, że dzięki staraniom podległego mi zespołu ludzie zostały stworzone odpowiednie warunki do funkcjonowania nowo formowanych dowództw szczebla operacyjnego. ■

JAROSŁAW
RYBAK

Wojna na lajki i tweety

Jeśli ktoś nie ma konta w serwisach społecznościowych, to po prostu nie istnieje. Hołdując tej zasadzie, staram się być aktywnym użytkownikiem Twittera i Facebooka. Dzięki temu mogę podyskutować z ministrami, generałami, wymieniać się opiniami z innymi z branży. Jako publicysta jestem przeszczęśliwy, mając do dyspozycji takie kanały błyskawicznej komunikacji. Ale jako podatnik, utrzymujący sporą rzeszę urzędników, jestem coraz bardziej poirytowany. Oczekuję bowiem, by przedstawiciele państwa komunikowali się z obywatelem na poważnie.

Twitter jest uznawany za ekskluzywniejsze – w porównaniu z Facebookiem – miejsce wymiany myśli. Korzystam, ale nie jestem fanem tego portalu. Co więcej, uważam, że nie da się tam prowadzić poważniejszej dyskusji. Mając bowiem do dyspozycji zaledwie 140 znaków, można wszystko zakomunikować, ale niewiele wyjaśnić. Dlatego spora część twitterowych newsów na temat wojska raczej mnie irytuje niż informuje. Co innego, gdy wpisowi towarzyszy link do szerszego komunikatu. Jeśli tego brakuje, wpisik błyskawicznie pobudza do zadawania pytań uszczegółowiających. W dłuższej perspektywie Twitter będzie więc generatorem sytuacji medialnie kryzysowych. W sieci nic nie ginie i kiedyś co uważniejsi twitterowicze zapytają o ciąg dalszy 140-znakowych zapowiedzi. No, chyba że tweety są adresowane do szerokiej opinii publicznej, którą zadowolili prosty i krótki komunikat: jest dobrze, rozwijamy się, a będzie jeszcze lepiej.

Zdecydowanie większe możliwości komunikacyjne daje Facebook. Możliwość tworzenia grup użytkowników zainteresowanych konkretnymi tematami pozwala mieć nadzieję na bezpośredni kontakt ze wstępnie wyselekcjonowanymi odbiorcami. Niestety. Na palcach potrafię policzyć fanpejdże o tematyce militarnej (niezależnie od tego, czy są prowadzone przez pasjonatów munduru, czy ludzi pracujących dla wojska), w których administratorzy idą na jakość, a nie na ilość lajków pod wpisami. Największych emocji nie wywołują informacje dotyczące spraw ważnych. Co innego fajne fotki, najlepiej zamaskowanych komandosów. Dyskusja o takich sprawach, jak kąć wszycia patki kieszeni w nowym typie multicama potrafi rozgrzać fanpejdż. Podobnie jak lajki pod informacjami o szacunku dla weteranów, uznaniu dla żołnierzy itp. Tylko co – oprócz złudnej świadomości szerokiego społecznego wsparcia – ma z tego armia?

Facebook jest świetnym i tanim kanałem promocji, miejscem, w którym można kształtować opinie, pokazywać, jakich ludzi wojsko chciałoby ubrać w kamazę. Żeby to się udało, potrzeba jednak więcej edukacji niż tabloidyzacji.

Błędem jest analizowanie wojskowych fanpejdży najprostszymi komercyjnymi parametrami: liczbą polubień czy zasięgiem postów. Niestety te wskaźniki często bywają najważniejsze przy ocenie jakości wykonanej pracy. Wojna na lajki i tweety jest jednak skazana na przegraną. Liczba fanów nie przechodzi bowiem w ich jakość. W tym wypadku w sieci jest jak w realu – bardziej optaca się mieć armię mniejszą, ale złożoną z lepszych żołnierzy. ■

**W SIECI JEST JAK
W REALU – BARDZIEJ
OPŁACA SIĘ MIEĆ
ARMIĘ MNIEJSZĄ,
ALE ZŁOŻONĄ
Z LEPSZYCH ŻOŁNIERZY**



JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Problematyczne zwolnienia zdrowotne

Choć ustawa dotycząca zwolnień lekarskich obowiązuje od ponad pół roku, niejasności i kontrowersji wokół stosowania jej przepisów nie ubywa.

Ustawa o L-4 wprowadziła kilka zasadniczych zmian, dotyczących między innymi żołnierzy przebywających na zwolnieniach lekarskich. Zgodnie z przepisami obowiązującymi od 1 czerwca 2014 roku żołnierze przebywający na L-4 z powodu choroby, która nie jest związana ze służbą, otrzymują 80%, a nie jak wcześniej 100%, wynagrodzenia.

Wprowadzone zmiany miały przede wszystkim zmniejszyć liczbę funkcjonariuszy, którzy przebywali na zwolnieniach lekarskich, choć ich niedyspozycja nie zawsze była związana ze złym stanem zdrowia.

PRZEPISY W PRAKTYCE

Nowelizacja ustawy wprowadziła też ogólne przepisy dotyczące możliwości kontroli orzekania o czasowej niezdolności do służby z powodu choroby. Kontrolę taką powierzono wojskowym komisjom lekarskim.

Wytuczne szczegółowe w tym zakresie zmierzały do tego, aby do komisji lekarskich nie kierować kobiet w ciąży oraz tych żołnierzy, których zwolnienie lekarskie wynika z negatywnych objawów klinicznych, związanych z niedawnym wypadkiem w służbie lub chorobą już stwierdzoną ostatecznym orzeczeniem komisji lekarskiej. W tego typu sytuacjach żołnierz powinien od lekarza jednostki wojskowej dostać zaświadczenie lekarskie, na podstawie którego będzie przysługiwać 100% uposażenia. Rozwiązanie takie miało zapobiec kierowaniu do wojskowych komisji lekarskich żołnierzy, u których związek choroby ze służbą i wypadkiem był oczywisty lub można było ustalić go w postępowaniu wyjaśniającym w jednostce wojskowej.

Przepisy dały też możliwość sprawdzania, czy żołnierz prawidłowo wykorzystuje okres zwolnienia lekarskiego. Kontrola

w tym wypadku polega na ustaleniu, czy w okresie orzeczonej niezdolności do służby, w tym sprawowania osobistej opieki nad dzieckiem lub innym członkiem rodziny, nie wykorzystuje on zwolnienia lekarskiego w sposób niezgodny z jego celem, a w szczególności, czy nie wykonuje pracy zarobkowej. Zadanie takie ustawodawca powierzył dowódcy jednostki wojskowej, w której żołnierz służy.

PRZYKŁADY Z ŻYCIA WZIĘTE

Nie trzeba było długo czekać, aby rzeczywistość pokazała, jakie wątpliwości budzi stosowanie przepisów znowelizowanej ustawy. O ile żołnierze rozumieją sens wprowadzonych zmian, o tyle praktyka dotycząca zwolnień lekarskich, w opinii mundurowych, rodzi wiele kontrowersji i niejasności, a czasami wręcz w sposób rażący narusza ich prawa. Wielu z nich jest rozgoryczonych, że pomimo wytycznych Departamentu Kadr MON rozesłanych do jednostek wojskowych, ich dowódcy nie korzystają ze swoich uprawnień i do wojskowych komisji lekarskich kierują praktycznie wszystkich żołnierzy, którzy przebywali na zwolnieniu lekarskim. Takie działanie jest niekorzystne także ze względów finansowych – żołnierzowi trzeba zapłacić za podróż do komisji, a czasami również wypłacić dietę.

„Jestem szeregowym zawodowym, rok temu miałem wypadek na misji w Afganistanie. Po poważnym urazie kolana dość długo dochodziłem do zdrowia. Niedawno wróciłem do służby w jednostce. Nie chcąc, aby inni uznali, że nadużywam faktu, że miałem złamaną nogę, postanowiłem brać udział w zajęciach ze szkolenia fizycznego. Niestety, noga nie wytrzymała takiego obciążenia. Moje z założenia pozytywne działania spowodowały, że byłem zmuszony pójść ponownie na zwolnienie

PRZEPISY O L-4 OPRÓCZ ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH DOTYCZĄ TEŻ MIĘDZY INNYMI POLICJANTÓW I STRAŻAKÓW

lekarские i odbyć rehabilitację. Przedstawiciele w jednostce, pomimo że wiedzieli o wypadku, a lekarz znał moją sytuację zdrowotną, uznali, że nie są kompetentni do zbadania, czy moje zwolnienie jest następstwem poprzedniego urazu. Zostałem skierowany do wojskowej komisji lekarskiej, która co prawda przyznała mi prawo do pełnego uposażenia, wszystko jednak trwało kilka miesięcy”.

„W lipcu 2014 roku miałem wypadek – podczas pracy w warsztacie obsunął się lewar podtrzymujący remontowany pojazd i zostałem przygnieciony przez samochód, doznając poważnego urazu kręgosłupa. Wcześniej leczyłem się już na dolegliwości kręgosłupa, o czym wiedział lekarz jednostki wojskowej. Pomimo że wypadek został uznany jako pozostający w związku ze służbą, a komisja powypadkowa napisała, że zaistniał w okolicznościach, które uprawniają mnie do otrzymywania pełnego uposażenia – dowódca jednostki stwierdził, że dopóki nie zbada mnie komisja lekarska, będę otrzymywał tylko 80% wynagrodzenia. Lekarz jednostki wojskowej wyjaśnił mi, że komisja musi ustalić, czy moje dolegliwości bólowe, powodujące zwolnienie lekarskie, są związane wyłącznie z wypadkiem, czy może również z moimi osobistymi problemami zdrowotnymi. Do komisji zostaną skierowani po zakończeniu leczenia, co może potrwać jeszcze kilka miesięcy”.

To tylko dwie z wielu podobnych sytuacji. Pokazują, jak wadliwie wykonawca znowelizowanej ustawy interpretuje jej poszczególne zapisy. W pierwszym przypadku żołnierz został zmuszony do odbycia ponownej rehabilitacji z powodu przeciążenia niedawno uszkodzonego kolana. Takiego ustalenia mógł, a nawet był obowiązany, dokonać lekarz jednostki wojskowej. Sam dowódca jednostki natomiast powinien zasugerować żołnierzowi, aby ten dostarczył zaświadczenie lekar-

skie od lekarza specjalisty, który ustali związek obecnych dolegliwości z nabytymi podczas wcześniejszego wypadku. Pomocna w tej sytuacji byłaby również treść orzeczenia komisji lekarskiej, na mocy którego został ustalony trwały lub długotrwały uszczerbek na zdrowiu. Warto podkreślić, że nawet gdyby komisja lekarska w przeszłości nie wydała takiego orzeczenia, lecz ustaliła jedynie związek schorzenia lub urazu ze służbą, to żołnierz również miałby prawo do uposażenia w pełnej wysokości.

Drugi przypadek pokazuje, że ustawodawca zapomniał w sposób szczegółowy wskazać, jaka jest pozycja prawna żołnierza, który uległ wypadkowi w służbie, a nie ma jeszcze orzeczenia właściwej komisji lekarskiej. Jest ono wydawane po zakończeniu leczenia, a w praktyce nie wcześniej niż po pół roku od wypadku. Dopiero wtedy bowiem komisja lekarska może ustalić, czy u poszkodowanego istnieje lub nie trwały albo długotrwały uszczerbek na zdrowiu. W przedstawionej sytuacji może się natomiast okazać, że żołnierz, choć wypadek miał związek ze służbą, będzie od sześciu do dziewięciu miesięcy otrzymywał o 20% mniej uposażenia. Tymczasem wydaje się, że w tym konkretnym przypadku, do podjęcia decyzji o prawie do 100% wynagrodzenia powinny wystarczyć ustalenia komisji powypadkowej. Nawet jeśli nie wszystkie objawy kliniczne były związane bezpośrednio z wypadkiem, to trudno jest dokonać ich podziału. Nie uczyni tego również komisja lekarska.

JAK KONTROLOWAĆ ZWOLNIENIE?

Podobne niejasności budzi kwestia kontroli wykorzystania zwolnienia lekarskiego przez żołnierza zawodowego. Ustawodawca zobowiązał do niej dowódcę jednostki wojskowej, w której żołnierz służy. Pojawia się pytanie: jakie okoliczności muszą zaistnieć, aby decyzja dowódcy jednostki wojskowej o kontroli była uzasadniona?

Nie mogłoby tej decyzji uzasadniać na przykład podejrzenie sfałszowania zwolnienia. Dowódca ma co prawda kompetencje, by skontrolować wiarygodność dokumentu, ale może to polegać jedynie na sprawdzeniu go pod kątem formalnym, na przykład, czy zostało wydane zgodnie z przepisami i czy jest autentyczne. Samo podejrzenie nie wystarczy, aby kierować kontrolę do domu żołnierza. Dowódca powinien wtedy najpierw zawiadomić o tym fakcie lekarza, którego dane widnieją na zaświadczeniu lekarskim. Dopiero po ustaleniu, że faktycznie zostało ono sfałszowane, może wystąpić z wnioskiem do Żandarmerii Wojskowej o podejrzeniu popełnienia czynu o znamionach przestępstwa.

„Pełnię obowiązki magazyniera i stale przebywam w słabo ogrzewanych pomieszczeniach. Ostatnio z tego powodu często się przeziębiałem. Staralem się zwalczyć chorobę lekami dostępnymi bez recepty, ale mimo to rozwinęła się i zostałem zmuszony iść na zwolnienie lekarskie. Lekarz przepisał mi antybiotyki i kazał leżeć w domu. W trakcie zwolnienia do mojego domu zapukało dwóch żołnierzy zawodowych. Nie byli w mundurach, nie posiadali żadnych dokumentów, tylko krótko oświadczyli, że przyszli na polecenie dowódcy jednostki, by sprawdzić, w jaki sposób spędzam czas na zwolnieniu. Nie było mnie wtedy w domu, ponieważ zgodnie z zaleceniem medycznym miałem stawić się na kontrolę do lekarza. Żona przekazała mi, że kontrolujący oznajmili, że powiadomią dowódcę jednostki o tym, że nie było mnie w domu. Na nic zdały się tłu-



maczenia żony oraz prośba, aby poczekali na mój powrót do domu. Odpowiedzieli krótko, że nie mają na takie rzeczy czasu, bo muszą skontrolować jeszcze kilka innych osób”.

„W czasie świąt zjawili się u mnie żołnierze z mojej jednostki. Przebywałem wtedy na zwolnieniu lekarskim z powodu złamanej nogi. Co prawda gips został już zdjęty, ale noga nadal bolała i musiałem przejść dwutygodniową rehabilitację. Na czas świąt została ona wstrzymana i nie chodziłem do szpitala. Przyjechała do mnie rodzina i dla towarzystwa wypiliśmy lampkę wina. Kontrolujący zapytali mnie, czy piłem alkohol. Potwierdziłem. Poinformowano mnie, że z tego powodu moje zwolnienie zostanie najprawdopodobniej zakwestionowane. Przecież wypicie lampki wina w czasie świąt z rodziną nie jest przestępstwem. Czy faktycznie taka okoliczność może stać się powodem do zabrania mi pensji?”

W przedstawionych sytuacjach pomocny mógłby się okazać protokół sporządzony w trakcie kontroli. Tylko taki dokument może się stać podstawą do wydania przez dowódcę jednostki decyzji o ewentualnej utracie uposażenia za okres zakwestionowany w trakcie kontroli. Taki protokół powinien być sporządzony w dwóch egzemplarzach, a żołnierzowi przysługuje prawo wniesienia natychmiastowych zastrzeżeń co do jego treści. Powinien wtedy napisać o wszelkich swoich wątpliwościach, które pojawiły się w czasie kontroli.

Przypomnieć należy, że na druku L-4 lekarz umieszcza zalecenie dla chorego. W rubryce 15. wpisuje cyfrę „1” lub „2”.

Oznaczają one: 1 – chory powinien leżeć, 2 – chory może chodzić. Samo takie wskazanie nie może jednak powodować, że nieobecność chorego w domu będzie oznaczać, że zwolnienie lekarskie jest wykorzystywane niezgodnie z przeznaczeniem. W przedstawionej sytuacji żołnierz miał wręcz obowiązek wizyty u lekarza, by ten mógł ocenić efekty leczenia.

W drugim przypadku spożycie alkoholu w ilości nawet kilku lampek wina nie powinno stać się powodem do zakwestionowania zwolnienia lekarskiego. Można by analizować sytuację, gdyby żołnierz był w tym czasie w stanie upojenia alkoholowego oraz jednocześnie zażywał specjalne leki przeciwbólowe lub antybiotyki. Mogłoby to być uznane jako działanie szkodzące procesowi leczenia, ale to jedynie hipoteza.

BRAK SZCZEGÓŁOWYCH WYTYCZNYCH

Ponadpółroczna praktyka obowiązywania przepisów o L-4 pokazuje, że ustawodawca nie do końca przewidział, jak wiele może być problemów z ich stosowaniem. Wydaje się, że w tak szczególnej kwestii ustawa pozostawia zbyt dużą dowolność decyzyjną. A tak być nie powinno. Żołnierz zawodowy z racji wykonywanych zadań na co dzień jest narażony na wiele sytuacji, w których jest zagrożone jego zdrowie, a nawet życie. Dlatego z podobnymi, jak przytoczone przypadkami będziemy w wojsku spotykać się często. Być może dobrym rozwiązaniem stałoby się wydanie przez resort obrony szczegółowych wytycznych w formie rozporządzenia. ■

Z WOJSKOWEJ WOKANDY

Wyższa renta

Po dziewięciu latach sporów sąd przyznał żołnierzowi prawo do renty inwalidzkiej.

Sprawa dotyczyła byłego żołnierza zawodowego, który został zwolniony z zawodowej służby wojskowej z powodu wypadku w służbie oraz nabytych w trakcie jej trwania chorób.

Wojskowe komisje lekarskie uznały, że inwalidztwo nie pozostaje w związku ze służbą. W efekcie zakład rentowy odmówił przyznania prawa do renty zwiększonej o 10% podstawy wymiaru.

Pełnomocnik organu wojskowego w toku procesu twierdził, że trudno uznać, iż inwalidztwo żołnierza pozostaje w związku z chorobami nabytymi w służbie, ponieważ już przed przyjęciem do zawodowej służby wojskowej miał on początek objawów chorobowych, które się potem nasiliły.

Sąd pierwszej instancji uznał ten pogląd za słuszny i oddalił odwołanie żołnierza. Sąd Apelacyjny w Warszawie zlecił ponowne badanie zainteresowanego i na podstawie ustaleń lekarzy-biegłych sądowych uchylił zaskarżony

wyrok i wcześniej wydane decyzje. Sąd podkreślił, że schorzenia żołnierza są wypadkową urazów doznanych w trakcie pełnienia służby wojskowej, a dolegliwości, powodujące obecnie inwalidztwo, są związane między innymi ze zmianami wtórnymi, które nastąpiły w wyniku wypadku. Sam fakt, iż u żołnierza stwierdzono wrodzone wady i schorzenia, które również mogły wpłynąć na jego stan, nie mogą być podstawą wniosku, że wypadki w służbie nie miały żadnego wpływu na stan zdrowia żołnierza i jego pogorszenie do stopnia powodującego inwalidztwo. Sąd Apelacyjny wskazał również na treść wyroku Sądu Najwyższego – Izby Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych z 20 sierpnia 2008 roku (sygn. akt. I UK 40/08), w którym skład sędziowski uznał, że: „Prawo do wojskowej renty inwalidzkiej uzależnione jest od powstania w ciągu trzech lat od zwolnienia ze służby wojskowej in-

walidztwa z powodu chorób powstałych w związku ze szczególnymi jej właściwościami lub warunkami, przez które należy rozumieć także choroby i schorzenia, które istniały przed powołaniem do służby, lecz uległy pogorszeniu lub ujawniły się w czasie służby wskutek szczególnych właściwości lub warunków na określonych stanowiskach (art. 19 pkt 3 w związku z art. 23 ust. 3 pkt 4 i 5 ustawy z 10 grudnia 1993 r. o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin, tj. DzU z 2004 r. nr 8 poz. 66 ze zm.)”.

21 października 2014 roku przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie – Wydziałem Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, po dziewięciu latach sporu sądowego, zapadł wyrok (w sprawie o sygn. akt. III AUa 327/13), na mocy którego sąd uchylił decyzję dyrektora Wojskowego Biura Emerytalnego i przyznał rację byłemu żołnierzowi zawodowemu.

W związku z tym żołnierzowi będzie się należała o 10% większa renta i wyrównanie świadczenia za ponad dziewięć lat sporu sądowego. Otrzyma również prawo do rocznej pensji w związku z odejściem ze służby z powodu wypadku w służbie.

Wyrok jest prawomocny. R K ■

E-mieszkania ułatwienia dla żołnierzy

Internetowy poradnik zakwaterowania oraz esemesowe powiadomienia o płatnościach – to nowoczesne narzędzia do komunikacji, które żołnierzom proponuje Wojskowa Agencja Mieszkaniowa.

Na stronie internetowej WAM-u żołnierze już od dłuższego czasu mogą korzystać z platformy e-PUAP. Niedawno Agencja wprowadziła interaktywny e-poradnik zakwaterowania, skierowany do żołnierzy zarówno służby stałej, jak i kontraktowej (<http://eporadnik.wam.com.pl/>). Jest on jednak przeznaczony przede wszystkim dla tych, którzy rozpoczynają służbę wojskową i w związku z tym często mają wiele pytań dotyczących uprawnień mieszkaniowych. Dzięki e-poradnikowi mogą się dowiedzieć, komu przysługuje wojskowe mieszkanie, kto ma prawo do świadczenia mieszkaniowego i jaka jest jego wysokość.

Z drugiej propozycji WAM-u – powiadomień esemesowych i e-mailowych – mogą korzystać wszyscy ci, któ-

rzy są klientami Agencji, zarówno żołnierze, jak i osoby cywilne. Usługa jest bezpłatna, ale warunkiem skorzystania z niej jest wyrażenie zgody i złożenie odpowiedniego oświadczenia (formularz wraz z informacją znajduje się na stronie www.wam.net.pl w zakładce formularze pod nr 15). Dopiero wtedy zainteresowany żołnierz może otrzymać od WAM-u informacje o płatności na przykład za zajmowane lokale mieszkalne, użytkowe, garaże czy grunty. Na razie Agencja przypomina żołnierzom między innymi o zaległych płatnościach. W przyszłości planuje też wysyłanie powiadomień o zbliżającym się terminie zapłaty lub niedopłaćcie należności z tytułu opłat za użytkowanie wieczyste i rat za wykup lokali. PZ/PG ■

Bonifikaty przy wykupie wojskowego M

Od 1 stycznia 2015 roku obowiązuje znowelizowana ustawa o zakwaterowaniu sił zbrojnych.

Nowelizacja wprowadza trzy główne zmiany. Pierwsza z nich przywraca korzystniejsze, obowiązujące do końca 2012 roku bonifikaty przy wykupie lokalu od Wojskowej Agencji Mieszkaniowej. Teraz żołnierz lub mieszkający z nim członek rodziny, planujący wykup mieszkania od WAM-u, może liczyć na 95% zniżki. Pracownikom wojska przysługuje 90-procentowa bonifikata (przez ostatnie dwa lata było to odpowiednio 60 i 30%). Przepisy ograniczają jednocześnie upust przy wykupie mieszkania do 200 tys. zł. Chodzi zwłaszcza o lokale najdroższe, na przykład te położone w centrum Warszawy. W ich wypadku wysokość bonifikaty nie będzie wyznaczana pułapem wartości mieszkania (niekiedy przekraczającej 1 mln zł), lecz właśnie kwotą 200 tys. zł.

Druga zmiana wprowadza pięcioletnią karencję na sprzedaż wykupionego od WAM-u lokalu. Jeśli żołnierz sprzeda go przed upływem tego okresu, będzie musiał zwrócić Agencji wysokość udzielonej bonifikaty.

Trzecia zmiana umożliwia bardziej elastyczną niż dotychczas zamianę wojskowych mieszkań. Wcześniej pracownik wojska mógł zamienić mieszkanie WAM-u tylko na mieszkanie zajmowane przez żołnierza zawodowego. Teraz jest także możliwa zamiana między cywilami. Chodzi nie tylko o osoby, które znalazły się w trudnej sytuacji (np. z powodu długów) i chcą zamienić mieszkanie na mniejsze, ale też o ludzi starszych, którzy nie potrzebują już dużego, generującego koszty lokalu. PZ/PG ■

Rezerwiści na ćwiczenia

Obowiązuje już rozporządzenie Rady Ministrów, dotyczące liczby osób, które w 2015 roku będą mogły zostać powołane do służby czynnej.

Projekt rozporządzenia został przygotowany już w maju 2014 roku. Przepisy weszły w życie 1 stycznia 2015 roku. Dotyczą żołnierzy w służbie czynnej, czyli tych, którzy odbywają przeszkolenie lub ćwiczenia wojskowe, służbę przygotowawczą lub okresową służbę wojskową.

Zgodnie z rozporządzeniem w ćwiczeniach rotacyjnych w 2015 roku będzie mogło wziąć udział maksymalnie 20 tys. żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych, mających przydzielony kryzysowe. Podobny limit został ustalony dla rezerwistów, kierowanych do wojska na ćwiczenia obowiązkowe. Udział w nich ma pomóc żołnierzom rezerwy w utrzymaniu zdolności bojowych i podnoszeniu kwalifikacji wojskowych. W tym roku będzie można powołać na ćwiczenia pięciodniowe do 21,6 tys. rezerwistów, a na dziesięciodniowe około 10,8 tys. żołnierzy rezerwy. O czasie trwania ćwiczeń będą jednak decydować dowódcy poszczególnych jednostek.

Bez zmian pozostał limit naboru do służby przygotowawczej – do końca roku będzie ją mogło odbyć nawet 6 tys. ochotników. Na potrzeby korpusu szeregowych są zaplanowane trzy turnusy. Pierwszy, zorganizowany w dziewięciu wojskowych centrach szkolenia, na początku stycznia rozpoczęło 1800 ochotników. Dwa kolejne, z podobną liczbą szkolących się, są planowane w maju i we wrześniu.

Po raz pierwszy wojsko uruchomiło też turnus służby przygotowawczej na potrzeby korpusu oficerskiego. W sześciomiesięcznym szkoleniu w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych bierze udział 40 osób. PZ/PG ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Ze śniadaniem czy bez

Jestem żołnierzem zawodowym. Stosunkowo często podróżuję służbowo, w kraju i za granicę. Ostatnio pojawił się problem rozliczenia diety za podróż, gdy wraz z kolegą korzystaliśmy z zakwaterowania w hotelu komercyjnym, który oferował opcje pokoiów ze śniadaniem i bez. Ja wykupiłem usługę hotelową bez śniadania, kolega natomiast w cenie pokoju miał wliczony poranny posiłek.

PODSTAWA PRAWNA: rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie należności żołnierzy zawodowych za przeniesienia i podróże służbowe z 14 października 2008 roku (DzU 2008 nr 190 poz. 1165) – §13 ust. 1 pkt. 2b oraz pkt. 3.

Według nas, jeśli hotel sprzedaje dwie opcje pokoiów (ze śniadaniem lub bez), a żołnierz nie ma narzuconej odgórnie decyzji, którą opcję musi wybrać, to wybór należy do niego. Według naszej księgowej, gdy hotel oferuje różne warianty pokoju, żołnierz nie ma prawa korzystać z opcji ze śniadaniem.

Nadmieniam, że w kraju, w którym byliśmy, cena oferowanego w hotelu śniadania wynosi 13 euro, a 15% diety to tylko 7,5 euro.

W związku ze sporem wypłata należności za podróż służbową została wstrzymana. Bardzo proszę o interpretację przepisów dotyczących powyższej sytuacji.

→ W przedstawionej sprawie, aby nastąpiła wypłata należności, wystarczyło wpisać w dokumentach podróży, czy żołnierz korzystał z wyżywienia, czy też nie. Przepisy nie regulują dodatkowo kwestii narzucania odgórnie decyzji dotyczącej wyboru pokoju i jego opcji, czyli „ze śniadaniem czy też bez”. Mamy zatem do czynienia z nadinterpretacją przepisów. Decyzję księgowej można tłumaczyć treścią §13 ust. 1 pkt. 2b, w którym jest mowa o tym, że: z tytułu podróży służbowej żołnierzowi przysługuje zwrot kosztów noclegu lub ryczałt za nocleg. Pojawia się zatem pytanie, czy za nocleg można uznać opcję pobytu w hotelu wraz ze śniadaniem i w jaki sposób została wystawiona faktura za nocleg. Jeżeli w fakturze wpisano wyłącznie nocleg, to odmowa księgowej jest nieuzasadniona. Żołnierz mógł samodzielnie zdecydować o wyborze pokoju ze śniadaniem. Warto również pamiętać o przepisie §13 ust. 1 pkt. 3 rozporządzenia, gdzie jest mowa o zwrocie innych niezbędnych i udokumentowanych wydatków poniesionych w związku z podróżą służbową. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Należności dla szeregowego

PODSTAWA PRAWNA: ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013 poz. 1355 z późn. zm.) – art. 94 i 95 pkt. 2–6; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku (DzU 2008 nr 122 poz. 786) §8 ust. 1–3.

Jestem żołnierzem 6 BPD, w 2016 roku mija 12 lat mojej służby i kończy mi się kontrakt. Uczestniczyłem w czterech misjach, w tym trzy razy w Afganistanie. Podjąłem decyzję o odejściu z wojska teraz, gdyż za około 1,5 roku do cywila wyjdzie przymusowo wielu żołnierzy, którym minie 12 lat służby. Jakie przysługują mi prawa i należności finansowe w związku z odejściem ze służby za porozumieniem stron? Mój kolega, który odszedł kilka tygodni temu z takich samych przyczyn, nie otrzymał rekompensaty za dni wolne za nadgodziny, służby oraz urlop nagrodowy. Jako powód podano fakt, iż leży to w gestii dowódcy kompanii.

→ Kwestie związane z należnościami finansowymi, jakie przysługują żołnierzowi zawodowemu w służbie kontraktowej, który zdecydował się na odejście ze służby, reguluje art. 94 i 95 pkt. 2–6 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Mowa jest tam o takich należnościach finansowych, jak: odprawa uzależniona od czasu pełnienia służby, ekwiwalent pieniężny za urlop wypoczynkowy, w tym za dodatkowy, niewykorzystany w roku zwolnienia ze służby, oraz za lata poprzednie, dodatkowe uposażenie roczne za rok, w którym nastąpiło zwolnienie ze służby, gratyfikacja urlopową niewykorzystana w roku zwolnienia ze służby oraz zwrot kosztów jednorazowego przejazdu żołnierza i członków jego rodziny.

Sposób i termin, w którym przełożeni są zobowiązani do udzielenia dni wolnych niewykorzystanych przez żołnierza zawodowego, są regulowane przez przepisy rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku. Nie przewidują one możliwości wypłaty jakiegokolwiek rekompensaty finansowej za dni wolne niewykorzystane przez żołnierza zawodowego, który jest zwalniany ze służby. To samo dotyczy dni wolnych udzielanych w ramach urlopu nagrodowego.

Decyzja o odejściu ze służby nie jest podejmowana z dnia na dzień, żołnierz rozpatruje ją zazwyczaj przez jakiś czas. Powinien on wystarczyć do formalnego uregulowania kwestii wykorzystania dni wolnych i urlopu nagrodowego. W takiej sytuacji żołnierz powinien zwrócić się do dowódcy jednostki wojskowej z meldunkiem w sprawie umożliwienia mu odbioru tego czasu. Dopiero ewentualna nieuzasadniona odmowa mogłaby stać się podstawą do ubiegania się o stosowne odszkodowanie z tego tytułu. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Status weterana poszkodowanego

W czasie misji w Afganistanie uległem wypadkowi. Pomimo operacji i długotrwałego leczenia już na terenie kraju, komisja lekarska ustaliła, że po wypadku mam 15% trwałego uszczerbku na zdrowiu. Wypłacono mi już odszkodowanie, ale mam problem z otrzymaniem decyzji w sprawie legitymacji weterana poszkodowanego. MON napisało, że taki status mi się nie należy, ponieważ nogę złamałem, gdy wykonywałem normalne czynności żołnierza podczas misji, a nie w związku z odparciem zamachu nieprzyjaciela. Czy ministerstwo ma rację? Czy to, że przy przenoszeniu skrzyni potknąłem się i złamałem nogę nie świadczy o tym, iż wykonywałem czynności żołnierza związane z celem misji, jak zapisano w art. 4 pkt. 15 ustawy o weteranach?

→ **Kwestia jest sporna.** Jak opisuje autor pytania, wypadek zdarzył się w trakcie wykonywania czynności służbowych związanych z przenoszeniem skrzynki z jednego miejsca na drugie. Zaznaczyć należy, że zadanie to zlecił przełożony. Mamy zatem do czynienia z poleceniem służbowym (rozkazem). Pojawia się jednak pytanie – dlaczego ładunki były przenoszone? Czy była to zwykła czynność, polegająca na zmianie lokalizacji skrzynki, czy też może sprzęt wojskowy, znajdujący się w niej, musiał być przemieszczony z uwagi na szczególne okoliczności (powody) związane na przykład z zagrożeniem jego zawładnięcia przez nieprzyjaciela, planowanym atakiem na bazę w danym rejonie itp.?

W pierwszym wypadku należałoby się zgodzić z MON, że status weterana poszkodowanego się nie należy, ponieważ było to zdarzenie zaistniałe w normalnych okolicznościach. W drugiej sytuacji należałoby bardziej dogłębnie podejść do sprawy. Analizie trzeba by poddać również zakres

obowiązków służbowych danego żołnierza, celu przenoszenia skrzyni itd.

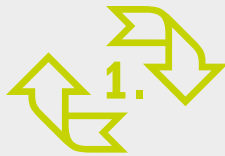
Jak podkreślił Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie w wyroku z 12 sierpnia 2014 roku, status weterana poszkodowanego przysługuje tylko za wypadek, który miał związek z zadaniami oddziału pełniącego służbę za granicą. Określone zdarzenie wypadkowe musi mieć zatem związek z zadaniami oddziału, który pełni misję zagraniczną, albo innymi działaniami pozostającymi w bezpośrednim związku z wykonywaniem zadań przez żołnierza, określonych w akcie utworzenia kontyngentu do wykonywania zadań mających na celu zapewnianie bezpieczeństwa państwa. Podobne stanowisko zajął Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie w wyroku z 23 października 2013 roku.

Od chwili wejścia w życie ustawy o weteranach działań poza granicami państwa z 19 sierpnia 2011 roku doszło do wielu sporów dotyczących tego, jakie zdarzenie wypadkowe może kwalifikować do przyznania statusu weterana poszkodowanego. W analizie poszczególnych okoliczności posiłkować się można słownikiem terminów i definicji NATO – AAP-6. Na przykład przez pojęcie „embarkation order/ordre d'embarquement” („An order specifying dates, times, routes, loading diagrams and methods of movement to shipside or aircraft for troops and their equipment”) rozumie się rozkaz załadunku, czyli rozkaz określający „daty, czasy, trasy, harmonogramy załadunku i metody przemieszczenia stanów osobowych oraz UiSW do rejonu załadunku na okręty, statki powietrzne lub inne środki transportu”. Dlatego w sprawie przedstawionej przez autora pytania kluczowe jest ustalenie, w jakim celu były przenoszone skrzynie ze sprzętem wojskowym. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWY PRAWNE: ustawa o weteranach działań poza granicami państwa z 19 sierpnia 2011 roku (DzU 2011 nr 205 poz. 1203) – art. 3, art. 4 pkt. 15.

ORZECZNICTWO: wyrok NSA w Warszawie z 12 sierpnia 2014 roku, sygn. akt. I OSK 2343/13. Internetowa baza orzeczeń sądów administracyjnych: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/doc/0826639E61>; wyrok WSA w Warszawie z 23 października 2013 roku w sprawie o sygn. akt. II SA/Wa 773/13. Internetowa baza orzeczeń sądów administracyjnych: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/doc/E4FD2F7FDF>.



Życie po życiu

Na czym polega pomoc rekonwersyjna? Kto i w jaki sposób może z niej skorzystać? Publikujemy pierwszy odcinek poradnika, który pomoże przygotować się do pracy po zdjęciu munduru.

Z badań ankietowych przeprowadzonych przez organy rekonwersji wynika, że ponad 90% żołnierzy chciałoby w przyszłości podwyższyć swoje kwalifikacje zawodowe.

Pod pojęciem rekonwersji kadr kryją się działania mające żołnierzom pomóc odnaleźć się na cywilnym rynku pracy po zdjęciu munduru. Wojsko oferuje pakiet usług związanych z przekwalifikowaniem zawodowym, praktykami czy pośrednictwem pracy. Uprawnione osoby mogą brać udział w kursach i szkoleniach oraz targach pracy. Mogą też liczyć na pomoc w opracowaniu dokumentów aplikacyjnych oraz korzystać z informacji o lokalnym rynku zatrudnienia.

DLA KOGO?

Pomoc rekonwersyjna przysługuje wszystkim żołnierzom zawodowym z co najmniej czteroletnim stażem służby. Wcześniej skorzystają z niej ci, którzy zostali zwolnieni na skutek orzeczenia przez komisję lekarską niezdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej w wyniku choroby lub wypadku pozostającego w związku ze służbą. Za zgodą dowódcy jednostki rekonwersją może też zostać objęty żołnierz, który wciąż służy. Oferowane jest mu między innymi doradztwo zawodowe (po trzech latach służby), przekwalifikowanie i pośrednictwo pracy (na dwa lata przed zwolnieniem, jeśli służbę zawodową pełnił przez co najmniej cztery lata) czy praktyki zawodowe (na pół roku przed zwolnieniem, o ile pełnił służbę zawodową co najmniej dziewięć lat).

Z proponowanych przez wojsko form rekonwersji mogą też bezterminowo skorzystać małżonki oraz dzieci pozostające na utrzymaniu wojskowego, który zaginął lub poniósł śmierć w związku z wykonywaniem zadań służbowych, lub zmarł w ciągu trzech lat po zwolnieniu ze służby, w następstwie wypadku lub choroby mającej związek z wykonywaniem zadań służbowych.

NIEZBĘDNE DOKUMENTY

By otrzymać taką pomoc, osoba uprawniona musi złożyć odpowiedni wniosek. W zależno-

ści od tego, kto się o nią ubiega, konieczne jest też dołączenie innych dokumentów (wzory oświadczeń i wniosków, np. o sfinansowanie kosztów kursu, znajdują się na stronie www.wojsko-polskie.pl/rekonwersja/). Żołnierz będący w służbie do wniosku składanego w jednostce wojskowej musi dołączyć dokument określający termin zwolnienia ze służby albo oświadczenie o planowanym zamiarze zwolnienia, zaświadczenie o wysłudze lat służby, zgodę dowódcy jednostki na odbycie przekwalifikowania zawodowego oraz zaświadczenie z ośrodka szkolenia o uprawnieniach do prowadzenia szkoleń.

Były żołnierz zawodowy dokumenty może złożyć w macierzystej wojskowej komendzie uzupełnień, wojewódzkim sztabie wojskowym lub we właściwym ośrodku aktywizacji zawodowej. Do wniosku musi dołączyć decyzję (rozkaz) o zwolnieniu ze służby, dokument potwierdzający wysługę oraz zaświadczenie z ośrodka szkolenia o uprawnieniach do prowadzenia szkoleń. W niektórych sytuacjach konieczne jest złożenie innych dokumentów, które potwierdzą na przykład uprawnienia do bezterminowego korzystania z pomocy rekonwersyjnej. W odniesieniu do żołnierza z orzeczeniem o niezdolności do służby będzie to decyzja o przyznaniu świadczeń odszkodowawczych z tytułu wypadku lub choroby pozostającej w związku z pełnieniem służby wojskowej.

Uprawnieni małżonkowie lub dzieci żołnierzy do wniosku muszą dołączyć: skrócony odpis aktu małżeństwa (urodzenia), dokument potwierdzający zaginięcie lub śmierć małżonka, zaświadczenie z ośrodka szkolenia o uprawnieniach do prowadzenia szkoleń. Dzieci w wieku od 18 do 25 lat muszą złożyć zaświadczenia o stanie cywilnym, pobieraniu nauki oraz orzeczenie o niepełnosprawności (jeśli jest). PG ■



Ł A T W E

Jałowcówka

30 suszonych jagód jałowca, 0,5 l spirytusu, 0,5 l przegotowanej wody, kilka ziaren kardamonu, kilka goździków, kawałek skórki pomarańczy, cztery łyżki miodu.

Rozgniecione jagody jałowca wsypać do słoja, dodać kardamon, goździki i skórkę z pomarańczy. Połączyć spirytus z wodą i mieszką zalać przypra-

wy. Odstawić na półtora miesiąca w chłodne i ciemne miejsce, co jakiś czas nalewkę wzruszyć. Po tym czasie dodać miód i znów odstawić na miesiąc. Potem jałowcówkę należy przefiltrować, przelać do butelek i pozostawić na kolejne pół roku.



Wiecznie zielony krzew jałowca rośnie w Azji, Ameryce Północnej i Europie. W Polsce można go spotkać na suchych łąkach i w lasach. Jadalne są jałowcowe szyszkojagody. Można ich używać jako przyprawy, szczególnie pasującej do dziczyzny. Jałowiec stosuje się też w leczeniu artretyzmu, cukrzycy, a nalewka na jagodach jest skuteczna przy niestrawności, przejedzeniu i przeziębieniach, ponieważ odtruwa i oczyszcza organizm. A D

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA



PIOTR
BERNABIUK

Kiedy „sierżant major” naszej jednostki ogłosił konkurs na tematykę dnia podoficera, postanowiliśmy zaskoczyć kolegów oryginalnością projektu. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że nie można nieustannie doskonalić się w regulaminach, musztrze i działaniach bojowych. Podoficerowie naszej kompanii postanowili powalić kolegów na kolana, proponując szkolenie kulinarne. Zaczęło się banalnie, od pomysłu na grochówkę w siedmiu smakach: „Skoro na poligonie catering serwuje żołnierską grochówkę nawet bez nuty jakiegokolwiek smaku, to odpowiedzmy całym bukietem woni, smaków i konsystencji”.

Jakoś tak krok po kroku, rozwijając się w coraz bardziej wyrafinowanych pomysłach, doszliśmy do kolegi starszego kaprala, chemika, a dokładnie przeciwchemika, który zaproponował szkolenie z nowoczesnej kuchni molekularnej.

„Sprawa jest w sumie prosta. Dzięki nowym technologiom możemy osiągać zaskakujące efekty. Na przykład uzyskać lody o smaku jajeczniczy czy poranną owsiankę o smaku owoców morza. Stosując proces sferyfikacji, możemy jeść na okrągło kawior. Przygotowujemy wywar o dowolnym, najlepiej ulubionym smaku, dodajemy do niego alginian sodowy, następnie zanurzamy w chlorku wapnia. Smak zostaje, a wizualnie, na talerzu mamy kawior”.

Z dziesiątków pomysłów kolegi przeciwchemika wybraliśmy po dyskusji szkolenie z żelowania, chcąc uzyskać galaretkę z wódki albo spaghetti z wina. Cóż, nasz projekt nie zdobył uznania. W recenzji kolega najstarszy chorąży napisał, że nie po to w minionej szczęściej epoce udało nam się

uniknąć wiszącej nad światem zagłady nuklearnej, żebyśmy właśnie my, podoficerowie, pchali armię w międzynarodowy wyścig zbrojeń. Coś może pomylił, ale dobrze, pozostaliśmy przy grochówce. Jak nadal będzie syfna, potraktujemy ją ciekłym azotem. ■

TRUDNE

Gulasz z pałki wodnej

Okolo 0,5 kg obranych ze skórki kłączy pałki wodnej, 300 g mięsa z uda indyka, dwie spore słodkie papryki, trzy cebule, dwie marchewki, pół kieliszka czerwonego wina, oliwa, sól, pieprz, listek laurowy, bulion drobiowy.

Kłącza pałki myjemy i kroimy w półcentymetrowe plasterki. Podobnie przygotowujemy cebulę i marchew, a mięso i paprykę kroimy w kostkę. Cebulę smażymy na złoto, dodajemy pozostałe składniki i wszystko razem podsmażamy. Zalewamy winem i bulionem, dodajemy listek laurowy i gotujemy na małym ogniu około godziny. Gulasz doprawiamy solą i pieprzem.

Pałka wodna rośnie w całym kraju w rowach i nad brzegami wód. Jadalne są jej wszystkie części – młode pędy najlepsze są wiosną, zbiera się także pyłek. Od jesieni do wiosny najlepsze są kłą-

cza, czyli podziemne płożące się łodygi w kształcie grubych korzeni. Jednak wydobycie ich zimą z lodowatej wody wymaga samozaparcia i umiejętności. Kłącza zawierają skrobię, cukier i białko, a zimą mają najwięcej składników odżywczych. A D



Sferyfikacja
wywaru



STRZAŁ WIAZKĄ

Chińska Republika Ludowa
pracuje nad jak najszerszym
wykorzystaniem mocy laserów.





LaWS
(Laser Weapon
System)
zamontowany
na pokładzie
USS „Ponce”



U.S. NAVY



B

roń laserowa już od kilku dekad rozpala wyobraźnię zarówno polityków, wojskowych, jak i entuzjastów nowoczesnych technologii. Na użyciu laserów dużej mocy opierała się chociażby słynna reaganowska koncepcja Strategicznej Inicjatywy Obronnej, znana pod nazwą gwiazdnych wojen. Wykorzystanie ich na szerszą skalę jednak dopiero teraz powoli staje się technologicznie możliwe i ekonomicznie opłacalne. Jednym z państw pracujących nad jak najszerzym wykorzystaniem mocy laserów jest Chińska Republika Ludowa. Jakie zastosowanie widzą dla nich naukowcy i wojskowi z tego kraju?

Na początku listopada 2014 roku Agencja Informacyjna Xinhua podała, że Chiny rozwijają system laserowy przystosowany do zwalczania niewielkich obiektów latających, takich jak na przykład małe bezzałogowce. Parametry taktyczno-techniczne nowej broni może nie są imponujące (zasięg – 2 km, maksymalny pułap zwalczanych obiektów – 500 m, prędkość – poniżej 180 km/h), ale wystarczające, jeśli weźmie się pod uwagę jej przeznaczenie. Montowany na specjalnej platformie samochodowej laser ma być bowiem używany głównie do ochrony przed ewentualnym zagrożeniem terrorystycznym w czasie imprez masowych.

Jak zauważa zarządzający odpowiedzialną za rozwój systemu komórką Chińskiej Akademii Inżynierii Fizycznej Yi Jinsong, bezzałogowce są dość tanim i łatwo dostępnym dla potencjalnych terrorystów narzędziem, a ich użycie może powodować znaczące straty. Lasery natomiast wydają się idealnym narzędziem do zwalczania tego rodzaju celów, zarówno z uwagi na czas reakcji, stosunkowo duży promień rażenia, jak i ze względów finansowych. Chiński system w czasie prób miał zniszczyć ponad 30 bezzałogowców, wykazując się przy tym 100-procentową skutecznością.

W corocznym raporcie dla Kongresu, przygotowanym przez Biuro Sekretarza Obrony USA, wymienia się broń laserową jako jedną z sześciu grup nowoczesnych technologii, znajdujących się w orbicie szczególnych zainteresowań chińskich naukowców i inżynierów. Docelowo mają one być stosowane zarówno na platformach lądowych, jak i powietrznych. W dokumencie nie pojawiają się co prawda platformy morskie, ale jeśli sięgniemy do kolejnego opracowania, czyli raportu komisji Kongresu do spraw amerykańsko-chińskich relacji handlowych i w dziedzinie bezpieczeństwa, znajdziemy informację, że najprawdopodobniej w tego typu systemy będzie uzbrojony rozwijany obecnie krążownik projektu 055.

SYSTEMY LASEROWE

Czy Chińska Republika Ludowa jest wyjątkiem, jeśli chodzi o prace nad bronią laserową? A może po prostu wpisuje się w światowe tendencje w tej dziedzinie? Stany Zjednoczone na przy-

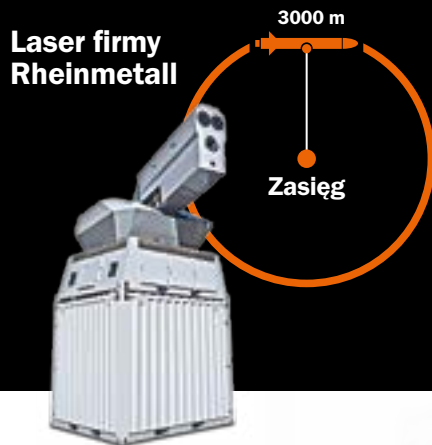
kład pracują nad co najmniej kilkoma laserami małej mocy, przeznaczonymi do obrony bezpośredniej okrętów i obiektów lądowych. Ich charakterystyki niewiele różnią się od siebie (ani od chińskiego odpowiednika).

Latem 2013 roku rozpoczęto próby LaWS (Laser Weapon System). Zamontowany na pokładzie USS „Ponce” będzie testowany co najmniej do 2017 roku, a głównym celem lasera o mocy 30 kW mają być samoloty bezzałogowe i szybkie łodzie motorowe. Roczna misja USS „Ponce” w rejonie Zatoki Perskiej może nawet stworzyć okazję do sprawdzenia broni przeciwko realnym celom – irańskim bezzałogowym statkom powietrznym.

Opracowywany przez Lockheed-Martina ADAM (Area Defense Anti-Munitions) to system lądowy, który montuje się na pojazdach. Testuje się teraz jego użycie przeciwko bezzałogowym statkom powietrznym, łodziom pólśzywnym oraz celom imitującym niekierowane pociski raketowe. Moc 10 kW gwarantuje skuteczny zasięg 2 km, a docelowo ma zostać zwiększona do 20–40 kW. Koncern, we współpracy z DARPA oraz laboratorium USAF, pracuje także nad montowanym na statkach powietrznych laserem ABC (Aero-adaptive Aero-optic Beam Control). Jest on teraz testowany na samolocie klasy biznes i ma mu zapewniać ochronę zarówno przeciwko samolotom, jak i pociskom raketowym. Amerykańska armia jeszcze w 2013 roku przeprowadziła próby opracowanego przez Boeinga systemu HEL MD (High Energy Laser Mobile Demonstrator). W ich trakcie montowany na podwoziu samochodowym system zniszczył ponad 90 pocisków artyleryjskich oraz kilka bezzałogowych statków powietrznych. HEL MD, podobnie jak ADAM, ma moc 10 kW. Docelowo mówi się jednak o mocy 50, a nawet 100 kW. W przyszłości ma służyć do ochrony między innymi amerykańskich baz operacyjnych w zagrożonych regionach świata. Wspomniane już laboratorium USAF prowadzi również prace nad zastosowaniem w samolotach bojowych przyszłości laserów mogących zwalczać nie tylko rakiety przeciwnika, lecz także jego samoloty i cele naziemne.

W Europie prace nad laserami przeznaczonymi do zwalczania pocisków artyleryjskich, bezzałogowych statków powietrznych czy łodzi prowadzi MBDA (40 kW mocy) oraz Rheinmetall (docelowo 100 kW). Ciekawy system laserowy na Singapore Airshow 2014 zaprezentował izraelski Rafael. Składa się on z dwóch laserów HEL (High Energy Laser) o mocy kilkudziesięciu kilowatów (docelowo około 100 kW). Podobnie jak inne rozwiązania tej klasy, ma on zwalczać pociski artyleryjskie, raketowe i bezzałogowe statki powietrzne. Wkomponowany w system Iron Beam będzie najprawdopodobniej tworzył najniższe piętro izraelskiego systemu antyrakietowego, uzupełniając w ten sposób systemy Arrow-3, Arrow-2, David's Sling i Iron Dome, by zapewnić bezpieczeństwo osie-

YAL-1, zamontowany na pokładzie zmodyfikowanego samolotu Boeing 747-400



ADAM (Area Defense Anti-Munitions)



MILITARIUM STUDIO
LOCKHEED MARTIN
BOEING

dłom położonym w bezpośrednim sąsiedztwie rejonów zagrożonych atakiem raketowym (jak np. położony 2 km od granicy ze Strefą Gazy Sderot).

ŚWIATOWE TENDENCJE

O ile wcześniej wojskowi skupiali się na urządzeniach dużej mocy, o tyle dziś w głównej orbicie ich zainteresowań znalazły się lasery małej mocy. Dzięki znacząco mniejszemu zapotrzebowaniu na energię są lekkie i łatwe w transporcie. Można też je zamontować na zwykłych samochodach lub niewielkich samolotach. Jednocześnie wydają się idealnym narzędziem do likwidacji celów, których zwalczanie do tej pory było technologicznie niemożliwe lub kosztowne. Chodzi o pociski artyleryjskie i niekierowane pociski raketowe, niewielkie bezałogowe statki powietrzne wykorzystywane do obserwacji, ale potencjalnie stanowiące też idealne narzędzie ataku terrorystycznego czy asymetrycznego, szybkie łodzie motorowe używane głównie przez przestępców i terrorystów, ale także niektóre państwa w działaniach o charakterze antydostępowym. Potencjalnym odbiorcą tego rodzaju urządzeń mogą być nie tylko siły zbrojne, lecz także policja i formacje paramilitarne.

Nie można jednak zakładać, że państwa nie interesują się już laserami dużej mocy. Przez wiele lat modelowym przykładem prac nad tego typu urządzeniami był amerykański eksperymentalny YAL-1, zamontowany na pokładzie tak zwanego ABL (Airborne Laser), czyli odpowiednio zmodyfikowanego Boeinga 747-400, popularnego jumbo jeta. Seryjne samoloty miały być elementem systemu obrony antyraketowej (Missile Defense – MD), umożliwiającym zestrzeliwanie wrogich pocisków

tuż po starcie, jeszcze w silnikowej fazie lotu. W wyniku rekonfiguracji koncepcji MD w 2009 roku program został zamroźony, a trzy lata później samolot wykonał ostatni lot. Nie oznacza to jednak, że w amerykańskich laboratoriach zaprzestano prac nad podobnymi systemami.

Doświadczenia z dużej mocy laserami mają też Chińczycy. W 2006 roku media obiegrała informacja o „osłepieniu” amerykańskiego satelity przez chiński laser. Donald Kerr, szef Narodowego Biura Rozpoznania, ograniczył się do stwierdzenia, że „nie doszło do żadnych zniszczeń i nie wpłynęło to na zdolność USA do gromadzenia informacji”. Wydaje się jednak, że pomimo rozbieżnych opinii naukowców na temat skuteczności tego rodzaju ataku, amerykańscy wojskowi traktują taką możliwość poważnie, tym bardziej że rok później ChRL przeprowadziła udaną próbę rakiety antysatelitarnej.

Nawet jeśli atak z użyciem takiej broni nie musi oznaczać fizycznej eliminacji, to zakłócanie pracy satelitów odpowiedzialnych za rozpoznanie i łączność ma być jednym z elementów chińskiej strategii antydostępowej, na co zwracają uwagę niemal wszystkie amerykańskie opracowania dotyczące tego tematu, w tym również raport komisji Kongresu do spraw amerykańsko-chińskich relacji handlowych i w dziedzinie bezpieczeństwa. O ile jednak informacje o laserach małej mocy są powszechnie znane, o tyle tych dotyczących prac nad ich „większymi braćmi” państwa już tak chętnie nie ujawniają.

Prawdopodobnie do końca dekady stosowanie laserów małej mocy w systemach obronnych nie będzie czymś niezwykłym, ale na wdrożenie systemów ofensywnych o dużej mocy trzeba jeszcze poczekać co najmniej kolejną dekadę. ■



TADEUSZ WRÓBEL

Głębinowe manewry

O australijskie zamówienie na nowe okręty podwodne rywalizują najwięksi ich producenci, a forma jego realizacji wzbudza wiele emocji.

Na ubiegłorocznej wystawie Euronaval w Paryżu francuski koncern stoczniowy DCNS zaprezentował koncepcję wielkiego okrętu podwodnego o napędzie konwencjonalnym. SMX „Ocean” ma mieć 4750 t wyporności na powierzchni i 100 m długości, co czyni go największą na świecie jednostką tej klasy. Większe są tylko okręty podwodne o napędzie atomowym.

Zasięg SMX „Ocean”, płynącego z prędkością 10 w., ma wynosić 18 tys. Mm. Autonomia pływania jest planowana na 90 dni. Okręt będzie mógł zejść na głębokość 350 m i pod wodą osiągnie prędkość 20 w. Napęd niezależny od powietrza, w którym będą używane ogniwa paliwowe drugiej generacji,

pozwoли mu, przy prędkości 4 w., przebywać w zanurzeniu do trzech tygodni.

„Ocean” zostanie uzbrojony nie tylko w wyrzutnie torped, lecz także w pionowe wyrzutnie rakiet. Ogółem jednostka będzie dysponować 34 sztukami różnorodnego uzbrojenia: torpedami, minami oraz pociskami przeciwokrętowymi, manewrującymi i przeciwlotniczymi. Z pokładu okrętu będą mogły operować wojska specjalne, bo znajdzie się tam miejsce między innymi na sprzęt dla 16 płetwonurków, pojazd podwodny i komora hiperbaryczna

DCNS potwierdza, że koncepcja „Oceanu” w dużej mierze opiera się na projekcie uderzeniowego atomowego okrętu

„Ocean” zostanie uzbrojony nie tylko w wyrzutnie torped, lecz także w pionowe wyrzutnie rakiet.

Zasięg SMX „Ocean”, płynącego z prędkością 10 w., ma wynosić 18 tys. Mm.

➔ Szwedzki rodowód

Zaprojektowane w końcu lat osiemdziesiątych XX wieku przez Kockmus AB okręty typu Collins są uważane za powiększoną wersję typu Västergötland, stworzonego dla szwedzkiej marynarki wojennej. Zbudowane w latach 1990–2003 jednostki mają 77,8 m długości i 3407 t wyporności w zanurzeniu. Na powierzchni, z prędkością 10 w., mogą przebyć 11,5 tys. Mm. Pod wodą pływają z prędkością do 20 w. i w zanurzeniu mogą przepłynąć 400 Mm. Ich autonomia pływania wynosi 70 dni. Uzbrojenie każdego z collinsów to sześć wyrzutni torpedowych kalibru 533 mm z zapasem 22 torped, dla których alternatywą są 44 miny morskie.

SMX „OCEAN” MA MIEĆ 4750 T WYPORNOŚCI NA POWIERZCHNI I 100 M DŁUGOŚCI, CO CZYNI GO NAJWIĘKSZĄ NA ŚWIECIE JEDNOSTKĄ TEJ KLASY

podwodnego typu Barrakuda, który w 2017 roku wejdzie do służby we francuskiej marynarce wojennej. Wraz z ujawnieniem informacji na temat tego projektu pojawiła się opinia, że ma to ścisły związek z australijskim programem nabycia do 12 nowych okrętów podwodnych, gdzie jako jeden z wymogów podano wyporność 4000 t. Potwierdzeniem tej opinii było otwarcie przez firmę w połowie listopada 2014 roku spółki zależnej DCNS Australia. Wydarzenie to było powiązane z wizytą w Australii prezydenta Francji François Hollande’a, któremu towarzyszyli szefowie dużych firm zbrojeniowych.

DCNS ma w swojej ofercie nie tylko SMX „Ocean”, lecz także okręt podwodny typu Scorpène, który został zamówiony już dla sił morskich Malezji (2 szt.), Chile (2), Brazylii (4) i Indii (6). Jednostka ta jednak jest znacznie mniejsza – największa wersja Scorpène, wybrana przez brazylijską marynarkę wojenną, ma tylko 2000 t wyporności.

MARZENIE O ANTYPODACH

Istnieją bardzo rozbieżne szacunki dotyczące kosztów australijskiego programu operacyjnego. Najczęściej podaje się kwotę 40 mld dolarów australijskich, z której połowa to cena kupna nowych okrętów. Dlatego nie tylko Francuzi pragną

zdołać to zamówienie. Niemiecka firma ThyssenKrupp Marine Systems Howaldtswerke-Deutsche Werft przedstawiła podczas Euronaval 2012 projekt okrętu podwodnego typu 216. Około 90-metrowa jednostka ma mieć 4000 t wyporności na powierzchni, czyli spełnia jeden z australijskich warunków. Okręt ten zostanie wyposażony w napęd niezależny od powietrza. Zasięg jednostki, przy prędkości 10 w., będzie wynosić 10,4 tys. Mm, a przewidywana autonomia pływania to 80 dni. Typ 216 będzie miał wyrzutnie torpedowe oraz pionowe. Zostanie też przystosowany do potrzeb wojsk specjalnych.

Rynkiem australijskim są również zainteresowani Szwedzi, tym bardziej że w przeszłości współpracowali przy projektowaniu obecnych okrętów australijskich typu Collins. Firma Saab złożyła rządowi w Canberze ofertę opracowania ich następcy o wyporności 4000 t. Nowe okręty budowano by w Australii lub dostarczono gotowe. Częścią oferty Saaba jest włączenie australijskich specjalistów z marynarki wojennej i firmy Australian Submarine Corporation z Adelajdy do prac przy jednostce typu A26, powstającej dla szwedzkiej marynarki wojennej (udział w tym projekcie Saab proponuje też Polsce). Rzecz w tym, że Szwedzi nie uczestniczyli we wcześniejszej fazie programu, gdyż ich projektant ➔



U.S. NAVY

OPCJA ATOMOWA

Alternatywą dla sześciu bardzo kosztownych w utrzymaniu i awaryjnych okrętów typu Collins był leasing od Stanów Zjednoczonych uderzeniowych atomowych okrętów podwodnych. Zwolennicy takiej koncepcji twierdzili, że Australii potrzebne byłoby osiem jednostek typu Virginia. Pierwsza weszła do służby w US Navy w 2004 roku. Dotąd zamówiono 28 okrętów, z których 11 jest już w służbie.

Virginia ma 114,8 m długości i 7925 t wyporności w zanurzeniu. Została uzbrojona w cztery wyrzutnie torpedowe oraz 12 wyrzutni pionowych z pociskami manewrującymi Tomahawk. Ze względu na atomowy napęd zasięg pływania jest nieograniczony. Czas pobytu poza portami zależy od zapasów żywności i wymogów obsługi technicznej.

i budowniczy okrętów podwodnych, firma Kockmus AB, czasowo był pod kontrolą ThyssenKrupp Marine Systems. Determinacja władz w Sztokholmie w dążeniu do zachowania narodowych zdolności w tej sferze sprawiła jednak, że Niemcy odsprzedali Kockmus grupie Saab.

Tymczasem obecny rząd Australii pod przewodnictwem premiera Tony'ego Abbotta nie chce otwartego przetargu i w programie nowych okrętów podwodnych zamierza wybrać jako partnera Japonię, bo, jak twierdzą jego ministrowie, nie ma czasu na przeprowadzenie takiej procedury. Poza tym japońskie firmy stoczniowe mają ogromne doświadczenie w budowie dużych oceanicznych okrętów podwodnych dla własnych morskich sił samoobrony. Ich najnowszym produktem jest typ Sōryū. Pierwsza taka jednostka weszła do służby w marcu 2009 roku i dotąd zbudowano siedem z dziesięciu planowanych egzemplarzy.

Okręty budowane przez Mitsubishi Heavy Industries i Kawasaki Heavy Industries mają 84 m długości, 2950 t wyporności na powierzchni i 4200 t w zanurzeniu. Ich zasięg, przy prędkości 6,5 w., wynosi 6,1 tys. Mm, a maksymalna prędkość w zanurzeniu to 20 w. Co ciekawe, okręty typu Sōryū, jako pierwsze w morskich siłach samoobrony, zostały wyposażone w silniki Sterlina, wyprodukowane przez Kockmus, które są podstawą napędu niezależnego od powietrza.

Japoński okręt ma sześć wyrzutni torpedowych kalibru 533 mm. Jego bronią są torpedy typu 89 z 267-kilogramową głowicą bojową o zasięgu 50 km oraz podwodna wersja pocisku przeciwokrętowego Harpoon, która razi cele odległe o 124 km.

W kwietniu 2014 roku australijski minister obrony David Johnston uznał okręty typu Sōryū za „bardzo imponujące”, a kilka miesięcy później zapowiedział, że jest planowany zakup do dziesięciu tych jednostek. Opcję nabycia przez Australię japońskich okrętów podwodnych popierają Stany Zjednoczone. Amerykanie postrzegają to posunięcie jako sposób zwiększenia interoperacyjności sił morskich swych kluczowych sojuszników w rejonie Pacyfiku w momencie, gdy bardzo szybko rośnie w siłę flota wojenna Chin.

POLITYCZNY KONFLIKT

W samej Australii koncepcja zakupu gotowych jednostek za granicą jest odbierana niejednoznacznie. Rząd znalazł się w ogniu krytyki politycznej opozycji i związków zawodowych, które naciskają na ogłoszenie otwartego przetargu. Premierowi wytknięto, że zamówienie okrętów za granicą byłoby złamaniem jego przedwyborczych obietnic, dotyczą-

cych tego, że następcy Collinsów powstaną w stoczniach południowej Australii.

„Byłby to odważny rząd, zmierzający do wyborów federalnych za około 18 miesięcy i jednocześnie twierdzący, że dobrą rzeczą jest transfer miejsc pracy za granicę, kiedy druga strona polityczna będzie argumentować, że dobrym pomysłem jest, aby wydawać pieniądze w Australii”, stwierdził cytowany przez Reutersa Martin Hamilton-Smith, minister do spraw przemysłu obronnego, inwestycji i handlu oraz spraw weteranów w rządzie stanu Południowa Australia, gdzie w przemyśle obronnym pracuje 27 tys. osób, w tym 3 tys. w stoczniach.


Tymczasem z Japonii nadeszły sygnały, że tamtejsze firmy raczej nie wezmą udziału w przetargu. Na taką procedurę gotowi są natomiast oferenci europejscy. Minister obrony David Johnston stwierdził jednak przed kilkoma miesiącami, że nie ma na to czasu. Okręty podwodne typu Collins zaczną bowiem być wycofywane około 2025 roku po prawie 30 latach służby.

Johnstona w sprawie odrzucenia żądania otwartego przetargu poparł minister skarbu Joe Hockey: „Nie mamy na to czasu, dlatego że Partia Pracy nie podjęła decyzji”. Zauważył, że zakup okrętów podwodnych to nie zakup samochodu. W trakcie politycznych polemik wypomniano Partii Pracy, że gdy była u władzy, w zakupach obronnych rzadko korzystała z takiej procedury, której domaga się teraz.

Także Defense Materiel Organization w pisemnej odpowiedzi na pytanie niezależnego senatora Nicka Xenophona stwierdziła, że „12 lat nie stanowi realistycznych ram czasowych dla zbudowania w kraju nowego projektu”. Ten polityk powołał się jednak na ekspertów stoczniowych, którzy mają odmienną opinię na ten temat. Senator przypominał, że okres od zaprojektowania okrętów typu Collins do zbudowania pierwszej jednostki wyniósł siedem lat. Jako inny przykład podał Włochy, gdzie zbudowanie okrętu podwodnego na podstawie projektu niemieckiego zajęło osiem lat.

Nową falę krytyki Johnston ściągnął na siebie, gdy stwierdził, że ASC może „zbudować kajak”, a nie okręt podwodny. Wypowiedź była o tyle kontrowersyjna, że dotyczyła firmy państwowej. Minister przeprosił za tę wypowiedź, ale wypomnił ASC niedotrzymywanie terminów i przekraczanie kosztorysów w projektach realizowanych dla marynarki wojennej. „Jesteśmy oburzeni jako rząd stanowy i myślę, że jest to wyraźny sygnał, że obietnica budowy 12 okrętów podwodnych w Australii Południowej była w najlepszym wypadku nieszczerą, a niektórzy twierdzą, że kłamstwem”, stwierdził minister Martin Hamilton-Smith. ■

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH



PRENUMERATA
ROCZNA:
6 WYDAŃ
W CENIE
5

ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 50 zł do 28 lutego 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

KOREA POŁUDNIOWA

Kontrowersyjny ratownik

W końcu grudnia 2014 roku DAPA, południowokoreańska agencja zajmująca się pozyskiwaniem uzbrojenia, przekazała marynarce wojennej pierwszy zbudowany w kraju okręt ratowniczy.

Tongyeong”, o wyporności 3500 t, powstał w 2012 roku i kosztował 150,7 mln dolarów. Jego przejęcie opóźniło się w związku z problemami ze specjalistycznym wyposażeniem. Prokuratura w Seulu poinformowała jesienią ubiegłego roku, że pewien lobbysta, a zarazem emerytowany komandor, jest podejrzany o przekupienie urzędników odpowiedzialnych za zakupy wyposażenia okrętu ratowniczego, między innymi kadłubowego sonaru i zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego. W związku z tą sprawą aresztowano dwóch innych emeryto-



wanych oficerów. Podczas rewizji w DAPA prokuratora zabezpieczyła dokumenty związane z tymi transak-

cjami. Późniejsza ich analiza wykazała, że doszło do sfalszowania oceny działania sonaru podkadłubowego, w który, oprócz „Tongyeonga”, miały być wyposażone trzy nowe niszczyciele min.

Przekazanie okrętu ratowniczego bez pełnego wyposażenia zaakceptowali 28 listopada 2014 roku szefowie połączonych sztabów. Według nowego harmonogramu pojazd podwodny ma się znaleźć na jego pokładzie nie później niż w grudniu tego roku. W wypadku sonaru datą graniczną jest wrzesień 2017 roku. WTR ■

TAJWAN

Nowość we flocie

WSuao, na północnym wschodzie Tajwanu, pod koniec grudnia 2014 roku przekazano marynarce wojennej największy okręt rakietowy, jaki dotąd powstał na wyspie. Korweta „Tuo Chiang” kosztowała 66,2 mln dolarów.

Jest katamaranem o 60,35 m długości, 14 m szerokości oraz 500 t wyporności. Oryginalnie okręt miał rozwijać maksymalną prędkość 38 w, ale podczas prób morskich osiągnięto aż

44 w. Zasięg nowej korwety wynosi 2 tys. Mm.

Główną bronią okrętu będzie osiem naddźwiękowych pocisków przeciwokrętowych Hsiung Feng III o zasięgu 130–150 km. Tyle samo ma być na nim też poddźwiękowych pocisków Hsiung Feng II. Załoga korwety liczy 41 marynarzy. „Tuo Chiang” ma wejść do służby w marcu 2015 roku, a w planach jest budowa jeszcze 11 okrętów tego typu. W W ■

ROC NAVY

[66,2]
mln dolarów





WŁOCHY

Kolejna trójka

Siły powietrzne zamówiły trzy dodatkowe samoloty szkolne M-346, które wraz z naziemnym systemem szkolenia i wsparciem logistycznym będą kosztować 120 mln euro. Pierwszych sześć maszyn, zamówionych w 2009 roku, kosztowało 220 mln euro. Docelowo Włosi chcą mieć 15 sztuk M-346. Samoloty, noszące miejscowe oznaczenie T-346A, znajdują się w 61 Skrzydle, stacjonującym na lotnisku Galatina-Lecce na południu Włoch. w

wionych w 2009 roku, kosztowało 220 mln euro. Docelowo Włosi chcą mieć 15 sztuk M-346. Samoloty, noszące miejscowe oznaczenie T-346A, znajdują się w 61 Skrzydle, stacjonującym na lotnisku Galatina-Lecce na południu Włoch. w

CHINY

Śmigłowce w darze

W tym roku Chiny chcą podarować swemu najbliższemu sojusznikowi, Pakistanowi, trzy śmigłowce uderzeniowe CAIC WZ-10. Maszyny te mają pomóc pakistańskiej armii w walce z rebelią. Jeśli rzeczywiście WZ-10 zostaną przekazane, Chiny odniosą z tego gestu różne korzyści. Oprócz wzmocnienia sojuszniczych relacji, bę-

dzie to okazja do sprawdzenia nowego śmigłowca w realnych warunkach wojennych. Jednocześnie poprawi się pozycja Pekinu w rozgrywce o pakistańskie zamówienie na nowe śmigłowce uderzeniowe. Rywalami WZ-10 są turecki T-129 oraz rosyjski Mi-35. Obecnie pakistańska armia ma 35 amerykańskich maszyn AH-1F Cobra. w T

ARABIA SAUDYJSKA

Wyprzedaż myśliwców

Na sprzedaż Arabia Saudyjska wystawiła 79 myśliwców F-5E/F Tiger II. Zainteresowani ich zakupem powinni złożyć ofertę wraz z gwarancją bankową. Otwarcie kopert nastąpi 20 lutego. Wystawione na sprzedaż samoloty zostały zamówione przez Saudyjczyków w latach siedemdziesiątych XX wieku. 28 lipca 1971 roku minister obrony książę Sultan bin Aziz podpisał umowę na dostawę 20 szkolno-bojowych F-5B, które zastąpiły maszyny F-86. 29 września tego samego roku zawarł drugą umowę, tym razem na 30 samolotów F-5E. W kolejnych fazach programu

„Peace Hawk” USA dostarczyły Arabii Saudyjskiej jeszcze 40 egzemplarzy F-5E i 24 sztuki F-5F. Te ostatnie też były dwumiejscowymi maszynami szkolno-bojowymi, ale miały większe zdolności bojowe niż F-5B. Samoloty rozmieszczono w trzech bazach lotniczych: Az-Zahran, Taif i Chamis Muzajt. Przedstawiciele producenta, koncernu Northrop Grumman, szacują, że w siłach powietrznych jest nadal od 800 do 1500 samolotów, ale tylko od 200 do 400 może się wzbić w powietrze. Dla ich użytkowników oferta saudyjska jest szansą na uzupełnienie floty F-5 lub pozyskanie części zamiennych. w T



IZRAEL

Dofinansowane patrolowce

Beniamin Netanjahu zakomunikował pod koniec grudnia 2014 roku, że podpisano umowę z Niemcami na budowę czterech dużych okrętów patrolowych. Powstaną one na podstawie projektu korwety Meko A-100 firmy Thyssen-Krupp Marine Systems. Wcześniej w niemieckiej gazecie „Bild am Sonntag” podano, że rząd w Berlinie dofinansuje izraelski zakup (115 mln euro), którego wartość wyniesie około 1 mld euro. Niemcy wsparły dotychczas budowę dla Izraela sześciu okrętów podwodnych typu Dolphin. Budowę dwóch z nich sfinansowały w 100%. w RT

USA

Fregaty na zbyciu



USS „McClusky” U.S. NAVY

Prezydent Barack Obama w grudniu 2014 roku podpisał ustawę, która otwiera drogę do dostaw fregat rakietowych typu Olivier Hazard Perry do Meksyku i Tajwanu. Meksykańska marynarka wojenna dostanie dwie jednostki – USS „Curtis” (FFG-38) i USS „McClusky” (FFG-41) – jako grant (obie weszły do służby w US Navy w 1983 roku). Tajwan natomiast za swoje okręty będzie musiał zapłacić. USA postanowiły sprzedać mu cztery fregaty: USS „Taylor” (FFG-50), USS „Gary” (FFG-51), USS „Carr” (FFG-52) i USS „Elrond” (FFG-55). W latach 1977–1989 do służby w US Navy weszło 51 fregat typu Olivier Hazard Perry. Ostatnie z nich mają być wycofane we wrześniu 2015 roku. T

RO S J A

Władimir i reszta

Bandere rosyjskiej marynarki wojennej 19 grudnia 2014 roku oficjalnie podniesiono na atomowym okręcie podwodnym „Władimir Monomach” uzbrojonym w rakiety balistyczne. Jest to już trzecia jednostka projektu 955 Borej (Boreasz), która weszła w skład floty wojennej. „Władimira Monomacha” przydzielono do 25 Dywizji Okrętów Podwodnych Floty Oceanu Spokojnego, stacjonującej w Wiluczinsku. Wcześniej flota ta otrzymała innego „boreasza”, „Aleksandra New-

skiego”. „Jurij Dołgorukij” służy natomiast we Flocie Północnej.

W budowie są trzy kolejne „boreasze” – „Książę Oleg”, „Książę Władimir” i „Generalissimus Suworow” (wcześniej miał nosić imię „Książę Suworow”). Prace nad tym ostatnim rozpoczęły się 26 grudnia 2014 roku. Do 2020 roku ma być zbudowanych osiem takich okrętów, ale od czwartego zmieniło się ich oznaczenie na projekt 955A. T E D



I V E C O

LIBAN

Pakiet pojazdów

Włoska firma Iveco w połowie grudnia 2014 roku podpisała wart 30 mln euro kontrakt na dostawę 80 pojazdów wojskowych i policyjnych do Libanu. Najwięcej, bo 25 sztuk, zamówiono lekkich pojazdów opancerzonych VTLM Lince, pięć większych VTMM w wersji transportera piechoty oraz dziesięć sześciokołowych transporterów opancerzonych VBTP. Resztę libańskiego kontraktu stanowią samochody policyjne i ciężarówki. W T

U S A

Czas na następcę

Armia amerykańska powierzyła koncernowi BAE Systems opracowanie i wdrożenie do produkcji nowego gąsienicowego pojazdu wielofunkcyjnego (Armoured Multipurpose Vehicle), który zastąpi transportery M-113. Na po-

czątek firma dostanie 382 mln dolarów na opracowanie i wyprodukowanie w ciągu 52 miesięcy 29 pojazdów w pięciu wersjach. Jeśli testy się powiedzą, to BAE Systems otrzyma zamówienie na 289 wozów produkcji przedse-

ryjnej, a wtedy wartość kontraktu wzrośnie do 1,2 mld dolarów. Wtedy też ruszy produkcja seryjna. US Army chce wymienić 2897 M-113 znajdujące się w brygadach ciężkich. W R O B

B A E S Y S T E M S





nr 14.

Chorąży sztabowy - ubiór polowy
rys. Monika Rokicka



Nr 14.

Ubiór polowy

**CHORAŻY SZTABOWY, 77 DYWIZJON
RAKietOWY OBRONY POWIETRZNEJ
(2008 ROK)**

Przedstawiamy żołnierza sił powietrznych w ubiorze polowym. Podoficer nosi mundur polowy wzór 93 127A/MON, składający się z bluzy i spodni. Na kieszeni na lewym rękawie jest widoczny rzep do mocowania oznaki rozpoznawczej, a nad kieszenią znajduje się oznaka przynależności państwowej – naszywka z flagą Rzeczypospolitej Polskiej. Żołnierz nosi pochwętkę ze stopniem chorążych sztabowych, który wprowadzono w Wojsku Polskim w 1967 roku, a zniesiono w 2004 roku. Podoficerowie, którzy nie awansowali, nosili jednak nadal „trzy gwiazdki”. Dopiero od 1 stycznia 2014 roku chorążych sztabowych awansowano na starszych chorążych sztabowych. Nogawki spodni munduru są wypuszczone na trzewiki. Żołnierz na głowie ma furażerkę polową wzór 93 z orłem lotniczym, używaną jedynie w siłach powietrznych.



nr 15.

*Żołnierz, Polski Kontyngent
Wojskowy w Afganistanie
(2014 rok)*

77 Dywizjon Raketowy Obrony Powietrznej

Jednostka sformowana w 1979 roku weszła w skład 79 Samodzielnego Pułku Raketowego Obrony Powietrznej. Dowództwo dywizjonu i koszary znajdowały się w Poznaniu, a stanowisko ogniowe w rejonie miejscowości Złotkowo niedaleko poligonu w Biedrusku. Były tam rozmieszczone przeciwlotnicze zestawy raketowe S-125 Newa. W latach osiemdziesiątych XX wieku poznańscy przeciwlotnicy wykonywali strzelania raketowe w Kazachstanie, któ-

ry wówczas był jedną z republik ZSRR. W 1990 roku 77 DROP przeniesiono do nowego garnizonu koło Nowej Gośliny. W 1998 roku, po rozformowaniu 79 SPRO, jednostka wraz z dwoma innymi dywizjonami przeszła w podporządkowanie 1 Śląskiej Brygady Raketowej OP w Bytomiu. W związku z kolejnymi zmianami strukturalnymi w siłach powietrznych dywizjon 31 grudnia 2011 roku został rozformowany. ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



...O DŁUGICH ZĘBACH FLOTY

Marynarka lądowa

- Czekali my, czekali, ale się doczekali.
 - Siły Zbrojne RP dzięki MON dostaną kolejną baterię NSM i z NDR zrobił się MJR.
- Wiesz, że za tyle skrótów w jednym zdaniu to kiedyś z polskiego pałę byś dostał i...
 - E tam! Ważne, że flota dostanie kolejne rakiety.
- A nie pogubią się w tym? Przecież mają już harpuna, co prawda nieco starego, ale są nowsze RBS-y. Najpierw ze Szwecji przyszły Mk2, ostatnio też wreszcie wyszli w morze z Mk3. Teraz dla nadbrzeżnego dywizjonu dostają rakiety NSM, ale to wszystko i tak błędnie wobec zapowiedzi, że „Orka” będzie mieć pociski manewrujące dalekiego zasięgu!
 - Uff, strach się bać. Ale czy marynarze są zadowoleni? Robi nam się marynarka lądowa.
- Fakt. Można zapytać, czy nowe etaty dla lądowej w końcu Morskiej Jednostki Rakietowej znów znajdą się kosztem załóg okrętowych.
 - No, dla marynarzy NDR ma to taki słodko-gorzki smak, nieprawdaż? Ile to już trzeba było wycofać ze służby okrętów, aby zwolnić etaty?
- Chyba dwa – tarantule.
 - Za to teraz nic przez Bałtyk się nie prześlizgnie. NSM-y mają taki zasięg, że mogą dolecieć spod Jastrzębiej Góry prawie do Szwecji. 200 kilometrów.
- Pięknie, pięknie. Szkoda tylko, że radar baterii widzi tylko na 50...
 - Można też wprowadzić do komputera pocisku cele stacjonarne na lądzie i łup.
- Wtedy zrobi się z niego najdroższa bomba latająca.
 - Dlaczego najdroższa?
- Bo jeden taki pocisk kosztuje kilkanaście milionów dolarów, głowicę ma przy tym malutką, więc trzeba naprawdę ważnego celu na lądzie, aby warto robić takie łup...
 - Cele, jak trzeba będzie, to się znajdą...
- Myślisz, że dadzą choć raz na ćwiczeniach marynarzom z tego strzelić?
 - A dali kiedyś naszym pilotom odpalić R-27?
- Nie ma warunków bezpieczeństwa.
 - I właśnie dlatego NSM-y testowano na amerykańskiej pustyni.
- Pocisk przeciwokrętowy na pustyni. To jest dopiero fortel wojenny! Nie przesadzaj, Atlantyk jest duży. Może gdzieś na północy?
 - Nie da rady. Jak wystraszysz białe niedźwiedzie, to się ekolodzy wkurzą.



| BLISKI WSCHÓD |

TOMASZ OTŁOWSKI

DZIWNA WOJNA

Państwo irackie jest częścią dwóch różnych sojuszy polityczno-militarnych, które mają wprawdzie ten sam cel, ale działają niezależnie od siebie. Na razie w miarę zgodnie.



الجمهورية العراقية
القوات المسلحة العراقية
القوة الجوية العراقية

REUTERS/MUSHTAQ MUHAMMED/FORUM



M

iędzynarodowa operacja militarna przeciwko Państwu Islamskiemu (IS) od pierwszych uderzeń powietrzno-rakietowych skupia się w głównej mierze na irackim teatrze działań. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że w momencie podejmowania decyzji o powołaniu „koalicji chętnych” do walki z kalifatem jego siły stały już u bram Bagdadu, upojone licznymi zwycięstwami, pokonawszy wcześniej w zaskakująco łatwy i szybki sposób naj-

lepsze jednostki armii irackiej w północnych prowincjach kraju. To również oczywisty rezultat skomplikowanej sytuacji strategicznej w regionie Lewantu i Mezopotamii, w której walczący z Państwem Islamskim rząd Syrii jest traktowany przez wszystkich członków koalicji – ponad 60 – jako wróg niewiele tylko lepszy (bo mniej groźny?) niż kalifat.

W tej sytuacji wszelkie działania militarne koalicjantów przeciwko IS w Syrii muszą, chcąc nie chcąc, obiektywnie umacniać reżim prezydenta Baszszara al-Asada, a to jest dla koalicji nie do pomyślenia. I w ten oto sposób toczy się ta niby-wojna z Państwem Islamskim, w której bardziej chodzi o przywrócenie dawnych granic między Irakiem a Syrią i dotychczasowego geopolitycznego status quo, niż o rozwiązanie rzeczywistych problemów, z powodu których kalifat w ogóle powstał i cieszy się (o dziwo) autentycznym poparciem niemałej części sunnickich muzułmanów na całym świecie.

Gdy w październiku i listopadzie 2014 roku uwaga światowej opinii publicznej skupiła się na północnosyryjskim kurdyjskim mieście Kobane, jego bohaterskich obrońcach (i obrończyniach), a także niebywałym dramacie setek tysięcy cywilów atakowanych przez przeważające siły kalifatu, dowódcy koalicji nie mieli wyjścia i musieli wpisać na listę celów również pozycje IS wokół tego „kurdyjskiego Stalingradu”. Podobnie zresztą, jak cele należące do islamistów w regionie syryjskiego Aleppo, gdzie nagle ofensywa Państwa Islamskiego zdziesiątkowała (i niemalże rozbiła) ugrupowania „umiarkowanych” sunnickich rebeliantów, będących nadzieją planistów z Pentagonu na stworzenie sił lądowych do walki z tą organizacją.

ZIELONE LUDZIKI Z IRANU

Beneficjentem tej skomplikowanej sytuacji geopolitycznej jest niewątpliwie głównie syryjski prezydent – autentycznie wzmocniony, w sensie strategicznym i operacyjnym, nalotami koalicji na cele Państwa Islamskiego w Syrii oraz wspomnianymi klęskami poniesionymi przez proza-

chodnich rebeliantów z rąk siepaczy kalifatu. Na takim przebiegu tej wojny korzystają jednak także iraccy szyici, a wraz z nimi Iran.

Równolegle bowiem do szerokiej międzynarodowej koalicji przeciwko IS, sformowanej we wrześniu 2014 roku pod przywództwem Stanów Zjednoczonych i prowadzącej obecnie kampanię (mocno ograniczonych) uderzeń powietrznych na cele kalifatu, istnieje i działa militarnie drugi sojusz na rzecz obrony geopolitycznego status quo w regionie bliskowschodnim. Sojusz zainicjowany i faktycznie utworzony przez Islamską Republikę Iranu, z wydatną polityczną i materiałową pomocą takich potęg globalnych, jak Chiny i Rosja. Sojusz, skupiający nie tylko państwa, lecz także ludzi i organizacje, głównie szyitów.

Gdy latem 2014 roku wydawało się, że losy Iraku są już przesądzone, że jest już tylko kwestią czasu, kiedy hordy neobarbarzyńców z Państwa Islamskiego wtargną na ulice Bagdadu, zamieniając to miasto w piekło na ziemi, niczym pamiętni Mongołowie w 1258 roku, do akcji wkroczyli Irańczycy. Błyskawicznie przerzuceni do Iraku instruktorzy z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (Pasdaran) ogarnęli resztki rozbitej i zdemoralizowanej armii irackiej (często zresztą mimochodem współpracując – o dziwo zgodnie! – z doradcami amerykańskimi, mającymi w Iraku to samo zadanie). Za trenerami pojawiły się także regularne jednostki Pasdaranu (ok. 1–2 tys. ludzi).

Z przyczyn oczywistych Strażnicy działają w Iraku jako ochotnicy – odziani w mundury bez dystynkcji i oznaczeń taktycznych, przypominają jako żywo słynne rosyjskie „zielone ludziki” z Krymu. Nawet wyjaśnienia Teheranu co do obecności jego żołnierzy w Iraku brzmią znajomo („osoby te udały się do Iraku na własną rękę, będąc na urlopiach i czasowych zwolnieniach ze służby w kraju”). Warto odnotować ten fakt jako kolejny przyczynek do tezy o zmieniającej się naturze współczesnych konfliktów zbrojnych.

Wraz z najlepszymi ludźmi do Iraku wysłano także uzbrojenie, tysiące ton amunicji i wyposażenia wojskowego, w tym sprzęt ciężki – transportery, wojskowe ciężarówki, śmigłowce. Teheran – starając się zresztą utrzymać całą sprawę w tajemnicy – w lipcu 2014 roku „przekazał” również Irakowi siedem samolotów szturmowych Su-25. Istnieją podejrzenia, że są to te same maszyny, które na początku 1991 roku na rozkaz Saddama Husajna ewakuowano z Iraku do Iranu tuż po rozpoczęciu przez USA i ich sojuszników operacji „Pustynna burza”.

Co więcej, jest niemal pewne, że te samoloty – które prawie natychmiast weszły do akcji – są obecnie pilotowane przez lotników irańskich. Irackie siły powietrzne już od 2003 roku nie dysponują bowiem samolotami typu Suchoj, od tego czasu nie szkolono więc i nie utrzymywano



U S A R M Y

Wraz z najlepszymi ludźmi do Iraku wysłano także uzbrojenie, tysiące ton amunicji i wyposażenia wojskowego, w tym sprzęt ciężki.

w służbie pilotów takich maszyn. Poza tym, w czasach reżimu Husajna irackie siły powietrzne, zwłaszcza korpus pilotów samolotów szturmowych i myśliwskich, były zdominowane przez sunnitów.

Trudno obecnie podejrzewać, aby szyickie w większości władze w Bagdadzie mogły w pełni zaufać sunnickim wojskowym, do tego wywodzącym się ze znienawidzonego reżimu. Pośrednim potwierdzeniem takiego stanu rzeczy mogą być doniesienia, że to właśnie dawni iraccy piloci wojskowi uczyli w październiku 2014 roku trudnej sztuki latania maszynami typu MiG-21 i MiG-23 młodych adeptów pilotażu z Państwa Islamskiego w jednej z niegdysiejszych baz syryjskich sił powietrznych, zajętych przez siły kalifatu.

Wraz ze Strażnikami Rewolucji Irańczycy wysłali do Iraku ludzi doświadczonych w tworzeniu lokalnych formacji paramilitarnych. Funkcjonariusze ci – w Iranie działający w proreżimowej, fanatycznej ludowej milicji Basidż (Basidże-e-Mostazafan, Ruch na rzecz Mobilizacji Uciśnionych) – zajęli się w Iraku budową szerokiego frontu nieregularnych grup ochotniczych, złożonych głównie z szyitów (ale także chrześcijan, jazydów i innych mniejszości). Werbunek do tych struktur nie ograniczał się jednak wyłącznie do obszaru samego Iraku. Emisariusze irańscy udali się (nieraz w wielkiej konspiracji) wszędzie tam, gdzie żyją wspólnoty szyickie – począwszy od Libanu, Arabii Saudyjskiej i Jemenu, przez Bahrajn i Kuwejt, na Azerbejdżanie, Afganistanie i Pakistanie kończąc. Tysiące ochotników z tych jakże różnych zakątków świata islamu zjechało w ciągu kilku tygodni do obozów szkoleniowych na terenie Iraku, kierując się wezwaniami swych religijnych liderów. Choć czę-

sto mówią różnymi językami i należą do różnych grup etnicznych, wywodzą się z jakże odmiennych środowisk kulturowo-cywilizacyjnych, to jednak łączą ich dwie zasadnicze cechy: przynależność do tego samego wyznania w ramach islamu – szyizmu („shi’atu Ali”, czyli stronników Alego) oraz poczucie (przeświadczenie?) o śmiertelnym zagrożeniu, tkwiącym w umacniającym się w Lewancie sunnickim kalifacie Państwa Islamskiego.

IRAŃSKA OPTYKA

Teheran od początku swej walki z kalifatem nie waha się przed używaniem retoryki religijnej i teologicznej do opisywania tego, co dzieje się obecnie w tej części Bliskiego Wschodu. W optyce irańskiej wojna z Państwem Islamskim jawi się bowiem w sposób oczywisty jako kolejna odsłona odwiecznego starcia szyitów z sunnitami – dobra ze złem; właściwej (czyli szyickiej) interpretacji islamu z tą wypaczoną, prezentowaną przez sunnitów. W takim podejściu nie ma miejsca na poszukiwanie kompromisu i pokojowego rozwiązania, na pojednanie i miłosierdzie.

Podobnie zresztą jak w działaniach bojowników Państwa Islamskiego, którzy tamtego pamiętnego, gorącego lata 2014 roku zabijali na miejscu w wymyślny, brutalny sposób wszystkich pojmanyh irackich żołnierzy będących szyitami (a tacy – o czym warto pamiętać! – stanowili większość personelu jednostek armii dyslokowanych na północy Iraku). Obficie przelana wtedy szczyka krew domaga się dzisiaj tradycyjnej pomsty współwyznawców, co w najbliższym czasie istotnie będzie wpływać na dynamikę konfliktu w Iraku.



Te nieregularne milicje szyckie – irańskie, irackie i złożone z ochotników z całego bez mała świata – trzymają obecnie w szachu oddziały kalifatu na przedpolach Bagdadu. Ofensywa Państwa Islamskiego wyraźnie straciła impet i utknęła tuż przed iracką stolicą, choć nie do końca jeszcze wiemy, czy nie jest to sprytny wybieg strategiczny liderów IS, którzy po prostu chcą, abyśmy sądzili, że tak właśnie sytuacja wygląda. Niezależnie od tego bezsporny pozostaje fakt, że to właśnie szyccy ochotnicy i irańskie „zielone ludziki” faktycznie obronili Bagdad w najgorszych dniach i godzinach szturm oddziałów Państwa Islamskiego latem 2014 roku. Nie przyczytny się do tego ani iracka armia (w istocie już nieistniejąca), ani koalicyjne ataki lotnicze.

Bezpośrednie zaangażowanie Islamskiej Republiki Iranu w Iraku po stronie władz nie ograniczyło się jednak do obrony Bagdadu i zagrożonych szyckich sanktuariów w prowincjach Babil i Karbala. Irańczycy aktywnie wsparli bronią, doradcami i funduszami także irackich Kurdów w ich dramatycznej walce przeciwko oddziałom Państwa Islamskiego w regionie Irbilu i Kirkuku. Również tutaj irańscy oficerowie z Pasdaranu niemal ocierają się co dzień o amerykańskich i brytyjskich doradców wojskowych, pełniących służbę w otwartym wiosną 2014 roku w Irbilu wspólnym amerykańsko-irackim centrum operacyjnym, koordynującym działania koalicji w północnej części kraju.

Jak dotychczas, apogeum irańskiego zaangażowania militarnego w Iraku przeciwko siłom kalifatu to bezprecedensowa decyzja o ściągnięciu do Bagdadu jesienią 2014 roku kilkuset doradców i instruktorów z libańskiego Hezbollahu. Oficjalnie żołnierze ci – należący do najbardziej elitarnych jednostek Partii Boga, z doświadczeniem z walk w Syrii (a wielu zapewne także z bojów z Izraelczykami w Libanie Południowym) – nie uczestniczą w walkach z IS. W odróżnieniu od doradców z wielu innych państw, pełnią oni jednak służbę na pierwszej linii frontu, towarzysząc mało jeszcze ostrzelanym i zgranym szyckim formacjom ochotniczym.

Taką samą strategię Irańczycy zastosowali w czasie wojny w Syrii – umieszczanie grup doświadczonych żołnierzy Hezbollahu przy paramilitarnych oddziałach wiernych reżimowi Al-Asada bardzo szybko wpłynęło na poprawę ich operacyjnej efektywności i w rezultacie zmieniło przebieg konfliktu. Warto przy tej okazji zauważyć, że walka z Państwem Islamskim w Iraku to drugi (po Syrii) „zagraniczny front”, na którym są zaangażowani obecnie libańscy szyicy z Partii Boga. To także kolejny dowód na to, że Teheran ma coraz większy wpływ na iracką rzeczywistość polityczną.

ODNOWIONY SOJUSZ

Zaangażowanie irańskie w Iraku na rzecz walki z kalifatem jest jednak tylko częścią działań wspomnianej „drugiej koalicji”, alternatywnej wobec stworzonej przez Stany Zjednoczone oraz ich zachodnich i arabskich sojuszników. Ważnym elementem tego równoległego sojuszu jest także Federacja Rosyjska. Moskwa, przez kilka dekad (od końca lat pięćdziesiątych XX wieku aż do upadku reżimu Hussajna w 2003 roku) blisko współpracująca z Irakiem, ponownie staje się dzisiaj ważnym partnerem strategicznym dla Bagdadu. Nie ukry-

wa przy tym, że jej celem – podobnie jak w wypadku zaangażowania w Syrii po stronie władz w Damaszku – jest odzyskanie silnej niegdyś pozycji i wpływów na Bliskim Wschodzie, osłabionych po 1991 roku.

Gdy w czerwcu 2014 roku zagony kalifatu pojawiły się na rogatkach irackiej stolicy, Rosjanie nie bawili się w dyplomację. Z właściwym sobie zaangażowaniem błyskawicznie zorganizowali dostawę do Iraku samolotów szturmowych Su-25, kupionych (po niezwykle korzystnej cenie) przez władze w Bagdadzie. Pierwsze dwie maszyny tego typu zostały przywiezione do niezidentyfikowanej bazy sił powietrznych Iraku na pokładzie olbrzymiego transportowca An-124 Condor już na początku lipca 2014 roku. Podobnie jak w wypadku opisywanych wcześniej samolotów Su-25 dostarczonych Irakowi przez Iran, także i te maszyny niemal od razu weszły do akcji w okolicach Bagdadu. I tu również powstaje pytanie: kto siedział (siedzi?) za ich sterami? Czy Rosjanie, Irańczycy, czy też – jak „wieść gminna” w Iraku i całym regionie niesie – raczej najemnicy z Ukrainy i Białorusi?

Niezależnie od odpowiedzi, faktem jest, że Rosjanie znaleźli się w gronie najbliższych sojuszników Bagdadu. W ciągu ostatnich miesięcy Moskwa dostarczyła Irakowi tysiące ton sprzętu i wyposażenia wojskowego, w tym wiele nowoczesnych systemów i typów uzbrojenia. W większości tych kontraktów zawarto klauzule mówiące o tym, że w pierwszym okresie użytkowania danego sprzętu na miejscu (w Iraku) będą „doradcy i technicy” ze strony producenta. W praktyce oznacza to dzisiaj obecność w Iraku kilkuset rosyjskich wojskowych (oficerów, podoficerów, szeregowych i techników).

Miarą uznania ze strony władz irackich dla działań Rosji stało się powołanie w Bagdadzie jesienią 2014 roku wspólnego iracko-rosyjsko-irańskiego centrum koordynacji działań operacyjnych. Tuż obok, już kilka miesięcy wcześniej, powołano podobne centrum, iracko-amerykańskie. Nic lepiej nie obrazuje stopnia skomplikowania rzeczywistości geopolitycznej, w jakiej toczy się dzisiaj ta „dziwna wojna” z kalifatem.

Bez wątplenia Irak stanowi obecnie prawdziwe centrum walki z IS. Państwo irackie – jego rząd, instytucje, siły bezpieczeństwa – jest częścią dwóch różnych sojuszy polityczno-militarnych, które mają wprawdzie ten sam cel, ale działają niezależnie od siebie. Na razie w miarę zgodnie. Sytuacja, w której w jednym kraju (ba, nierzadko nawet w jednym kwartale tego samego miasta) na co dzień spotykają się oficerowie i żołnierze z wrogich (lub co najmniej nieprzyjaznych) sobie armii, mogłaby prowadzić do napięć i konfliktów. W wypadku Iraku i wojny z kalifatem na razie udało się uniknąć zadrażnień, głównie ze względu na powagę sytuacji operacyjnej na froncie, choć rzeczywistość na miejscu nie jest oczywiście komfortowa dla nikogo. Ani dla Amerykanów, ani dla Irańczyków czy Rosjan, ani tym bardziej dla oficerów z libańskiego Hezbollahu, uważanego oficjalnie przez USA za ugrupowanie terrorystyczne.

Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, jak długo da się prowadzić taką „dziwną wojnę” i czy przypadkiem ten koalicyjny dualizm nie wpłynie jednak negatywnie na ostateczny wynik konfliktu z Państwem Islamskim. Ze szkodą dla wszystkich zaangażowanych dzisiaj w walkę z tym zagrożeniem. ■

ROSJANIE ZNALEŻLI SIĘ W GRONIE NAJBLIŻSZYCH SOJUSZNIKÓW BAGDADU

POLSKA ZBROJNA

PISMO CODZIENNE

PREKUPATA: w Warszawie miesięcznie z odroczeniem do domu 600 mk., poza Warszawę miesięcznie z przesyłką pocztową 600 mk., za granicą i w Głogoku miesięcznie 800 mk. Cena numeru 20 mk.
Adres redakcji i administracji: Podwale Nr. 1. Telefon 30-22 (redakcja dzienna), 31-46 (redakcja nocna od godziny 11-ej w noc), 184-75 (administracja), 31-30 (składowa). Poczta: konto ciekawe N.

OGŁOSZENIA: sadzone (w tablicy i szpalty) wiersz 300 mk., niekręgiel (3 szp.) wiersz 150 mk., przed tablicą (3 szp.) wiersz 250 mk., reklamy (za tablicą 4 szp.) 125 mk., wyjątki (3 szp.) 75 mk., drobne za wyraz 15 mk. Ogłoszenia drobne dla poszukujących pracy po 10 mk. za wyraz. Ogłoszenia składowe z 30 proc. dotąd. Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Warszawa, środa-sobota, 5—8 października 1921 r.

Od REDAKCJI

Do PP. Oficerów i Urzędników Wojskowych.

Szanowni Koledzy! Rozpoczynając za zewołaniem P. Ministra Spraw Wojskowych wydawanie „Polski Zbrojnej”, zwracamy się do Was z gorącym wezwaniem o współpracę, współdziałanie i pomoc, by organ naszego życia wojskowego stanął na tej wyżynie, na jakiej pismo, poświęcone sprawom Armji, stać w Polsce powinno.

Nierobność takiego pisma prasowego jest aż nadto widoczna i coraz dobitniej odczuwać się daje.

Reakcja psychiczna po wojnie poczyniła zamętać się osłabieniem dotychczasowego zainteresowania się wojskiem, odwołaniem sympatii od żołnierza i dawaniem pochodu wszelkiemu rodzajowi błędny, nieostrożny lub tendencyjny nie potraczonym na niekorzyść Armji i jej korpusu oficerskiego popokusom i wstajom. Pismo codzienne, rzeczowe i źródłowo informujące ogół o życiu Armji, przystające fałszy i błędy, piętnujące rzeczywiste działania na jej szkodę i odpięające nasychniał wszelką krzywdę, wyrządzoną bądź Armji, bądź poszczególnemu jej przedstawicielowi, stanie się najlepszym regulatorem stosunku społeczeństwa do Armji i najmniejszym środkiem wzmacniania i utrwalania zobopólnej miłości, szacunku i szacunku.

Posatem w korpusie oficerskim, rozpoczynającym swój byt pokojowy, musi zapanaować zupełna harmonia, solidarność i doskonałość koleżeńska, by zespół jego przekształcił się w jedną otwioną wspólnotę i wspólną pracę byt, wyrzyszoną z przypadekowych domieszek i miazmat, bez skazy na honor i bez szarejby na cnotę obywatelską. Dla osiągnięcia tego musi się zjednoczyć zbiorowa opinia korpusu oficerskiego i posiadać taką moc i siłę, by nie mogło być pism i staj sławy na mundurze, symbolizującym męstwo, tężym ducha i jego ryceńskości. Do takiego zwracania opinii pismo, dające wyraz wszelkiej rzetelnej pracy i zastawom, a piętnujące hańbę

i gnuśność, bardzo przyczynić się może, ukazując istotną wartość i prawdziwe oblicze oficera polskiego.

Dlatego, składając przedewszystkiem w ręce Wasze dalsze losy „Polski Zbrojnej”, zwracamy się z głęboką prośbą do wszystkich Szanownych Kolegów, by zechcieli traktować pismo, jako swój organ własny, dzieląc się wszelkimi swoimi myślni, spostrzeżeniami i uwagami oraz nadysyłając wszelkie wiadomości i informacje, gdyż tylko wtedy „Polska Zbrojna”

rządzenia i rozkazy oficjalne, ogół wojska i społeczeństwo obchodzące.

„POLSKA ZBROJNA” poza sprawami ogólnymi i wojskowymi szeroko także omawiać będzie sport, jako czynnik rozwinięcia fizycznej siły narodu, oraz poświęci baczną uwagę życiu naszym związków strzeleckich, sokolich i harcerskich, skupiających społeczeństwo i młodzież w pracy nad odrodzeniem krzywym Narodem i kształceniem jego cnoty ryceńskich w szeregach masach.

„POLSKA ZBROJNA” dążyć będzie do budzenia i utrwalania wzajemnej miłości, szacunku i szacunku pomiędzy społeczeństwem a Armją i jej korpusem oficerskim, wychodząc z tych założeń, iż wojsko polskie nie może być ani poza społeczeństwem, ani ponad nim, ani pod nim, lecz stać się jego nierozdzielną i dopasowaną częścią.

„POLSKA ZBROJNA” wychodząc z założeń, iż oficer, jako żołnierz, jest obywatelem, na którym spoczywa specjalny obowiązek bronienia Ojczyzny i gotowości w każdej chwili oddania życia w jej obronie i który w szczególności winien służyć za wzór miłości Ojczyzny i honoru, pełnić zawsze wiernie i uczciwie służbę narodową, być dąblym, sprawiedliwym dowódcą, opiekunem i wychowawcą podwładnych żołnierzy, posłusznym i oddanym podwładnym, szczerym i doskonałym kolegą — „POLSKA ZBROJNA” w tym kierunku kształcić i utra-

Marszałek JÓZEF PIŁSUDSKI?

Żyjąc z najwzrostu cnoty i odwagi jest opanowaniem siebie i płynny strój życia. Żołnierz, a ten hardziej oficer z „nerwami” nie wiele wart. Jaz na ławie z rezerwami arganizacji ogalaje czy wyjeżdż, jak na iadziennu z „nerwami” wchili adkujicowatku i korpusu polczy ai tyoib hujz przedwzycitnie „czajnie”!

J.P. Suf.

stanie się wytworem wszystkich wogół i każdego poszczególnie i spełniać będzie swoje zadanie z pozytkiem nie tylko dla Armji, lecz dla Narodu i Państwa.

„POLSKA ZBROJNA” na wstę wydawnictw tego rodzaju w państwach innych (jak np. dziennik „La France Militaire” we Francji) poza działem ogólnym życia bieżącego we wszelkich jego przejawach specjalnie uwzględniac będzie sprawy Armji i zagadnienia, z nią związane.

„POLSKA ZBROJNA” zamieszczać będzie wiadomości urzędowe z działu personalnego oraz rozpo-

ład będzie poziom intelektualny Armji oraz cnotę ryceńską, obywatelską i koleżeńską korpusu oficerskiego.

„POLSKA ZBROJNA” będzie organem, niezbędnym dla każdego wojskowego, a ciekawym i zabiegłym informatorem w sprawach Armji i jej życia dla ogółu społeczeństwa.

* Autorzy powyższej Naczelny Wódz rozrył zasłona war w swoim oświe dla zaprojektowanego przez redaktora „Polski Zbrojnej” wydawalca s.t. „Żołnierzu Polakom” bajrny go dala w „Polsce Zbrojnej”.

Cena pojedynczego numeru Mk. 20.

ROBERT CZULDA

Arena walk

Fala radykalizmu
muzułmańskiego załaza
już kilka państw na Bliskim
Wschodzie. Kolejną ofiarą
będzie Liban.

Liban, znany kiedyś jako Szwajcaria Bliskiego Wschodu, od kilkudziesięciu lat nie jest państwem stabilnym i spokojnym. Ilustracją wewnętrznym, bardzo silnym napięć i podziałów była krwawa wojna domowa z lat 1975–1990, która obróciła ten kraj w zgłiszcz. Przez kolejne lata powoli podnosił się on z gruzów, ale proces ten został przerwany wojną Hezbollahu z Izraelem w 2006 roku. Po miesięcznej niszczycielskiej wymianie ognia Liban znów zaczął wychodzić na prostą. Do teraz.

Arabska Wiosna, która wybuchła w 2011 roku w odległej Tunezji, szybko objęła kolejne kraje – w tym sąsiadującą z Libanem Syrię. Pierwszym problemem stał się wówczas masowy i niekontrolowany napływ uciekających przed śmiercią cywilnych uchodźców. Niewielki i dość biedny kraj nagle musiał przyjąć milion Syryjczyków, co stanowi jedną czwartą populacji Libanu. Sytuacja stała się dramatyczna w grudniu 2014 roku, kiedy ONZ wyczerpało swoje zasoby finansowe na pomoc humanitarną dla uchodźców syryjskich.

ŚMIERTELNI WROGOWIE

Uchodźcy to jednak niejedyny problem Libanu... i nie najważniejszy. Gdy w pewnym momencie świecka opozycja w Syrii, walcząca z prezydentem Baszszarem al-Asadem, została zastąpiona przez radykałów muzułmańskich, Liban zamarł. Wojna w Syrii przestała być bowiem konfliktem wewnętrznym i przerosła się w sprawę większej wagi – o zjednoczenie muzułmanów w kalifacie. Po krótkim czasie muzułmańscy radykałowie zaczęli infiltrować północny Liban, gdzie starano się zdobyć przyczółki w sunnickich dzielnicach.

Liban jest jednak nie tylko ofiarą rozlania się przemocy na jego terytorium, lecz także, do pewnego stopnia, sprawcą obecnego kryzysu. Słabość tamtejszego rządu centralnego pozwoliła szyickiemu Hezbollahowi, będącemu połączeniem legalnej partii politycznej, prywatnej armii oraz instytucji społecznej, przegrupować swoje oddziały i włączyć się w wojnę domową w Syrii po stronie alawity Al-Asada. W 2013 roku Hezbollah nakazał sunnickiemu Hamasowi zlikwidować swoje biura w Libanie, co jeszcze bardziej przyczyniło się do zwiększenia napięcia na linii sunnici–szyici. Opozycja w Libanie zaczęła alarmować, że udział Hezbolla-



UN / MARK GARTEN

hu w wojnie domowej w Syrii zaognia sytuację i ściąga gniew sunnitów. Seria zwycięstw wojsk Baszszara al-Asada i Hezbollahu jedynie zwiększyła apetyty szyitów – w tym Iranu – by mieszać w syryjskim kotle.

Z czasem jednak sytuacja się odwróciła – szyici przeszli do obrony, a nienawidzący ich sunniccy radykałowie zaczęli coraz śmielej wkraczać na terytorium Libanu, który w krótkim czasie stał się areną walk. Do niedawna jeszcze całkiem spokojne państwo obecnie jest miejscem niebezpiecznym, w którym trwają zbrojne potyczki, a nawet mają miejsce zamachy bombowe i porwania. Ilustracją dużych napięć w tym regionie jest samobójczy zamach bombowy na ambasadę szyickiego Iranu w Bejrucie w listopadzie 2013 roku. W ataku, dokonanym przez walczącą z alawickim rządem Baszszara al-Asada i powiązaną z Al-Kaidą sunnicką terrorystyczną Brygadę Szahidów Abdullaha Azzama, życie straciły 23 osoby, a co najmniej 160 zostało rannych.

Ogłoszenie w połowie 2014 roku powstania Państwa Islamskiego wywołało wielką radość, a nawet spotkało się z euforycznym przyjęciem wśród wielu libańskich sunnitów. Część z nich wyjechała albo do Iraku, by wesprzeć sunnickich braci, albo do sąsiedniej Syrii, by dołączyć do Al-Nusry, a więc syryjskiej filii Al-Kaidy. Wiatr wiejący w żagle radykałów był wówczas tak silny, że w sierpniu bojownicy Al-Nusry przeszli do ofensywy w rejonie miasta Aarsal (przy granicy z Syrią), co doprowadziło do kilkudniowych walk z armią libańską. Ostatecznie radykałowie wycofali się do Syrii, ale wcześniej dokonali egzekucji na trzech żołnierzach i policjantach.

W październiku zaatakowali jeszcze raz. Ich celem było wydarcie pewnego obszaru z rąk armii libańskiej, następnie



PROFIL KRAJU

Od I wojny światowej Liban pozostawał pod silnymi wpływami Francji. Po uzyskaniu niepodległości w 1943 roku był natomiast pod wpływami Syrii. Od tego czasu system polityczny jest oparty na porozumieniu o podziale władzy między wspólnotami religijnymi. W latach sześćdziesiątych Liban zaczął borykać się z napływem destabilizujących sytuację wewnętrzną palestyńskich grup zbrojnych.

W 1975 roku kraj pogrążył się w wojnie domowej, w którą zbrojnie zaangażowały się Izrael, Francja, Stany Zjednoczone, Iran oraz Syria. W konflikcie walczyły też grupy zbrojne libańskich sunitów (popierających Organizację Wyzwolenia Palestyny), którzy zwalczali prosyryjskich szyitów, a także chrześcijańskie bojówki, wspierane przez Izrael. Wojna zakończyła się dopiero w 1990 roku, ale kraj nadal był pogrążony w kryzysie. W wyniku tak zwanej cedrowej rewolucji w 2005 roku doprowadzono do usunięcia wojsk syryjskich. Rok później doszło do wojny w południowym Libanie między Hezbollahem a Izraelem.

Kraj ciągle jest niespokojny, co wynika ze struktury religijnej: około 35% społeczeństwa to chrześcijanie, a 60% - muzułmanie. Wymusza to bardzo specyficzny system polityczny - prezydent musi być chrześcijaninem (maronita), premier sunitą, a marszałek parlamentu szyitą.

NA PAPIERZE LIBAŃSKIE SIŁY ZBROJNE LICZĄ 60 TYS. ŻOŁNIERZY.

Siły zbrojne Libanu są uczestnikiem wewnętrznych kryzysów, ale na ogół biernym, co wynika z kwestii politycznych i niedofinansowania. Ma się to jednak wkrótce zmienić, bo we wrześniu 2013 roku ogłoszono ambitny, pięcioletni program ich modernizacji.

ustanowienie tam prowincji Państwa Islamskiego pod wodzą „kalifa” Abu Bakra al-Bagdadiego z Iraku. Gdyby im się udało, fundamentaliści uzyskaliby nie tylko nowe ziemie, lecz także coś, czego nie mieli do tej pory – dostęp do morza. Dzięki temu mogliby sprzedawać iracką ropę naftową oraz dostarczać broń i bojowników.

STRACH PRZED INWAZJĄ

Zwolennicy Państwa Islamskiego ostatecznie przegrali, ale widać wyraźnie, że na terenie Libanu poczynają sobie coraz śmielej. Co prawda armia libańska po kilku dniach odbiła nadbrzeżny Trypolis (drugie największe miasto w kraju), ale sunnicka ofensywa nie wywołuje stanowczej reakcji Libanu, który jest sparaliżowany brakiem struktur władzy – państwo nie ma nawet wybranego prezydenta, a także urzędującego parlamentu. Niewiele może zrobić Hezbollah, który jako ugrupowanie szyickie, bardzo silne na południu Libanu, nie wkracza na tereny sunnickie. Szejk Jusuf al-Karadawi, jeden z najważniejszych duchownych

sunnickich, otwarcie nazwał Hezbollah (partia Boga) partią szatana. Tymczasem jego przewodniczący, Hassan Nasrallah, nieustannie broni decyzji o włączeniu się w konflikt w Syrii. W jego mniemaniu to sprawiedliwa wojna przeciwko niewiernym, a więc sunitom.

Z pomocą dla Libanu przyszła Arabia Saudyjska, która na początku listopada 2014 roku zgodziła się, aby z jej funduszy Francja dostarczyła Bejrutowi sprzęt wojskowy i zapewniła szkolenia za łącznie około 3 mld dolarów. Planuje się, że uzbrojenie dla słabej i źle wyposażonej armii libańskiej zacznie trafiać na początku 2016 roku. Dostawy mają trwać trzy lata. Francja na końcu planuje dostarczyć śmigłowce, ale władze Libanu chciałyby je dostać w pierwszej turze, co pozwoli na niezwłoczne włączenie ich do walki z muzułmańskimi partyzantami. Czas działa bowiem na niekorzyść Libanu. „Państwo Islamskie jest w rejonie Arsalu, na granicy libańsko-syryjskiej”, alarmuje premier Libanu Tammam Salam. „Jeśli dojdzie do inwazji na Liban, to wszędzie rozleje się ekstremizm”, ostrzega. ■

GRA NA DWÓCH FORTEPIANACH

Z Aleksandrem Głogowskim

o nowej wielkiej grze w Azji, spirali przemocy na pograniczu z Afganistanem i przewrocie kopernikańskim w pakistańskiej polityce rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.

Kim są pakistańscy talibowie? Podobno atak na szkołę w Peszawarze, w którym zginęło ponad 130 uczniów, jest dziełem pakistańskich dżihadystów, ukrywających się w Afganistanie.

Celem pasztuńskich talibów nie jest atakowanie Zachodu, lecz wprowadzenie szariatu na terenach plemiennych, które zamieszkują. Różnią się oni od afgańskich talibów, którzy ostatnio stali się bardziej umiarkowani, bo przekonali się, że skrajny radykalizm spotyka się z oporem i krytyką świata zewnętrznego. Ich wpływ na rząd w Islamabadzie jest niewielki. Wyniki wyborów parlamentarnych wskazują, że mogą liczyć na poparcie około 2% Pakistańczyków. Fundamentalizm nie przyjął się natomiast wśród pakistańskich elit, które tylko na pokaz demonstrują prohibicję i religijność. Często bywają na Zachodzie, wielu z nich ma brytyjski paszport, a kobiety niewiele różnią się wyglądem od przeciętnej Europejki. Burki można zobaczyć tylko na terenach Peszawaru.

Czy pogranicze z Afganistanem stanowi dziś zagrożenie dla bezpieczeństwa w regionie i integralności terytorialnej Pakistanu?

To obszar niestabilny, zamieszkały przez ludność kwestionującą politykę rządu w Islamabadzie. Za czasów brytyjskich region ten stanowił zewnętrzną granicę imperium, którego Afganistan był strefą buforową. W XIX wieku Brytyjczycy wyznaczyli sztuczną granicę pakistańsko-afgańską. Miejscowa ludność jest jednym narodem pasztuńskim podzielonym przez granicę i nie czuje przynależności państwowej. W czasach kolonialnych Brytyjczycy wiedzieli, że nie zdołają ujarzmić niepokornych górali, więc nadali zamieszkanym przez nich terenom daleko posuniętą autonomię. Potem powstał Pakistan, ale

tradycja wolnych terytoriów plemiennych przetrwała, szczególnie w północnym Waziristanie. Rząd w Islamabadzie nie kontroluje tych terenów, wysyła tam od czasu do czasu karną ekspedycję, ale przypomina to strzyżenie trawnika – przytłumiony trochę, a on i tak prędzej czy później odrósł.

To pogranicze jest wylęgarnią radykałów?

Podczas sowieckiej interwencji w Afganistanie obszar ten stanowił zaplecze „afgańskiego dżihadu”. Tamtejsze szkoły koraniczne rekrutowały mudżahedinów, były zarzewiem islamskiego fundamentalizmu. Po wycofaniu się Rosjan pogranicze stało się także ośrodkiem przestępczości związanej z przemytem heroiny z Afganistanu. Po atakach z 11 września 2001 roku schronienie znaleźli tam talibowie i Al-Kaida. Tereny te dziś są świetną kryjówką także dla afgańskich talibów i Uzbeków, którzy walczyli po ich stronie, a także arabskich bojowników – często mężów Pasztunek, więc traktowanych jak swoi. Mieszkają tam także ludzie, którzy podczas działań wojennych stracili rodziny... a kodeks pasztuński nakazuje zemstę. Spirala przemocy się nakręca i trudno ją przeciąć.

W Pakistanie, podobnie jak w Afganistanie, więź rodowa przeważa nad etniczną?

Część pakistańskich ludów nie czuje więzi emocjonalnej z państwem, którego terytorium zamieszkuje. Badania naukowe, dotyczące identyfikacji Pakistańczyków, pokazały, że przede wszystkim określają się oni jako muzułmanie. Dlatego demonstrują, gdy uznają, że gdzieś na świecie są gnębieni ich bracia. Na drugim miejscu stawiają przynależność etniczną i dopiero na trzecim – narodowość. Więzy rodowe silne są głównie u Pasztunów. Beludżystan zamieszkuje natomiast →

Fundamentalizm nie przyjął się wśród pakistańskich elit, które tylko na pokaz demonstrują prohibicję i religijność

plemiona nomadów, które nie czują solidarności z resztą Pakistanu.

Głównym elementem budowania przynależności jest tam religia?

Przy powstawaniu Pakistanu – podobnie jak w wypadku Izraela – istotną rolę odgrywało kryterium religijne. Miało to być państwo indyjskich muzułmanów. Głównym spoiwem, scalającym społeczeństwo, była zatem religia, a kolejnym miał być, odgórnie narzucony przez twórcę tego kraju – Muhammada Ali Jinnaha, język urdu. Posługiwało się nim jako ojczystym zaledwie od 2 do 4% populacji, ale przypominał język arabski, w jakim jest napisany „Koran”. Wiele grup etnicznych, które zamieszkują cztery pakistańskie prowincje, łączy tylko religia. Mieszkańcy Pendżabu jednak inaczej rozumieją islam niż ci z pogranicza pakistańsko-afgańskiego. Żyjący w górach Pasztunowie chętnie przyjmują salafizm, czyli fundamentalizm islamski. Na drugim biegunie są mieszkańcy bogatego Pendżabu, uważani przez Pasztunów za złych muzułmanów, bo są podatni na wpływy indyjskie. Także o Karaczi mówi się, że jest najbardziej indyjskim z miast pakistańskich. Różnice widać na przykład podczas dawania jałmużny w okresie ramadanu: Pasztunowie podają pieniądze do ręki, a Pendżabczycy rzucają monety, bo nie chcą dotykać biednych. Kobiety w Pendżabie ubierają się po indyjsku, Pasztunki – zasłaniają włosy, a na wsiach także twarze. W Peszawarze natomiast widziałem kobiety ubrane na wzór saudyjski.

Jak wyjście z Afganistanu większości wojsk koalicji wpłynęło na sytuację w Azji Środkowej i Południowej?

Analicyści twierdzą, że toczy się tam nowa wielka gra, której najpotężniejszymi uczestnikami są Rosja oraz USA. Te państwa starają się umacniać strefę swoich wpływów. Amerykanie bronią panowania nad Morzem Arabskim – a szerzej nad Bliskim Wschodem. Rosja obawia się dalszej fundamentalizacji państwa afgańskiego, bo Azja Centralna jest dla niej tradycyjnie tak zwanym miękkim podbrzuszem. Do gry wchodzi kolejne kraje: Chiny roszczą sobie prawa do mocarstwowości regionalnej, Pakistan – najbliższy sąsiad – jest zainteresowany istnieniem w Afganistanie przyjaznego mu rządu, Indie – kolejne mocarstwo regionalne – uważają ten obszar za swoją strefę wpływów. Na końcu tej listy są państwa europejskie, ale ich gra ma znacznie mniejszy zakres. O ile w XIX wieku Rosja rywalizowała z Wielką Brytanią o panowanie nad Azją Centralną, o tyle dziś gra toczy się również o surowce oraz o prestiż. Chodzi także o to, że Afganistan jest ważnym krajem tranzytowym. Realizowany jest projekt TAPI. Rurociągiem, biegnącym z Turkmenistanu przez Afganistan do Pakistanu i Indii, pomoże Turkmenistanowi uniezależnić się od rosyjskiej sieci dystrybucyjnej, Indiom dostarczy gaz, a Afganistanowi i Pakistanowi – głównie pieniądze.

Jaką rolę odegrał Pakistan podczas interwencji w Afganistanie?

Złożoną. Pamiętamy słynną rozmowę amerykańskiego sekretarza stanu Collina Powella z prezydentem Pervezem Musharrafem, gdy wymuszono na Pakistanie przyłączenie się do koalicji antyterrorystycznej. Była to gra na dwóch fortepianach: Islamabad korzystał z amerykańskiej pomocy, odblokowano sprzedaż samolotów F-16, przeszkolono żołnierzy do walki z od-

Badania naukowe, dotyczące identyfikacji Pakistańczyków, pokazały, że przede wszystkim określają się oni jako muzułmanie

działami partyzanckimi. Zabicie Osamy bin Ladena pokazało, że była również druga strona medalu: Islamabad wspierał tych talibów, którzy zwalczyli proindyjski rząd w Kabulu, a walczył z tymi, którzy opowiadali się przeciwko Pakistanowi. Gra na dwóch fortepianach polegała na tym, że z jednej strony pomagał Amerykanom, a z drugiej wspierał przyjaznych sobie talibów.

Czyli zabicie Osamy bin Ladena ochłodziło relacje amerykańsko-pakistańskie.

To była kropla przelewająca czarę goryczy, dowód, że Pakistańczycy nie do końca byli lojalnym sojusznikiem. Na ostrą krytykę ze strony USA ówczesny szef sztabu pakistańskiej armii gen. Ashfaq Parvez Kayani odpowiedział, że nie życzy sobie agresji na własne terytorium. Co ciekawe, po raz pierwszy wyraźnie po stronie Pakistanu opowiedziały się Chiny, które ostrzegły, że atak na Islamabad potraktują jako naruszenie swoich strategicznych interesów. W listopadzie 2014 roku doszło do wizyty ministra obrony Federacji Rosyjskiej Siergieja Szojgu w Islamabadzie, gdzie podpisał ze swoim pakistańskim odpowiednikiem Khwaja Asifem porozumienie o współpracy wojskowej.

To był zwrot czy element gry dyplomatycznej Kremla i Islamabadu?

W polityce zagranicznej Pakistanu jest to przewrót kopernikański. Za czasów sowieckich Pakistan był postrzegany jako kraj należący do przeciwnego obozu – był członkiem SEATO i CENTO – dwóch lokalnych paktów sponsorowanych przez USA, a także odbiorcą amerykańskiego sprzętu oraz „pasem transmisyjnym” podczas afgańskiego dżihadu. Bywało, że radzieccy ambasadorowie w Islamabadzie grozili poważnymi konsekwencjami, jeśli Pakistańczycy nie przestaną wspierać

afgańskich mudżahedinów. Dotychczas do Pakistanu nie trafiała rosyjska broń, ale teraz, po podpisaniu porozumienia o współpracy wojskowej, to się zmieni. Rosja znajduje się w kryzysie związanym z zachodnim embargiem, więc szuka nowych kupców. Jednak z perspektywy światowego bezpieczeństwa oznacza to rozbudowę wpływów rosyjskich i pozyskiwanie przez Moskwę kolejnego państwa. W podpisanej umowie mówi się także o zakupie silników do samolotu FJ-17, efektu chińsko-pakistańskiej koprodukcji. Silniki ma dostarczyć Rosja.

Jakie korzyści daje Pakistanowi zbliżenie z Rosją?

Wielorakie. Wobec oziębienia stosunków z USA oraz poważnych kłopotów finansowych pakistańskie siły zbrojne potrzebują dostępu do tańszych niż zachodnie technologie wojskowych, by móc modernizować starzejące się siły zbrojne. Takie technologie ma Rosja, mają je także Chiny.

Z Chinami od dawna łączy Pakistan strategiczne partnerstwo.

Datuje się ono od 1962 roku, ale było to słodko-kwaśne małżeństwo. Początkowo Chiny traktowały Pakistan głównie jako militarny rynek zbytu, potem jako element okrążania Indii. Pomoc Pekinu dla pakistańskiego programu nuklearnego była wymierzona w Nowe Delhi. Obecnie widać coraz większe zaangażowanie pozamilitarne, na przykład w budowę rurociągu łączącego Chiny z Iranem albo Turkmenistanem czy drogi między Sinkiangiem a portem w Karaczi, będącym oknem na świat dla tej części Azji. Pekinowi zależy na gospodarczym rozwoju prowincji Sinkiang, znacznie odstającej poziomem życia od reszty kraju. Otwarcie pakistańskich portów istotnie skraca drogę – nie trzeba już okrążyć Indii, lecz można krótszą trasą podążać do Kanału Sueskiego i dalej do Europy. Zbudowany przez Chińczyków port w Gwadar został przygotowany jako zapasowa baza dla chińskiej marynarki wojennej – w razie większego konfliktu z Indiami. Są jednak i wspólne projekty militarne: samolot JF-17, z rosyjskim wkładem w postaci silników, czy szkolny samolot K2 Karakorum lub czołg MBT 2000 Al-Khalid. Widać uzależnienie Islamabadu od Pekinu, ale ze strategicznego punktu widzenia jest ono korzystne, bo Pakistan nie jest takim mocarstwem.

Jak na chińsko-pakistańskie zbliżenie patrzy Waszyngton?

Rozwój chińsko-pakistańskich stosunków był korzystny dla USA. Pierwsza wizyta Henry'ego Kissingera w Pekinie odbyła się z pomocą Pakistańczyków. Krąży anegdota, że sobowtór Kissingera opalał się na plaży w Karaczi, a prawdziwy sekretarz stanu poleciał pakistańskim samolotem do Chin. W czasie zimnej wojny Pakistan był traktowany jako „pas transmisyjny” w nieformalnym dialogu, który doprowadził do uznania przez USA Chińskiej Republiki Ludowej. W czasach komunizmu Amerykanom zależało, aby stworzyć przeciwwagę dla ZSRR, więc przymykali oko na to, że stoi on w rozkroku między Pekinem a Waszyngtonem. Do niedawna Amery-

kanom wydawało się, że jest to dobry układ, bo Pakistan wspierał islamskich fundamentalistów w Sinkiangu. Dziś Pekin prowadzi niezależną politykę zagraniczną, Amerykanie są tym zaniepokojeni, ale niewiele mogą zrobić. Z rozmów, które prowadziłem w Pakistanie, wynikało, że traktują oni kontakty z USA jako małżeństwo z rozsądku. Mają doświadczenia z lat osiemdziesiątych XX wieku, gdy Amerykanie mocno grali pakistańską kartą podczas radzieckiej inwazji na Afganistan, a gdy wojna się skończyła, szybko się wycofali, a na Pakistan nałożyli embargo w związku z programem atomowym. Pakistańczycy uznali, że skoro niejako zmuszono ich do sojuszu po 11 września, dziś powinni wyciągnąć z niego ile się da – w obawie przed kolejnym wycofaniem się Amerykanów. Szukają alternatywy. Dlatego zwrot w stronę Chin i Rosji.

Podczas gdy Pakistan rozwijał współpracę z Chinami i nawiązał kontakty z Rosją, Indie zbliżyły się do USA.

Włączenie Indii do amerykańskiej strefy wpływów było marzeniem Waszyngtonu od powstania tego państwa w 1947 roku. To duży i atrakcyjny kraj, który może sobie pozwolić na okresowe zbliżenia do Rosji, Chin czy USA. Jest też atrakcyjnym rynkiem zbytu. Obecny premier Narendra Modi, jako kandydat na to stanowisko, był dość antyamerykański. Dziś natomiast współpracuje blisko z Amerykanami, którzy zachowują się pragmatycznie, bo Indii nie można lekceważyć. Ten kraj jest w przededniu wielkiej modernizacji armii, a amerykański sektor obronny wyraża zainteresowanie sprzedażą uzbrojenia.

Powstaje zatem trójkąt chińsko-pakistańsko-rosyjski...

Może być to sygnał ostrzegawczy ze strony Putina pod adresem premiera Modiego, przed wizytą rosyjskiego prezydenta w Delhi. Coś się dzieje na mapie geopolitycznej Azji, ale za wcześnie jeszcze na ocenę. Jest to jednak wyraźny sygnał dla Amerykanów, że Rosja pozostaje w grze, ale teraz działa w sposób bardziej wyrafinowany. Putin podczas wizyty w Delhi uzyskał zapewnienie o dalszej współpracy z Indiami. Teraz czekamy na odpowiedź USA, która może się pojawić w trakcie wizyty prezydenta Obamy w Indiach. Dopiero wówczas będziemy mogli z większą pewnością ocenić, czy jesteśmy świadkami zmiany na mapie geopolitycznej Azji Południowej.

WIZYTÓWKA

DR HAB. ALEKSANDER GŁOGOWSKI

A diunkt w Katedrze Teorii i Strategii Stosunków Międzynarodowych Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stypendysta Institute of Strategic Studies w Islamabadzie i School of Oriental and African Studies w Londynie. Autor licznych publikacji na temat polityki zagranicznej Pakistanu i Afganistanu, między innymi „Af-Pak. Znaczenie pogranicza pakistańsko-afgańskiego dla bezpieczeństwa regionalnego w latach 1947–2011”.

Jaki rząd afgański leży w interesie Pakistanu?

Propakistański albo neutralny, a obecny rząd w Kabulu taki nie jest, bo ma dobre stosunki z Delhi. Islamabad traktuje Afganistan jako zaplecze dla ewentualnego konfliktu z Indiami. Pojawia się tu pojęcie „głębi strategicznej”, które może oznaczać możliwość wycofania części wojsk na tereny afgańskie i ich przegrupowania. W wersji minimalistycznej „głębia strategiczna” oznacza – jak mówił poprzedni szef sztabu armii pakistańskiej generał Kayani – maksymalnie przyjazny afgański rząd. Taki istniał w Kabulu tylko raz – gdy rządzili talibowie. Dla Pakistanu mniejszym złem są fundamentaliści niż cywilny świecki rząd. ■

ROBERT CZULDA

Jeńców nie zostawiamy

Jednym z największych sukcesów Izraela w ostatniej operacji w Strefie Gazy było to, iż żaden żołnierz nie został wzięty do niewoli przez bojowników palestyńskich. To wynik obowiązywania okrytej tajemnicą tak zwanej dyrektywy Hannibala.

Choć fakt istnienia czegoś, co się nazywa dyrektywą Hannibala, jest znany opinii publicznej od 2003 roku, to do tej pory nie wzbudzała ona większych kontrowersji. Kwestia ta powróciła jednak dzięki mediom izraelskim w trakcie ostatniego konfliktu w Strefie Gazy. Wówczas to na terytoriach palestyńskich zginął w akcji 23-letni por. Hadar Goldin. Pojawiły się informacje prasowe o porwaniu żołnierza przez Hamas. Później Siły Obronne Izraela (Israel Defense Forces – IDF) podały do publicznej wiadomości informację o znalezieniu jego zwłok. Wojsko odmówiło jednocześnie ujawnienia okoliczności śmierci. Wzbudziło to uzasadnione wątpliwości izraelskiej opinii publicznej, a w prasie zaczęto pisać o zastosowaniu w praktyce wspomnianej dyrektywy Hannibala. Dziennikarze szybko ujawnili przebieg akcji, po której Goldin został porwany. Miała ona miejsce niedaleko miasta Rafah, które graniczy z Egiptem. Żołnierze IDF wpadli w zasadzkę, gdy z tuneli otworzyli do nich ogień bojownicy Hamasu. Dwóch Izraelczyków zginęło, a trzeci, por. Goldin, został wzięty do niewoli. Odpowiedzią Izraela było ostrzelanie strefy operacji zmasowanym ogniem artyleryjskim. Według danych palestyńskich zginęło wówczas 70 osób. Czy jednym z nich był por. Goldin? Tego nie wiadomo, podobnie jak w wypadku drugiego żołnierza. Sierż. Guy Levy został uznany za zaginionego w akcji. Później IDF ogłosiły odnalezienie jego zwłok.

ZIMNA LOGIKA FRONTU

Już sama nazwa protokołu pobudza wyobraźnię i rodzi kontrowersje. Hannibal był dowódcą wojsk antycznej Kartaginy, wielkim wojownikiem, który, chcąc uniknąć rzymskiej niewoli, wypił truciznę. Choć IDF utrzymują, że nazwa doktryny jest przypadkowo wygenerowana przez system komputerowy, trudno w to uwierzyć. Jej przesłanie jest bardzo silne. Dosłownie odbierają ją przynajmniej niektórzy izraelscy oficerowie. Warto tym samym przypomnieć słowa pplk. Szukiego Ribaka, dowódcy batalionu z Brygady Golani, który w 2009 roku stwierdził jasno: „Żaden żołnierz batalionu nie zostanie porwany, niezależnie od ceny. Pod żadnym warunkiem. Nawet jeśli ma to oznaczać, że żołnierz będzie się musiał wysadzić granatem. Nawet jeśli jego własna jednostka będzie musiała otworzyć ogień zaporowy w stronę samochodu, którym jest wywożony”.



Doktryna została ukuta w trakcie wojny libańskiej w latach osiemdziesiątych XX wieku. Wówczas to, dokładnie w 1986 roku, izraelski patrol wpadł w zasadzkę Hezbollahu. Ofiarami byli izraelscy żołnierze: Rachamim Alsheikh i Yossef Fink. Ich ciała zwrócono do Izraela dopiero po dziesięciu latach. W zamian Izrael przekazał drugiej stronie ciała 123 bojowników antyizraelskich. Po incydencie uznano, że wzięcie izraelskiego żołnierza do niewoli źle wpływa na własne morale, a także stanowi gigantyczny sukces drugiej strony. Konkluzja była jedna – IDF nie mogą pozwolić, by ich żołnierze byli porwani.

Złośliwi twierdzą, że Izrael woli swych żołnierzy martwych niż w niewoli. Czy jednak naprawdę, jak podają niektóre media, IDF mają prawo zabić własnego żołnierza, by „uchronić” go od stania się jeńcem? Wojsko nie ujawnia szczegółów, ale wiadomo, że przy każdym wejściu na terytorium wroga dowódcy mają przede wszystkim dbać o to, by żaden z podległych żołnierzy nie dostał się do niewoli. Co więcej, są uprawnieni zrobić wszystko, także narazić życie zagrożonego porwanym żołnierza, by do tego nie dopuścić. Mają również prawo do ostrzelania samochodu, który odjeżdżałby z izraelskim żołnierzem. Czy jest to zgodne z prawem? Płk Yaakov Amidror, jeden z twórców dyrektywy, stwierdził: „Prawo nie ma tu nic do rzeczy. Na polu bitwy nie ma prawników”.

Z punktu widzenia zimnej logiki doktryna ma sens. „Z perspektywy armii lepszy jest żołnierz zabity niż taki w niewoli, który cierpi i zmusza państwo do zwolnienia z aresztów setek osadzonych, byle tylko doprowadzić do jego oswobodzenia” – pisano w 2003 roku w dzienniku „Haaretz”. Dokładnie taki incydent wydarzył się w czerwcu 2006 roku, kiedy to Hamas porwał niedaleko granicy z Izraelem sierż. Gilada Szalita. Żołnierz spędził w niewoli aż pięć lat. W październiku 2011 roku został uwolniony. Kosztem dla Izraela było wypuszczenie z więzień ponad tysiąca palestyńskich bojowników. Wówczas dyrektywa Hannibala zawiodła, a IDF były krytykowane, że zrobiły za mało, by przerwać próbę porwania.

Logika to jedno, odczucia opinii publicznej to drugie. IDF ukrywały fakt istnienia dyrektywy Hannibala. Obawiano się bowiem reakcji społeczeństwa. Obowiązkiwanie protokołu było tajne aż do 2003 roku, kiedy dowiedział się o nim służący w Libanie rezerwista. Gdy zaczął nalegać na zlikwidowanie dyrektywy, fakt został ujawniony przez media. Opinia publiczna podzieliła się – niektórzy, w tym nawet rabini i oficerowie, otwarcie odrzucili moralne i prawne podstawy dokumentu. Część oficerów odmawiała informowania o nim podległych sobie żołnierzy. Inni prosili rabinów o wskazówki. Generalnie jednak izraelska opinia publiczna wyraziła zrozumienie dla ta- ➔





W Libanie porwano **ośmiu żołnierzy**. Wymieniono ich w ciągu kolejnych kilkunastu miesięcy za 6 tys. bojowników arabskich.

1982



Nad Libanem zestrzelono **samolot F-4 Phantom**. Los nawigatora pozostaje nieznanym.

1986



Hezbollah porwał na granicy z Libanem **trzech żołnierzy izraelskich**. Ich ciała odzyskano w 2004 roku w zamian za zwolnienie 400 więźniów palestyńskich.

2000



Porwanie **dwóch izraelskich żołnierzy** przez Hezbollah. W wyniku wymiany ich zwłoki trafiły do Izraela w 2008 roku.

Podczas wojny w Libanie Hezbollah przejął zwłoki

2006

Porwania izraelskich żołnierzy (wybrane)

5

IZRAELSKICH ŻOŁNIERZY MA OBECNIE STATUS „ZAGINIONY W AKCJI”

1983

W walkach w Libanie zaginął **żołnierz izraelski**. Zwłoki przekazano w 1991 roku.



1997

W ataku Hezbollahu zabito **12 kombatantów** Shayetet 13 i **porwano jednego**. Ciało, w zamian za ponad 100 jeńców, Izrael odzyskał rok później.

Prawdopodobnie porwano izraelskiego **żołnierza** w czasie służby na wzgórzach Golan. Jego los pozostaje nieznanym.



2005

Zaginięcie izraelskiego **żołnierza** podczas służby niedaleko Hajfy. Jego szczątki zidentyfikowano w 2012 roku.



około **20 izraelskich żołnierzy**. Wymieniono je dwa lata później za cenę jednego więźnia.

Porwanie **sierż. Gilada Szalita**. Zwolniony w 2011 roku za cenę tysiąca więźniów.



20



MILITARIUM STUDIO / PK

kiej polityki. Niektórzy, jak emerytowany gen. Eitan Ben Eliahu, zbywają całą sprawę: „Nigdy w życiu nie spotkałem się z sytuacją, w której ktoś prosiłby o zniszczenie samochodu, w którym są nasi żołnierze”.

GDZIE SĄ GRANICE?

Cel dyrektywy Hannibala jest szczytny, opiera się na wywodzącym się ze Stanów Zjednoczonych założeniu, iż żaden żołnierz nie zostanie zostawiony za linią wroga. W Izraelu nabiera to szczególnego znaczenia, bowiem znieprawdopodobiona przez Arabów armia izraelska nie może liczyć na litość. Izraelczycy przekonali się o tym w 2000 roku, kiedy to Palestyńczycy dokonali linczu na dwóch izraelskich żołnierzach rezerwy (jeden ze sprawców został wypuszczony w 2011 roku w zamian za uwolnienie sier. Szalita). W tym samym roku Hezbollah porwał trzech żołnierzy izraelskich. Zginęli oni albo w czasie zasadki, albo już w niewoli. W zamian za 400 zwolnionych Palestyńczyków Izrael odzyskał ich szczątki w 2004 roku. Dwóch innych zostało porwanych w 2006 roku przez Hezbollah, który ich najprawdopodobniej zamordował. W zamian za uwolnienie kilku swych bojowników z więzień izraelskich, Hezbollah oddał szczątki żołnierzy dwa lata później.

Według gen. bryg. Motiego Barucha, u podstaw dyrektywy Hannibala leży komunikat: „Żaden żołnierz nie trafi do niewoli. To jasny przekaz”. Obecny dowódca sztabu generalnego IDF, gen. por. Benny Gantz, stwierdził jednak kategorycznie, że dowódca nie może zabić żołnierza, któremu grozi niewola. Możliwość pozbawienia życia własnego żołnierza wykluczył także gen. mjr Yossi Peled, jeden z twórców tej doktryny (późniejszy polityk prawicowego Likudu). Jak stwierdził, „nie rzuciłby tonowej bomby na samochód”, w którym byłby przewożony porwany żołnierz izraelski, „ale ostrzelałby go z czołgu, licząc, że ktoś przeżyje”. Gen. Peled dodał, że sam wolałby, „aby go zastrzelili, niż miałby trafić do niewoli Hezbollahu”. Jednocześnie oficer wyjaśnił motywację, która stała za opracowaniem protokołu: „Formułując rozkaz, przyzwolono na stworzenie ryzyka (dla porwanego), ale nie na jego zabicie. Chcie-

liśmy postawić sprawę jasno – nie rób tego, jeśli zakończy się to śmiercią. Zrób to, choćby było to ryzykowne. Czasem decyzja stawia żołnierza w sytuacji zagrożenia. Armia ma za zadanie dbać o bezpieczeństwo państwa. To jest jej priorytet, a nie stawianie na pierwszym miejscu życia swych żołnierzy”.

Cytowany przez dziennik „Haaretz” Haim Avraham, ojciec porwanego w 2000 roku sierż. Benny’ego Avrahama, po incydencie granicznym wyjawiał: „Syn opowiedział mi o tej procedurze. Stwierdził, że jest rozkaz, iż jeśli dojdzie do porwania grupy żołnierzy, to samochód musi być zatrzymany niezależnie od kosztów, nawet za cenę ich życia. Byłem zszokowany. Zapytałem, czy byłby gotów strzelać do swych kolegów. Odpowiedział, że taki jest rozkaz. Po porwaniu jeden z oficerów powiedział mi, że wojsko przechwyciło 26 pojazdów. Na początku nie wiedziałem o co chodzi, ale później zrozumiałem, że gdyby w jednym z tych samochodów był mój syn, to zostałyby zabity. Rozumiem, że porwanie żołnierza to istotny dylemat dla państwa z powodu ceny, jaką musi zapłacić, ale ja wolę, by mój syn był w niewoli niż martwy”.

Jak ujawniono w „The New Yorker”, gen. Benny Gantz, po wyciągnięciu wniosków z uwolnienia sierż. Szalita, protokół zmodyfikował. Obecnie ponoć nie zezwala on otwarcie na zabicie porwanego żołnierza, ale stwierdza się w nim, że przypadkowe pozbawienie życia jest dopuszczalne i moralnie uzasadnione, jeśli założenia działania, a więc chęć zatrzymania porwanych, są właściwe. Co tak naprawdę to znaczy? Czy próba przestrzelenia opon odjeżdżającego samochodu mieści się w granicach dopuszczalnego działania? A postrzelenie porwanego, by porywacze nie mogli go wywieźć? Albo ostrzelenie samochodu ze śmigłowca lub artylerii, co zdarzało się kilkakrotnie, jest do przyjęcia? Zadawanie takich pytań i próba szukania na nie właściwych odpowiedzi może być fantastyczną zabawą filozoficzną, ale takie semantyczne batalie nie mają jednak w sytuacji stresowej żadnego znaczenia, a dla wielu oficerów – chociażby wspomnianego płk. Ribaka – przesłanie jest jednoznaczne. Skala ataku, która nastąpiła po porwaniu por. Goldina, również wydaje się nieprzypadkowa. ■



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Bez rewolucji

Chociaż na świecie spadają zyski branży obronnej, rosyjskie spółki są na plusie.

Największe światowe przedsiębiorstwa z branży zbrojeniowej trzeci rok z rzędu mają mniejsze obroty. W 2013 roku zmalały one o 2%. Większą sprzedaż i produkcję (średnio o 20%) odnotowały natomiast firmy rosyjskie. Takie dane przedstawił w raporcie pod koniec 2014 roku Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem (SIPRI).

WSCHODZĄCE RYNKI

Analitycy instytutu obliczyli, że w 2013 roku sprzedaż produktów i usług związanych z branżą zbrojeniową 100 największych potentatów wyniosła 402 mld dolarów. Niewielki spadek obrotów odnotowali producenci z USA

i Kanady, a także Włoch i Hiszpanii. Firmy brytyjskie utrzymały pozycję, a francuskie nieco ją poprawiły.

Przez lata na światowym rynku broni i uzbrojenia dominowały wielkie koncerny z USA, Europy Zachodniej i Rosji. Teraz dokonują się na nim zmiany, które zwróciły uwagę analityków SIPRI. W rankingu 100 największych i najważniejszych producentów broni maleje liczba północnoamerykańskich i zachodnioeuropejskich przedsiębiorstw. Mimo że nadal dwie trzecie firm na liście „Top 100” pochodzi z USA i krajów członkowskich NATO, a ich produkcja pokrywa ponad 84% zapotrzebowania na systemy uzbrojenia na świecie, przedstawiciele sztokholmskiego instytutu zwracają uwagę na rosnące znaczenie tak zwanych rynków wschodzących.

KOMENTARZ

ANDRZEJ WILK



Raport SIPRI odnosi się do 2013 roku, a więc okresu sprzed rosyjskiej agresji zbrojnej przeciwko Ukrainie. Niemniej wskazuje się w nim tendencje widoczne także w roku ubiegłym i – mimo zerwania współpracy rosyjskiego kompleksu obronno-przemysłowego ze zbrojeniówką ukraińską, zachodnich sankcji i coraz bardziej widocznych problemów finansowych Rosji – możliwe do utrzymania także w najbliższych latach. Za dalszym zwiększaniem się obrotów tamtejszej zbrojeniówki przemawia kilka czynników, głównie utrzymywanie przyspieszenia w modernizacji technicznej armii rosyjskiej. Przedsiębiorstwa zaangażowane w programy modernizacyjne już na początku obecnej dekady były zmuszone do inwestycji (wspieranych finansowo przez państwo) w rozwój produkcji. Pierwsze z nich zaczęły się zwracać w 2014 roku. Zachodnie sankcje i zerwanie kooperacji z Ukrainą stały się także szansą dla tych rosyjskich przedsiębiorstw, które nie były zaangażowane w modernizację techniczną sił zbrojnych FR. Dzięki finansowemu wsparciu państwa unowocześniają one linie produkcyjne i stopniowo są włączane do programów modernizacyjnych. Można się także spodziewać zwiększenia obrotów eksportu rosyjskiego uzbrojenia – spadek wartości rubla względem dolara uczynił ofertę rosyjskiej zbrojeniówki relatywnie tanią. Już obecnie można zaobserwować nasilone zainteresowanie rosyjskim uzbrojeniem wśród jego głównych odbiorców, którzy nie przyłączyli się do sankcji nałożonych na Moskwę przez państwa zachodnie.

Andrzej Wilk jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich.



NOWE NASTAWIENIE

Republiki bałtyckie z niepokojem patrzą na rosyjskie zbrojenia oraz prowokacje. Jak podał niemiecki magazyn „Der Spiegel”, wydatki obronne Litwy, Łotwy i Estonii wyniosły w 2014 roku łącznie 1,2 mld euro. To niewiele wobec kwoty przeznaczonej na ten cel przez Rosję, czyli 60 mld euro, ale – jak ocenił Łotewski Instytut Spraw Międzynarodowych – ważne jest to, że „politycy zmienili nastawienie do wydatków na obronę”.

Łączna sprzedaż broni „wschodzących” firm z listy „Top 100” to tylko około 3,6% globalnej sprzedaży, ale producenci z Brazylii, Indii, Republiki Korei Południowej, Singapuru i Turcji coraz częściej stają się dostawcami wysoko zaawansowanej technologicznie broni. W raporcie zwraca się uwagę na rosnącą pozycję koncernów tureckiego konsorcjum Aselsan i brazylijskiego Embraera. Niemal o jedną trzecią zwiększyła się też sprzedaż produktów przemysłu lotniczego i kosmicznego Korean Aerospace Industries. Ta tendencja najwyraźniej się utrzymuje, bo na początku stycznia 2015 roku władze w Seulu podały, że w 2014 roku wyeksportowały broń za 3,6 mld dolarów – jest to kwota 15 razy większa niż w 2006 roku i o 200 mln dolarów wyższa niż w 2014 roku.

„Udział w światowej sprzedaży broni firm spoza Ameryki Północnej i Europy Zachodniej rośnie od 2005 roku. Takie kraje, jak Brazylia, Turcja czy Korea Południowa prowadzą świadomą politykę wspierania własnego przemysłu zbrojeniowego”, wyjaśnia Aude Fleurant, dyrektorka badań SIPRI.

ROSJA NA PLUSIE

Sukcesy rosyjskich firm zbrojeniowych w dużej mierze wynikają z zamówień rządowych. Rekordowy wzrost sprzedaży – o ponad 110% – odnotował Tactical Missiles Corporation, producent raket taktycznych oraz systemów walki elektronicznej. Najwyższe miejsce (12.) w rankingu „Top 100” wśród rosyjskich spółek zajął natomiast koncern Almaz-Antiej, producent zestawów przeciwlotniczych (m.in. Buk i S-300P/S-400) – jego przychody ze sprzedaży w 2013 roku zwiększyły się o jedną trzecią. Siemon Wezeman z SIPRI zwraca uwagę, że także Rosjanie stawiają na wyższą jakość: dążą do tego, aby ich uzbrojenie stało się porównywalne z produkowanym w Stanach Zjednoczonych i innych państwach natowskich.

Do 2020 roku armia rosyjska ma w większości (ok. 70%) dysponować nowoczesnym lub zmodernizowanym uzbrojeniem, które będzie pochodzić (z niewielkimi wyjątkami) z rodzimych fabryk. Analitycy zwracają uwagę, że to, czy uda się sfinansować ten ambitny plan, zależy głównie od cen ropy naftowej. Dziś rosyjska zbrojeniówka zarabia więcej niż w latach ubiegłych, ale eksperci SIPRI prognozują, że może się to zmienić, bo na przemysł zbrojeniowy bardziej wpływa polityka niż oddziałują tendencje gospodarcze. ■

KOMENTARZ



ŁUKASZ
KULESA

Raport SIPRI podsumowuje sytuację na rynku zbrojeniowym z perspektywy obrotów firm produkujących uzbrojenie, ale należy go analizować razem z danymi na temat budżetów obronnych poszczególnych państw oraz międzynarodowego handlu bronią. Całościowy obraz to nie rewolucja, lecz raczej potwierdzenie kontynuacji trendów obserwowanych od kilku lat.

Po pierwsze, dominującą rolę na rynku wciąż odgrywają przedsiębiorstwa z USA oraz z Europy Zachodniej. Ich przewaga nad resztą świata powoli jednak maleje, co częściowo jest oczywiście związane z ograniczeniami budżetów wojskowych Stanów Zjednoczonych i wielu państw europejskich.

Po drugie, poważny wzrost budżetów wojskowych Rosji i Chin oraz atrakcyjność oferowanego przez te państwa uzbrojenia na niektórych rynkach zagranicznych (Azja, Bliski Wschód, Afryka) znajdują odzwierciedlenie w znacznie większych zyskach tamtejszych firm. Producenci rosyjscy skorzystali na tym, że wcześniej państwo przeprowadziło proces częściowej konsolidacji przemysłu zbrojeniowego. Poprawiła się także jakość uzbrojenia i tempo jego produkcji: władze dały wyraźny sygnał rodzimym producentom, że będą dobrze płacić, ale nie dadzą sobie wcisnąć byle czego. Analitycy SIPRI zaznaczają, że nie mają wiarygodnych danych o obrotach firm chińskich, ale oceniają, że co najmniej dziesięć z nich znalazłoby się w pierwszej setce firm produkujących uzbrojenie.

Po trzecie, zaczynają przynosić efekty decyzje o wsparciu rozwoju i ekspansji własnego przemysłu zbrojeniowego podjęte przez część państw, które jeszcze kilkanaście lat temu kupowały uzbrojenie niemal wyłącznie za granicą lub produkowały je na licencji. Raport SIPRI po raz pierwszy wyodrębnia grupę tak zwanych producentów wschodzących, czyli firm z Turcji, Korei Południowej, Brazylii, Indii i Singapuru. Na razie wciąż dostarczają one uzbrojenia głównie na potrzeby krajowe, ale mają duże ambicje eksportowe – co możemy obserwować także w Polsce (niedawna decyzja o zakupie południowokoreańskich podwozi do armatohaubicy Krab). Trochę szkoda, że w tej grupie nie znalazła się Polska.

Łukasz Kulesa jest dyrektorem European Leadership Network.



WIKTOR BATER

Niedźwiedź czy szachista?

GAZPROM

Obrona arktycznych interesów Rosji oraz przygotowanie gruntu do zbliżającej się globalnej wojny o surowce energetyczne to najważniejsze założenia nowej doktryny wojskowej Federacji Rosyjskiej.

Putin zagrał wszystkim na nosie. Gdy tak zwani eksperci od polityki wchodniej słowo po słowie analizowali, co w doktrynie znaczy na przykład wskazanie na zagrożenie ze strony NATO albo o co chodzi z „koniecznością zwiększania bezpieczeństwa kraju poprzez walkę z finansowanymi z zagranicy nacjonalistami czy fundamentalistami”, Rosja rozpoczęła zakrojone na niespotykaną skalę przygotowania do wojny o Arktykę. W doktrynie wojskowej ujęte to zostało lakonicznie: „Jednym z priorytetów sił zbrojnych powinna być ochrona narodowych ineteresów Rosyjskiej Federacji w Arktyce, co regulują dodatkowe zapisy dokumentu”. Jakie to są zapisy – tego już nie podano do wiadomości publicznej. Wiadomo jednak, że chodzi o ochronę rosyjskich interesów przede wszystkim przed zakusami Kanady, USA, Danii i Norwegii, czyli krajów, które, tak jak Rosja, mają udokumentowane prawa do arktycznych terytoriów.

ZAMROŻONE MILIARDY

Paradoksalnie, jeszcze w sierpniu 2014 roku rosyjski Rosneft ręka w rękę z amerykańskim ExxonMobile (i to nie bacząc na

międzynarodowe sankcje i bojkoty z powodu Ukrainy) dokonały historycznego odwiertu na arktycznym złożu Uniwersyteckim Morza Karskiego, które może zawierać ponad miliard ton ropy naftowej. Ale trzy złoża na tym akwenie to już w sumie 13 mld t ropy, czyli tyle, ile ma Arabia Saudyjska lub wynoszą w sumie złoża w Zatoce Meksykańskiej, na szelfie Brazylii, Alaski i Kanady.

Jak wynika z najnowszego raportu rosyjskich naukowców, całkowite zasoby surowców paliwowo-energetycznych arktycznej części Rosji przekraczają 1,6 bln t, a szelf kontynentalny zawiera około jednej czwartej wszystkich szelfowych złóż węglowodorów na świecie, między innymi ropy naftowej i gazu ziemnego. W sumie arktyczne złoża szacuje się na 87 mld baryłek ropy. Jest o co walczyć i do tej walki trzeba się przygotować.

„Musimy nakreślić cele dla naszych narodowych interesów w tym regionie. To sprawa o kluczowym znaczeniu”, wzywał jeszcze przed podpisaniem przez Putina nowej doktryny wojskowej jeden z najbardziej radykalnych „jastrzębi” w rosyjskim rządzie, wicepremier Dmitrij Rogozin. „Jeśli tego nie uczynimy, przegramy walkę o tamtejsze zasoby, a to oznacza, że przegramy →

też wielką bitwę o prawo do suwerenności i niepodległości”, grozi Rogozin. Aby nie polec w arktycznym lodzie, Rosja nie tylko nakreśla, lecz także już realizuje Rogozinowskie tezy, między innymi właśnie przez nową doktrynę wojskową. Zgodnie z załącznikami do niej Kreml planuje budowę w Arktyce sześciu baz wojskowych z najnowocześniejszymi systemami naprowadzania radarowego. Zamierza też ustanowić tam wojskową strukturę dowodzenia złożoną z dwóch brygad piechoty zmechanizowanej, wspieranej przez poduszki i skutery śnieżne, najprawdopodobniej na Wyspie Wrangla oraz na Przylądku Schmidta. W pobliżu Murmańska nad Morzem Barentsa Kreml chce natomiast utworzyć stałe siły arktyczne, liczące 6 tys. żołnierzy: pierwsze jednostki tak zwanej białej armii (w specjalnych, białych mundurach maskujących) są już szkolone w skrajnych warunkach pogodowych do walk w Arktyce. Ponadto Rosjanie ponownie otworzyli zamkniętą pod koniec zimnej wojny bazę na Wyspach Nowosyberyjskich. Obecnie stacjonuje tam dziesięć okrętów wojennych i cztery lodotamace.

ARKTYCZNY WYŚCIG

Znamienne, że do tej ekspansji Rosja szykowałą się od lat: w 2007 roku wysłała pod biegun arktyczny dwie miniaturowe łodzie podwodne, które zatknęły na dnie morza tytanową flagę państwową. Burza, która się wówczas rozpełtała głównie w amerykańskich mediach, była reakcją Waszyngtonu na jawne i bezcenne – jak pisa-

no – pogwałcenie prawa międzynarodowego, a tak naprawdę: prestiżu Stanów Zjednoczonych, które przegrywały z Rosjanami rywalizację w kosmosie.

Kosmos wprawdzie nadal jest ważny dla Rosjan, ale obecnie znacznie ważniejsze wydaje się opanowanie startegicznych szlaków północnych. Tutaj liczą się już nie lata, lecz miesiące, a nawet dni – kto pierwszy, ten lepszy. Zmiany klimatyczne i topnienie arktycznej pokrywy lodowej otwierają dla Rosji nowe możliwości. Władimir Putin podczas jednego z ostatnich posiedzeń Rady Bezpieczeństwa w 2014 roku wytyczył dla Arktyki kolejne cele: wezwał, aby do końca 2015 roku zwiększyć ilość ładunków przewożonych wzdłuż północnych wybrzeży Rosji do 4 mln t. W ciągu pięciu lat liczba ta powinna wzrosnąć siedmiokrotnie. A to się nie uda bez wojskowego wsparcia.

Dlatego, jak pisze rosyjski analityk wojskowy Paweł Felgengauer, ofensywa militarna Rosji w Arktyce stała się faktem. „Kreml jest przekonany, że w ciągu najbliższych 15 lat świat zmierzy się z dotkliwym problemem niedoboru surowców energetycznych i że Zachód napadnie na Rosję, aby przejąć kontrolę

ZASŁONA DYMNA

Nic więc dziwnego, że tegoroczny budżet na obronę został poważnie zwiększony. Nawet w obliczu katastrofalnych dla rosyjskiej gospodarki spadków cen ropy naftowej Moskwa wyda na wojsko o 25% pieniędzy więcej niż rok temu. Budżet obrony sięgnie niemal 100 mld dolarów! Co z tego, że zabraknie funduszy? Świat odczytuje to jako niepojętą apetytę terytorialną Rosji i jej mocarstwową politykę, jednak dla Kremla to wymarzone tematy zastępcze, chociaż bardzo destabilizujące sytuację polityczną nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie. O to jednak w tym wszystkim Putinowi i spółce chodzi: aby świat patrzył na Rosję jak na syberyjskiego niedź-

JAK WYNIKA
Z NAJNOWSZEGO RAPORTU
ROSYJSKICH NAUKOWCÓW,
CAŁKOWITE ZASOBY SUROWCÓW
PALIWO-ENERGETYCZNYCH
ARKTYCZNEJ CZĘŚCI ROSJI
PRZEKRACZAJĄ
1,6 BLN TON

GAZPROM

wiedzia,

a nie wyrafinowanego szachistę. Niech płonie

Ukraina, niech wprowadzają kole-

jne sankcje, niech straszą naszymi samolotami nad Bałtykiem i aneksją republik nadbałtyckich; my tymczasem będziemy robić swoje, chociażby rozpracowywać nowe systemy satelitarne nad biegunem północnym, nowe korytarze powietrzne nad Arktką dla bombowców stratosferycznych, nowe rodzaje broni do walki w ekstremalnych warunkach pogodowych.

Róbmy swoje – zdaje się mówić Putin i ponad 80% Rosjan, biedniejących z dnia na dzień, mu wierzy. Może więc w tym szaleństwie jest metoda? Przychodzi na myśl stary radziecki dowcip o alkoholiku, którego dzieci na wiadomość o podwyżce cen wódki cieszą się: „Tatusiu, tatusiu! To teraz będziesz mniej pił?”, i słyszą w odpowiedzi: „Nie! To wy będziecie mniej jeść!”. Nasuwa się także znacznie czarniejsze wspomnienie rozkwitu niemieckiego przemysłu zbrojeniowego w latach trzydziestych ubiegłego wieku...

Arktyczne lody topnieją. Równie szybko topnieją też nadzieje cywilizowanego świata na trwały pokój między narodami. ■



no – pogwałcenie prawa międzynarodowego, a tak naprawdę: prestiżu Stanów Zjednoczonych, które przegrywały z Rosjanami rywalizację w kosmosie.

Kosmos wprawdzie nadal jest ważny dla Rosjan, ale obecnie znacznie ważniejsze wydaje się opanowanie startegicznych szlaków północnych. Tutaj liczą się już nie lata, lecz miesiące, a nawet dni – kto pierwszy, ten lepszy. Zmiany klimatyczne i topnienie arktycznej pokrywy lodowej otwierają dla Rosji nowe możliwości. Władimir Putin podczas jednego z ostatnich posiedzeń Rady Bezpieczeństwa w 2014 roku wytyczył dla Arktyki kolejne cele: wezwał, aby do końca 2015 roku zwiększyć ilość ładunków przewożonych wzdłuż północnych wybrzeży Rosji do 4 mln t. W ciągu pięciu lat liczba ta powinna wzrosnąć siedmiokrotnie. A to się nie uda bez wojskowego wsparcia.

Dlatego, jak pisze rosyjski analityk wojskowy Paweł Felgengauer, ofensywa militarna Rosji w Arktyce stała się faktem. „Kreml jest przekonany, że w ciągu najbliższych 15 lat świat zmierzy się z dotkliwym problemem niedoboru surowców energetycznych i że Zachód napadnie na Rosję, aby przejąć kontrolę

TADEUSZ WRÓBEL

Wielki zwrot

Japonia odchodzi od pacyfistycznej polityki i chce być aktywniejsza militarnie na arenie międzynarodowej.

Rząd japoński, pod przewodnictwem premiera Shinto Abe, dąży do wprowadzenia zmian w prawodawstwie dotyczącym sfery obronnej. Jednocześnie restrukturyzuje i modernizuje siły zbrojne, by sprostały nowym wyzwaniom. Część japońskich polityków chce odejść od samoograniczającej pacyfistycznej polityki, którą kraj ten prowadzi od zakończenia II wojny światowej. Konieczność jej porzucenia motywują niekorzystnymi, groźnymi zmianami, zachodzącymi w sferze bezpieczeństwa regionalnego. Japonia widzi zagrożenie w tym, że komunistyczna Korea Północna posiada broń atomową i rozwija swój program rakietowy. Innym powodem niepokoju jest szybka rozbudowa potencjału militarnego Chin, z którymi Tokio toczy spory terytorialne, a relacje dwustronne są obciążone bagażem trudnej historii, zwłaszcza krwawej wojny w latach 1937–1945.

Pierwszym sygnałem o zmieniającym się podejściu Japonii do kwestii obronnych było formalne utworzenie 9 stycznia 2007 roku ministerstwa obrony. Jednak, być może ze względu na wyczulenie Chin, ale też innych azjatyckich sąsiadów, nie przywrócono historycznego nazewnictwa rodzajów sił zbrojnych. Nadal w ich nazwach jest zachowany przymiotnik „samoobrony”.

ZŁAMANE TABU

Od ćwierćwiecza Japonia uczestniczy w misjach pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pierwszych obserwatorów, tylko cywilnych, skierowano w 1989 roku do operacji w Namibii. Przyjęcie w 1992 roku ustawy o międzynarodowej współpracy pokojowej stworzyło możliwość wysyłania za granicę personelu wojskowego sił samoobrony. Jeszcze w tym samym roku Japonia włączyła się do misji ONZ w Kambodży, a potem wysłała żołnierzy między innymi do Mozambiku, Zairu (obecna Demokratyczna Republika Konga) i na wzgórze Golan.

Ustawa z 1992 roku pozwala jednak na krótkotrwałe wysłanie kontyngentów do operacji pokojowych. Udział w innych akcjach za granicą jest bardziej skomplikowany i wiąże się z ograniczeniami, jeśli chodzi o aktywne działania militarne. Mimo tego Japońska Grupa Odbudowy i Wsparcia działała w latach 2004-2006 w Iraku, a ostatnio w cieśninie Ormuz operując okręty przeciwminowe tego kraju.

Gabinet Abe i będąca większościowym członkiem koalicji rządzącej Partia Liberalno-Demokratyczna chcą wprowadzić stałe przepisy prawne regulujące wysyłanie wojsk za granicę. Wiosną, po kwietniowych wyborach parlamentarnych, liberałowie zamierzają przedstawić projekt ustawy w parlamencie. Wcześniej muszą jednak przekonać do jej poparcia swego koalicjanta partię Nowe Komeito. Politycy tego ugrupowania, jak i część społeczeństwa, podchodzą do zmian ostrożnie, z pewną nieufnością. Japończycy obawiają się, że ich żołnierze będą wciągnięci w zagraniczne konflikty zbrojne, takie jak obecny w Iraku. Abe i jego środowisko polityczne chcą wprowadzić przepisy ułatwiające udzielanie logistycznego wsparcia przez siły samoobrony wojskom sojuszników, w tym USA. Teraz jednym z problemów są ograniczenia geograficzne. Władze japońskie planują tak zmienić prawo, aby ich kraj mógł uczestniczyć w obronie kolektywnej. Jedną z kluczowych decyzji na tej drodze była nowa interpretacja konstytucji z 1947 roku. Rządząca koalicja nie ma możliwości przeformowania jej zmiany.

Innym posunięciem rządu premiera Abe jest znaczące rozluźnienie przepisów dotyczących eksportu broni, które nastąpiło w 2014 roku. Wcześniejsze rozwiązania, obowiązujące przez kilkadziesiąt lat, powodowały, że japońska zbrojeniówka praktycznie nie istniała na rynku światowym. Teraz tamtejsi producenci będą mogli nie tylko eksportować gotowe produkty, ale też współpracować z partnerami zagranicznymi w programach mających stworzyć nowe typy uzbrojenia. Pojawienie się concernów z Kraju Kwitnącej Wiśni na światowym rynku zbrojeniowym może zachwiać pozycją niektórych dzisiejszych potentatów. Pierwszym tego sygnałem jest wielka szansa Japończyków na zdobycie wielomiliardowego zamówienia na okręty podwodne w Australii.

Obecny rząd dokonuje rewolucyjnych zmian w obronności państwa, dotąd bardzo restrykcyjnie podchodzącego do militarnego zaangażowania się poza granicami. Przez lata nikt nawet nie próbował podnosić publicznie tej kwestii. Stanowiło to swego rodzaju tabu.

SIŁY PRZECIWZASKOCZENIOWE

Władze japońskie nie ograniczają się tylko do zmian legislacyjnych, lecz dokonują też reorganizacji sił zbrojnych, →



U S M C

WAŻNIEJSZE ZAMÓWIENIA UZBROJENIA I SPRZĘTU WOJSKOWEGO W 2014 ROKU:

- trzy samoloty patrolowe P-1,
- cztery myśliwce F-35A,
- dwa samoloty transportowe C-2,
- cztery śmigłowce SH-60K,
- trzy śmigłowce ratownicze UH-60J,
- dwa śmigłowce szkolne TH-135,
- niszczyciel rakietowy,
- okręt podwodny,
- trałowiec oceaniczny,
- okręt ratowniczy,
- 13 czołgów typu 10,
- sześć samobieżnych haubic typu 99 kalibru 155 mm,
- osiem kołowych transporterów opancerzonych typu 96,
- 31 lekkich pojazdów opancerzonych,
- wóz rozpoznania skażeń,
- 6726 karabinków automatycznych typu 89,
- 50 karabinów snajperskich,
- 16 pojazdów-wyrzutni pocisków przeciwokrętowych,
- bateria rakiet przeciwlotniczych średniego zasięgu typu 03,
- przeciwlotniczy zestaw rakietowy krótkiego zasięgu typu 11,
- 18 zestawów wielozadaniowych pocisków średniego zasięgu.

by zwiększyć ich zdolność do szybkiej reakcji na bezpośrednie zagrożenie militarne dla państwa. W wojskach lądowych przybywa jednostek szybkiego reagowania. W 2013 roku składały się one ze stacjonującej na Hokkaido 7 Dywizji Pancерnej i Centralnych Sił Gotowości, do których należą między innymi 1 Brygada Powietrznodesantowa i 1 Brygada Śmigłowców. W przyszłości siły szybkiego reagowania zostaną powiększone o trzy dywizje – 2 Dywizję na Hokkaido, 6. na Honsiu i 8. na Kiusiu. Do sił wysokiej gotowości będzie też należeć pięć brygad – 5 i 11 Brygada na Hokkaido, 12. na Honsiu i 14. na Sikoku oraz nowo utworzona desantowa. Zmiany odbywają się przez zmniejszenie jednostek regionalnych do pięciu dywizji i dwóch brygad.

W dążeniu do zwiększenia mobilności swych sił w przyszłości Japończycy zamierzają zrezygnować z ponad połowy czołgów na rzecz kołowych pojazdów bojowych, uzbrojonych w armatę kalibru 105 mm. Z 690 wozów będzie zachowanych około 300. Czołgi będą miały brygady i dywizje Armii Północnej na Hokkaido. Ich jednostka podporządkowana bezpośrednio dowództwu Armii Zachodniej znajdzie się na Kiusiu. Podobne cięcia nastąpią w artylerii. Przy czym zostanie utrzymana liczba jednostek z samobieżnymi haubicami na Hokkaido, dziesięć jednostek holowanych haubic będzie z kolei przeformowanych w cztery. Dywizje i brygady stracą integralną artylerię. Haubice będą dopiero na szczelu armii. Własne działa będą miały jednostki Armii Północnej. Inną zmianą jest utworzenie brygady desantowej. Z tym jest związany plan zakupu 52 opancerzonych pojazdów amfibijnych AAV7A1. Obronę wybrzeży mają wzmocnić nowe wyrzutnie pocisków przeciwokrętowych oraz jednostki zajmujące się ich dozorem.

Zdolności obronne Japonii zwiększą się też dzięki wprowadzeniu do służby samolotów wielozadaniowych piątej generacji F-35A Lightning II, których do 2018 roku ma być zamówionych 28. Na razie ministerstwo obrony zapowiedziało zakup 42 maszyn, które zastąpią w siłach powietrznych samoloty rozpoznawcze RF-4. Równocześnie są modernizowane myśliwce F-15. Liczba eskadr myśliwskich ma się zwiększyć z 12 do 13. Inne nowości w siłach powietrznych to między innymi cztery nowe samoloty wczesnego ostrzegania, 17 wielozadaniowych pionowego startu i lądowania V-22 Osprey i dziesięć transportowych C-2 oraz trzy bezałogowe statki powietrzne dalekiego zasięgu (prawdopodobnie RQ-4 Global Hawk). Są też modernizowane zestawy przeciwrakietowe Patriot.

Z obroną przeciwrakietową wiąże się planowany zakup dwóch nowych niszczycieli z systemem Aegis i modernizacja jednostek już funkcjonujących. Obecnie Japończycy mają sześć niszczycieli z tym systemem. Będą też zamówione nowe jednostki tej klasy, przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych. Ogólna liczba niszczycieli ma się zwiększyć do 54. Japońskie siły morskie rozbudowują też flotę podwodną, która docelowo ma mieć 22 okręty. Z utworzeniem brygady desantowej wiąże się zapowiedź możliwego zakupu uderzeniowego okrętu desantowego.

Japonia dąży do zwiększenia zdolności defensywnych bez rozbudowy liczebnej sił samoobrony. 31 marca 2014 roku przewidywano, że będzie nieco ponad 247 tys. żołnierzy, a kompletowanie było na poziomie 91,3%. Zamiast tego władze japońskie wyposażają siły samoobrony w uzbrojenie i sprzęt wojskowy nowej generacji oraz optymalizują ich struktury organizacyjne. ■



KATARZYNA
GÓRAK-
-SOSNOWSKA

Historia zatacza koło

O zamachu na dziennikarzy francuskiego tygodnika „Charlie Hebdo” powiedziano i napisano już chyba wszystko. O ile początkowo dominował jeden rodzaj dyskursu – solidarność z ofiarami zamachu wyrażana replikowanym napisem „Je suis Charlie”, o tyle kolejne dni przynosiły coraz większy rozdzwięk. Wprawdzie przywódcy państw muzułmańskich wzięli udział w spontanicznie zorganizowanym marszu solidarności przeciw terroryzmowi, to jednak z rezerwą – by nie powiedzieć z niechęcią – odnieśli się do kolejnej okładki czasopisma, na której pojawiła się, rzecz jasna, karykatura proroka Mahometa.

Sprawa „Charlie Hebdo” jest zbyt złożona, aby można ją było sprowadzić do jednego wymiaru – konfrontacji Zachodu z islamem; wolności słowa z obrazą uczuć religijnych; rezygnacji z prywatności w imię poczucia bezpieczeństwa, a także granic europejskiej wolności, zdolności integracji społeczności muzułmańskich w Europie itp. W całej tej złożoności gubimy zasadniczy przekaz. A jest on taki, że niewiele nuczylśmy się od zamachów z 11 września 2001 roku i że historia zatacza koło.

Nietrudno zrozumieć gest solidarności z Francuzami ze strony muzułmańskich przywódców. „Je suis Charlie” można bowiem odczytać jako symbol solidarności z ofiarami – przecież każdy mógł zginąć w tej tragedii. Ale w imię jakich racji muzułmanie mieliby cieszyć się z karykatur Mahometa? Nic dziwnego, że pod francuskimi placówkami dyplomatycznymi w państwach muzułmańskich zebrały się pierwsze demonstracje. Dlaczego znowu naśmiewamy się z tego, co dla innych osób jest świętością? Pamiętajmy, że związek przyczynowy między sztychowaniem Mahometa a zamachem terrorystycznym z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca państwa muzułmańskiego jest, delikatnie mówiąc, niejasny. Co więcej, dochodzimy tu do niebezpiecznego argumentum ad absurdum: jeżeli nie podoba się karykatura Mahometa, to znaczy, że nie jesteś dobrym obywatelem (jako francuski muzułmanin) albo usprawiedliwiasz morderstwo (co tak naprawdę w domyśle oznacza, że muzułmanom przypisuje się poglądy terrorystów).

Wróciliśmy tym samym do starej dobrej retoryki zderzenia cywilizacji i bezpieczeństwa, bo tak łatwo tłumaczącego rzeczywistość, podziału na islam i Zachód. Kilkanaście milionów muzułmanów mieszkających i często urodzonych w Europie zostaje automatycznie przypisanych do kategorii „islam” (domyślnie: nie-Europa), na dodatek razem z terrorystami. Niby mogą próbować się z niej wydostać, ale tylko wtedy, gdy wystarczająco często i głośno będą potępiać akty terroru dokonywane przez swoich współwyznawców (co zresztą robią – pewnie trochę dlatego, bo trzeba, ale i dlatego, że jest to normalny ludzki odruch, niezależnie od wyznania).

A przecież w paryskiej tragedii muzułmanie byli po obu stronach. Zamachu dokonali muzułmańscy radykałowie-zamachowcy, ale policjant, który został bestialsko zabity, był również muzułmaninem. Pracownik sklepu koszernego, który uratował życie kilkunastu klientom w czasie drugiego zamachu, pochodził z muzułmańskiego Mali. Ale i tak, mimo (a może dzięki) tej złożoności, konstruujemy nasze narracje w dowolny sposób – jak nam akurat pasuje, gubiąc po drodze muzułmanów. ■

SPRAWA „CHARLIE HEBDO”
JEST ZBYT ZŁOŻONA, ABY
MOŻNA JĄ BYŁO
SPROWADZIĆ DO JEDNEGO
WYMIARU




DR KATARZYNA GÓRAK-SOSNOWSKA JEST
ADIUNKTEM W INSTYTUCIE FILOZOFII,
SOCJOLOGII I SOCJOLOGII EKONOMICZNEJ
W SZKOLE GŁÓWNEJ HANDLOWEJ
W WARSZAWIE I PRODZIEKANEM STUDIUM
MAGISTERSKIEGO.

wojny i pokoje



Operacja „Claymore”
– jeden z dwóch statków
transportujących siły desantowe
(HMS „Princess Beatrix”)
w pobliżu norweskiego wybrzeża.
W tle widoczny jeden
z brytyjskich niszczycieli
eskortujących wyprawę.



II WOJNA ŚWIATOWA

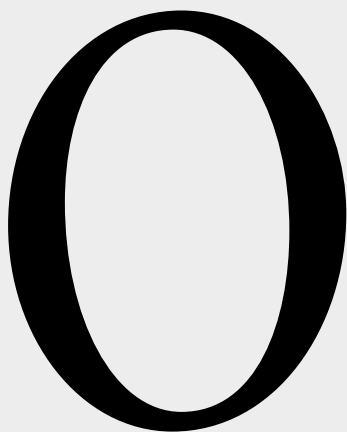
TADEUSZ WRÓBEL

STRATEGICZNA PÓŁNOC

Ze względu na działania specjalne Brytyjczyków Niemcy utrzymywali w Norwegii gigantyczne siły okupacyjne. Nie mogli zatem użyć tych wojsk na innych frontach.

IMPERIAL WAR MUSEUM





Oddziały alianckie musiały się w maju 1940 roku wycofać z Norwegii z powodu pogarszającej się sytuacji na froncie zachodnim. To skandynawskie państwo znalazło się zatem pod niemiecką okupacją. Tym samym III Rzesza zapewniła sobie dostawy wysokiej jakości szwedzkiej rudy żelaza i innych produktów potrzebnych przemysłowi obronemu. Co więcej, norweskie fiordy były doskonałymi bazami wypadowymi na Atlantyk dla niemieckich krążowników i pancerników. Z kole-

lei Luftwaffe z tamtejszych lotnisk mogła atakować północ Wysp Brytyjskich.

PIERWSZE RAJDY

Brytyjczycy postanowili nękać Niemców, przeprowadzając ataki na wybrzeża okupowanej przez nich Europy Zachodniej. Operacje te wykonywały specjalnie stworzone oddziały komandosów. Jednym z ich celów była Norwegia, na której wybrzeżu znajdowały się między innymi zakłady wytwarzające olej rybny, wykorzystywany przy produkcji materiałów wybuchowych.

4 marca 1941 roku Brytyjczycy przeprowadzili wielki rajd na Lofoty. W operacji „Claymore” wzięło udział kilkuset żołnierzy z 3 i 4 Komanda, sekcja saperów oraz 52 marynarzy norweskich. Siły desantowe przetransportowano na okrętach „Queen Emma” i „Princess Beatrix”. Eskortę zapewniały im 6 Flotylla Niszczycieli. Całością sił dowodził kontradm. Louis Henry Keppel Hamilton.

Zaokrętowani na „Princess Beatrix” żołnierze z 3 Komanda wylądowali w portach Henningsvær i Stamsund. 4 Komando na „Queen Emma” uderzyło z kolei na Brettesnes i Svolveær. Rajd na te porty był zaskoczeniem dla niemieckiego garnizonu na Lofotach. Komandosi i saperzy zniszczyli wytwórnię oleju rybnego oraz 3600 t samego oleju i gliceryny, która była składnikiem wykorzystywanym do produkcji materiałów wybuchowych. Niemcy nie stawiali większego oporu, a ranny został tylko jeden z aliantów. Jednocześnie pięć niszczycieli ogniem swych dział zatopiło dziesięć statków o łącznym tonażu 18 tys. t.

W całej tej operacji Brytyjczycy wzięli do niewoli 228 Niemców oraz 60-osobową grupę kolaborantów związanych z faszystowskim ruchem Vidkuna Quislinga. Wraz z alianckimi żołnierzami na transportowce wsiadło ponad 300 ochotników, którzy postanowili dołączyć do norweskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii.

Nieplanowanym sukcesem operacji „Claymore” było przejęcie elementów maszyny szy-

W operacji „Archery” doszło do walk w mieście Måløy



Niemiecy jeńcy pojmani podczas operacji „Archery”

IMPERIAL WAR MUSEUM (3)

frującej Enigma i książki kodów ze zniszczonego uzbrojonego niemieckiego trawlera „Krebs”.

Jeszcze większy rozmach miała operacja „Gauntlet”. Wojska kanadyjskie wylądowały 24 sierpnia 1941 roku na Spitzbergenie i Wyspie Niedźwiedziej. 1500 żołnierzy miało zniszczyć kopalnię węgla w Svalbard, by nie wpadły w ręce Niemców. Jednocześnie ewakuowano 2 tys. sowieckich górników do Archangielska i 800 Norwegów do Wielkiej Brytanii. Na Wyspie Niedź-



Hydroelektrownia Glomfjord – cel operacji „Muskatoon”

HANS NIKOLAI M. / NORDLANDSMUSSEET

NIEMIECKIE SIŁY OKUPACYJNE W NORWEGII BYŁY CZTEROKROTNIĘ WIĘKSZE NIŻ TE, KTÓRE ZDOBYŁY JĄ W 1940 ROKU

między innymi lekki krążownik „Arethusa”, osiem niszczycieli, w tym polskie „Krakowiak” i „Kujawiak”, oraz dwie norweskie korwety.

Na wyspie Moskenesøya żołnierze zniszczyli dwie stacje łączności i wzięli do niewoli niewielką grupę Niemców i kolaborantów. Marynarzom na jednym z zatopionych patrolowców udało się zdobyć Enigmę. Wraz z komandosami popłynęło do Wielkiej Brytanii kolejnych 200 norweskich ochotników. Żołnierze na Lofotach wykonywali jednak misję dywersyjną, mającą odciągnąć uwagę Niemców od znacznie większego desantu w innym miejscu Norwegii.

27 grudnia 1941 roku dużo większe siły brytyjsko-norweskie wylądowały na Vågsøy. Ich trzonem było 3 Komando, wzmocnione pododdziałami z 2, 4 i 6 Komanda oraz kilkudziesięciu żołnierzami 1 Norweskiej Samodzielnej Kompanii. Zaokrętowano ich na dwa transportowce „Prince Charles” i „Prince Leopold”. Eskortę stanowiło sześć jednostek – lekki krążownik „Kenia”, cztery niszczyciele i okręt podwodny. Operacja „Archery” miała też wsparcie brytyjskich sił powietrznych, które zbombardowały lotnisko Luftwaffe w Herdla.

Tym razem Niemcy stawili silny opór, bo w rejonie desantu znajdowała się jednostka strzelców górskich. Doszło do walk w mieście Måløy. Po stronie alianckiej było 20 zabitych i 59 rannych. Lotnictwo utraciło osiem samolotów. Straty wroga były jednak znacznie większe. Od 120 do 150 Niemców zginęło, a 98 trafiło do niewoli; podobnie jak czterech kolaborantów. Zatoneło dziesięć statków okupanta. Brytyjczycy i Norwegowie zniszczyli też instalacje do produkcji oleju rybnego i gotowy już produkt oraz zapasy amunicji i paliw. Największym ich sukcesem było jednak przejęcie kodu Kriegsmarine. Do aliantów dołączyło wówczas 77 kolejnych norweskich ochotników.



wiedziej zniszczono radiostację i stację pogodową oraz ewakuowano tamtejszych mieszkańców. Kanadyjska operacja zakończyła się 2 września 1941 roku.

GRUDNIOWE UDERZENIA

26 grudnia 1941 roku siły brytyjsko-norweskie ponownie wylądowały na Lofotach. W rajdzie wzięły udział 12 Komando oraz 1 Norweska Samodzielna Kompania, znana też jako Lingekompaniet – razem 300 żołnierzy. Choć siły desantu były znacznie mniejsze niż w marcu, to dużo większy był komponent morski operacji „Ankiet” – liczył 22 okręty,



CEL „TIRPITZ”

Pod koniec października 1942 roku Brytyjczycy i Norwedzy podjęli próbę zniszczenia niemieckiego superpancernika „Tirpitz” za pomocą dwóch żywych torped, znanych jako chariots (rydwany). Planowano je dostarczyć w rejon Trondheimsfjordu na pokładzie kutra rybackiego „Arthur”, ale oba pojazdy podwodne utracono podczas rejsu w sztormie, a sam kuter został uszkodzony i załoga go zatopiła. Spośród dziesięciu uczestników operacji dziewięciu przedarło się do Szwecji. Jeden ranny Brytyjczyk został schwytyany przez Niemców i później rozstrzelany. Drugi atak na „Tirpitz” przeprowadzono 22 września 1943 roku w Altafjord. Wtedy Brytyjczycy użyli sześciu miniaturowych okrętów podwodnych. Wszystkie z nich utracono, zginęło dziewięciu marynarzy, sześciu dostało się do niewoli, ale niemiecki pancernik został poważnie uszkodzony.

Grudniowe rajdy przyniosły dodatkowy efekt, zresztą oczekiwany przez Brytyjczyków. Adolf Hitler rozkazał rozmieścić w Norwegii jeszcze kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy oraz wzmocnić obronę wybrzeża i zbudować umocnienia w głąbi kraju. Niemiecki dyktator niemal do końca wojny był przekonany, że Brytyjczycy spróbują zająć północną Norwegię (mieliby wówczas możliwość wywierania presji na Szwecję, by wstrzymała dostawy strategicznych towarów do III Rzeszy, oraz na Finlandię, by zerwała sojusz z Niemcami). Dlatego na terenie całego kraju stacjonowało prawie 400 tys. niemieckich żołnierzy, których nie wykorzystano na innych frontach.

BITWA O CIĘŻKĄ WODĘ

Tymczasem ze względu na wzmocnienie wrogich garnizonów na norweskim wybrzeżu Brytyjczycy nigdy już nie zdecydowali się na tak wielkie rajdy komandosów, jak te w 1941 roku. Wysyłali natomiast niewielkie grupy żołnierzy w celu zniszczenia strategicznych obiektów, takich jak hydroelektrownia Vemork koło Rjukan w regionie Telemarku, pierwszy na świecie zakład, w którym na skalę przemysłową produkowano ciężką wodę. Była ona niezbędna Niemcom do prowadzenia prac nad bronią atomową. 19 października 1942 roku zrzucono w tym rejonie czterech norweskich komandosów. Mieli sprawdzić możliwości ataku z łądu, w którego wyniku zniszczono by instalację do produkcji ciężkiej wody. Ostatecznie postanowiono, że w rajdzie na Vemork wezmą udział saperzy z 1 Dywizji Powietrznodesantowej, którzy mieli wylądować w dwóch szybowcach Horsa na zamrzniętym jeziorze.

Operacja „Freshman”, którą przeprowadzono 19 listopada 1942 roku, zakończyła się katastrofą, do czego przyczyniła się zła pogoda. Najpierw o zbocze góry rozbił się jeden z holujących szybowce bombowców Halifax. Zginęła cała załoga. Ciągnięty przez niego szybowiec Horsa odłączył się, ale też rozbił.

Drugi bombowiec z szybowcem dotarł co prawda w rejon lądowiska, ale pilot go nie odnalazł z powodu braku łączności z komandosami na ziemi. Załoga postanowiła wracać do Wielkiej Brytanii. Niestety, w złych warunkach pogodowych zerwała się linka holownicza i drugi horsa roztrzaskał

się na ziemi. W każdym szybowcu, oprócz dwóch pilotów, znajdowało się 15 saperów. Brytyjczyków, którzy przeżyli lądowania, najpierw gestapo brutalnie przesłuchiwało, a później rozstrzelało.

Po tym wydarzeniu Niemcy wzmocnili ochronę hydroelektrowni, ale Brytyjczycy nie zrezygnowali z akcji sabotażowej. Tym razem miała przeprowadzić ją niewielka grupa norweskich komandosów. Do będących już w Telemarku w lutym 1943 roku dołączyło jeszcze sześciu zrzuconych na spadochronach. Uczestnicy operacji „Gunnernside” wdarli się do Vemork w nocy z 27 na 28 lutego 1942 roku. Podłożyli ładunki wybuchowe, które zniszczyły zapas ciężkiej wody i instalację do jej produkcji. Komandosi wyszli z tej operacji bez uszczerbku.

WYSOKA CENA

Nie zawsze żołnierze alianccy mieli jednak tyle szczęścia. We wrześniu 1942 roku dziesięciu Brytyjczyków i dwóch Norwegów przewiezionych przez okręt podwodny przeprowadziło atak na hydroelektrownię Glomfjord, która dostarczała energię pobliskim zakładom aluminiowym. Operacja „Musketoon” udała się i elektrownia była unieruchomiona do końca wojny. Niestety jeden z komandosów zmarł w wyniku odniesionych ran, a siedmiu innych schwymano w trakcie ucieczki do Szwecji. Po śledztwie wszystkich rozstrzelano 23 października 1942 roku w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Ci jeńcy byli pierwszymi ofiarami wydanego pięć dni wcześniej rozkazu Hitlera o likwidowaniu schwytych komandosów, nawet jeśli nosili mundury.

Równie tragiczny był finał operacji „Checkmate”, przeprowadzonej w kwietniu i maju 1943 roku przeciwko żegludze w rejonie Haugesundu. Siedmiu członkom 14 Komando za pomocą min magnetycznych udało się zatopić tylko jeden trałowiec. Komandosi zostali jednak schwymani w połowie maja, gdy oczekiwali na ewakuację do Wielkiej Brytanii. Pięciu zgładzono 2 lutego 1945 roku w Sachsenhausen. Dwaj trafili do kacetu w Belsen. Jeden zmarł tam na tyfus. Ostatniego zabito 7 kwietnia 1945 roku. Operacja „Checkmate” była 12. i ostatnim rajdem komandosów na terytorium Norwegii. ■



ANDRZEJ
FAŁARA

Generał mróz

KRÓLOWIE I DOWÓDCY
– NIE TYLKO NASI
– NAJWYRAŹNIEJ OMIJALI
W SWOICH WOJENNO-
-BITEWNYCH PLANACH
ZIMOWE MIESIĄCE

Jeśli ocieplenie klimatu, którego doświadczamy kolejnej zimy, przyszedłoby 200 lat wcześniej, to wyprawa Napoleona na wschód nie okazałaby się, być może, tak tragiczna w skutkach. Kinomani pamiętają zapewne zimową scenierię bitwy pod Berezyną ze znakomitego filmu Siergieja Bondarczuka „Wojna i pokój”. Wśród ludzi niezagłębiających się specjalnie w niuanse historii panuje przekonanie, że Bonaparte przegrał w 1812 roku z generałem feldmarszałkiem Michailem Kutuzowem oraz zimą.

Druga część tego twierdzenia jest niemal w stu procentach nieprawdziwa. Kampania rosyjska rozpoczęła się 24 czerwca 1812 roku, a zakończyła sześć miesięcy później – 25 grudnia. Z Moskwy Francuzi wycofali się w połowie października. Wspomniana bitwa pod Berezyną rozegrała się pod koniec listopada. Zimowych (kalendarzowo) dni było więc w wyprawie Napoleona zaledwie kilka. Zależy zresztą, jak liczyć. Sam cesarz opuścił swoje wojsko już 5 grudnia, a zatem ponad dwa tygodnie przed nastaniem zimy.

Prowadzenie wojen w warunkach zimowych przez wieki było uważane za pozbawione sensu. Głównie ze względu na trudności z przemieszczaniem się i aprowizacją. Wystarczy przekartkować historię Polski, by się przekonać, że wszystkie ważne dla nas bitwy – zarówno te zwycięskie, jak i przegrane – miały miejsce przeważnie latem lub jesienią. Bitwa pod Cedynią – 24 czerwca 972 roku, pod Płowcami – 27 września 1331 roku, pod Grunwaldem – 15 lipca 1410 roku, pod Orszą – 8 września 1514 roku, pod Kirchholmem – 27 września 1605 roku, pod Kłuszynem – 4 lipca 1610 roku, pod Cecorą – 17 września–7 października 1620 roku, pod Chocimiem – 2 września–9 października 1621 roku, pod Beresteczkiem – 28 czerwca–10 lipca 1651 roku, pod Wiedniem – 12 września 1683 roku.

Królowie i dowódcy – nie tylko nasi – najwyraźniej omijali w swoich wojenno-bitewnych planach zimowe miesiące. Napoleon był wodzem genialnym, ale w wypadku kampanii rosyjskiej najwyraźniej popełnił grzech pychy. Wydawało mu się, że rozbije w proch i pył wojsko cara Aleksandra I. I że zrobi to błyskawicznie. Tak wybitny strateg chyba jednak powinien przewidzieć trudności.

Ten sam błąd popełnił Adolf Hitler 129 lat później. Zaatakował Związek Radziecki 22 czerwca 1941 roku, po czym utknął w głębi Rosji na zimę, a ściślej mówiąc, na kilka zim. Bitwa pod Stalingradem, uważana przez historyków za jeden z przełomowych momentów II wojny światowej, zaczęła się 23 lipca 1942 roku, a zakończyła 2 lutego 1943 roku. Niemieccy żołnierze doświadczyli w Rosji długotrwałego, siarczystego mrozu, nie mając przy tym odpowiedniej odzieży, a konkretnie – ocieplanych płaszczy. Wówczas temperatura w okolicach Stalingradu spadała nawet do minus 40 stopni.

Żaden poważny historyk nie napisze, rzecz jasna, że Hitler przegrał wojnę na wschodzie z powodu zimy. Jako powód klęski znawcy przedmiotu podają „zbyt słabe zaplecze przemysłowe Wehrmachtu”. Wśród głównych autorów zwycięstwa Związku Radzieckiego wymienia się marszałków Gieorgija Żukowa, Wasilija Czujkowa i Konstantego Rokossowskiego. Generał mróz na tej liście nie występuje. ■



Zima, która zdążyła skuć lodem Zatokę Pucką, chwilowo odpuściła. Temperatura skoczyła powyżej zera, śnieg zaczął się zmieniać w błotnistą breję, w dodatku z nieba od rana siał deszcz. To był jeden z tych dni, kiedy człowiek najchętniej siedziałby w domowych pieleszach i nie wyściubił za drzwi nawet koniuszka nosa. Na czarno-białych fotografiach z uroczystości widać jednak tłum mieszkańców i oficjeli, chowających się pod parasolami.

W takiej właśnie scenerii gen. Józef Haller wjechał konno na pochylnię dla wodnosamolotów, a stamtąd w kierunku morza. Po chwili się zatrzymał i wygłosił formułę, która potem była cytowana dziesiątki, setki, tysiące razy: „W imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej ja, generał broni Józef Haller, obejmuję w posiadanie ten oto prastary Bałtyk słowiański”.

I wtedy nastąpił drobny zgrzyt, który zakłócił podniosłą atmosferę. Pierścień, który generał na znak zaślubin miał wrzucić do morza, wyslizgnął mu się z dłoni i potoczył po rozmokłym lodzie. Sam Haller, po przeszło 40 latach tak wspominał tamtą chwilę: „Po lodowej tafli pobiegło kilku Kaszubów, lecz żaden nie mógł uchwycić pierścienia, który wiernie połączył się z wodami Bałtyku. Na moje zapytanie, czemuście go nie pochwycili, odpowiedzieli proroczo: będziemy go mieli w Szczecinie”.

POWRÓT NAD BAŁTYK

W zbiorowej świadomości wyobrażenie o tych podniosłych chwilach zostało ukształtowane przez jeszcze bardziej podniosły obraz Wojciecha Koszaka. Tymczasem rzeczywistość, jak widać, trochę zgrzytała. Nie to jednak było najważniejsze. 10 lu-

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Kartka z zaślubin

Polska parła do Bałtyku bardzo mocno. Tak mocno, że marynarkę wojenną zaczęła tworzyć, zanim jeszcze osiągnęła jego brzegi. By zaś zdobyć pierwszy okręt, uciekła się do fortelu.



tego 1920 roku odrodzona Polska ostatecznie i trwale wróciła nad Bałtyk.

Że tak właśnie się stanie, wiadomo było już nieco wcześniej. Powrót wynikał z zapisów traktatu wersalskiego z czerwca 1919 roku. Zresztą Rzeczpospolita konsekwentnie parła do Bałtyku od pierwszych dni niepodległości. Zanim jeszcze wielkie mocarstwa oficjalnie przyznały jej dostęp do morza, naczelnik państwa Józef Piłsudski rozkazał utworzyć marynarkę wojenną. Początkowo składała się ona z dwóch flotylli rzecznych.

Pół roku po ustaleniach w Wersalu, 17 stycznia 1920 roku, został powołany Front Pomorski, który w sposób pokojowy miał przejść od Niemców tereny Pomorza. Na jego czele stanął gen. Haller. Polskie oddziały gdzieś tam napotkały opór niemieckiej straży granicznej, który jednak bez większego trudu został zdławiony. Marsz szybko przerodził się w tryumfalny pochód.

„Wojska Hallera były przyjmowane przez miejscowych z radością, ale też odrobiną nieufnością”, podkreśla Tomasz Miegoń, dyrektor Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. „Pamiętam rodzinne opowieści o żołnierzach, którzy po służbie chodzili bez butów. Być może to efekt oszczędności wynikającej z biedy. Przecież wywodzili się oni z różnych, także bardzo ubogich regionów Rzeczypospolitej. W każdym razie takie zwyczaje z trudem mieściły się Kaszubom w głowach”, opowiada. Zresztą, jak przyznaje Miegoń, pewną ostrożność przejawiali też żołnierze, którym język kaszubski wydawał się nieco egzotyczny. „Po trosze było to jednak zetknięcie dwóch różnych światów”, zaznacza.

PIERŚCIENIE OD WYBICKIEGO

Zaślubiny z Bałtykiem miały się stać jednym z najważniejszych, a zarazem najbardziej czytelnych symboli odradzającej się Rzeczypospolitej. Morze było przecież traktowane jak okno na świat. Rzeczywistość znów jednak nie rozpieszczała.

„W myśl traktatu wersalskiego Polska otrzymała 140-kilometry odcinek wybrzeża, niemal całkowicie pozbawiony infrastruktury, z jednym tylko portem w Pucku”, podkreśla Miegoń. Tam właśnie w 1912 roku Niemcy utworzyli jedną z pierwszych na świecie bazę wodnosamolotów, przejętą teraz przez Polaków. I właśnie na jej terenie miała się odbyć uroczystość zaślubin. Sam rytuał był już znany w antycznej Grecji, potem praktykowany chociażby w Republice Weneckiej. Ceremoniał zaślubin Polski z Bałtykiem został przygotowany w najdrobniejszych szczegółach. 10 lutego rano gen. Haller wraz z towarzyszącymi mu oficjelnymi wyruszył pociągiem z Torunia. Trasa prowadziła przez Gdańsk, gdzie na dworcu strażca Frontu Pomorskiego spotkał się z delegacją miejscowych Polaków. Wśród nich był dr Józef Wybicki, prawnuk twórcy „Mazurka Dąbrowskiego”. To właśnie on wręczył Hallerowi dwa platynowe pierścienie, które miały wylądować w wodach Bałtyku. Były one darem od gdańskich mieszczan.

Trasę z dworca puckiego do portu generał pokonał na koniu. Na miejscu odprawiono mszę, w której udział wzięli między innymi wicepremier Wincenty Witos, przyszedł prezydent Stanisław Wojciechowski i Maciej Rataj, który wkrótce miał zostać marszałkiem Sejmu. Jednym z kluczowych momentów uroczystości było symboliczne przekazanie straży nad Bałtykiem marynarce wojennej. Dokonał tego rybak z Kaszub Jakub Myślisz.

„Na pamiątkę uroczystości na terenie bazy Morskiego Dywizjonu Lotniczego stanął słupek zaślubinowy, który później, w październiku 1939 roku, zniszczyli Niemcy. Dziś w puckim porcie jest jego kopia”, wyjaśnia kmr por. Mariusz Konarski ze Stowarzyszenia Historycznego Morskiego Dywizjonu Lotniczego, które zajmuje się też dziejami Pucka.

Same zaślubiny miały też ciąg dalszy. Następnego dnia gen. Haller pojechał do Wielkiej Wsi, czyli obecnej dzielnicy Władysławowa, i wraz z kilkoma osobami towarzyszącymi





„Zaślubiny Polski z morzem” na obrazie Wojciecha Kossaka



Pomnik (kamień) gen. Józefa Hallera w Pucku upamiętniający odzyskanie przez Polskę wybrzeża Bałtyku

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

UROCZYSTOŚĆ W PUCKU JEST JEDNYM Z SYMBOLI ODRADZAJĄCEGO SIĘ PAŃSTWA. TERAZ PRZYPADA JEJ 95. ROCZNICA

przeprawił się łodzią na pokład pływającego pod polską banderą kutra „Gwiazda Morza”. Tam akt zaślubin został powtórzony. Już na pełnym morzu.

KAPITAN KUPUJE OKRĘT

Tymczasem Polska z każdym tygodniem coraz mocniej akcentowała swoją obecność nad Bałtykiem. Także tę wojskową. W maju 1920 roku miała już na morzu pierwszy okręt – jednostkę hydrograficzną ORP „Pomorzanin”. „W tym czasie Niemcy bardzo mocno starali się przekonać międzynarodową opinię, że Polska nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa żeglugi na przynależnej jej części Bałtyku. I dlatego właśnie oni powinni się tym zająć”, wyjaśnia Miegoń. „Aby zadać temu kłam, Polacy musieli nabyć specjalistyczną jednostkę, która prowadziłaby sondáže głębokości czy lokalizowała zalegające na dnie przeszkody”.

Tyle że droga do tego nie była prosta. Jeszcze w 1919 roku Rzeczpospolita zamierzała kupić od Niemców i przebudować pomocniczy patrolowiec „Wotan”. Ale ci nie chcieli zawrzeć takiej transakcji. I wtedy Polacy posłużyli się fortelem. Okręt kupił na swoje nazwisko ówczesny kpt. mar. Józef Unrug. Po przebudowie i zmianie nazwy jednostka – z krótką przerwą – służyła w Marynarce Wojennej RP do 1932 roku. Bardzo szybko Polacy postawili też na nogi pozostawioną przez Niemców bazę hydroplanów. Pierwszy samolot z białą-czerwoną szachownicą wzbił się nad Bałtyk już w lipcu 1920 roku.

Ale już wówczas trudno było zakładać, że Puck na długo zostanie najważniejszym polskim portem. „Jego rozbudowa była oczywiście rozważana, ale pomysł szybko został zarzucony. Zdecydowały o tym warunki naturalne. Zatoka Pucka jest płytka, co ograniczałoby ruch większych statków i okrętów”, tłumaczy Miegoń. Druga z koncepcji zakładała wejście w po-

rozumienie z Gdańskiem, który wówczas był wolnym miastem. Ostatecznie jednak najlepszy okazał się pomysł trzeci. W 1923 roku rozpoczęła się budowa portu w Gdyni. Niewielka rybacka wioska wkrótce miała się stać jednym z najważniejszych symboli II Rzeczypospolitej.

PAMIĄTKA W LONDYNIE

Co pozostało po ślubowaniu? Samemu Hallerowi bardzo spodobało się na Wybrzeżu. Otrzymał w darze ziemię, na której powstał dom letniskowy zwany Hallerówką. „Bywał tam od czasu do czasu. Potem majątek generała został połączony z Wielką Wsią i tak powstało dzisiejsze Władysławowo”, zaznacza Miegoń. Dziś w dawnym domu generała mieści się niewielkie muzeum.

Kolejne rocznice zaślubin były w Polsce międzywojennej upamiętniane, ale już dużo skromniej. „Uroczystości organizowali halerczycy”, informuje kmr por. Konarski. Po wojnie to święto zostało zepchnięte w głęboki cień. Polska Ludowa czciła rocznice swoich zaślubin. Odbyły się one 18 marca 1945 roku w Kołobrzegu. Wzięli w nich udział żołnierze 1 i 2 Armii Wojska Polskiego, którzy ramię w ramię z czerwonoarmistami parli na Berlin. Pamięć uroczystości z międzywojnia kultywowali członkowie Zrzeszenia Kaszubskiego. „Oficjalne obchody zostały przywrócone po przełomie politycznym w 1989 roku”, mówi kmr por. Konarski.

Do dziś zachował się także drugi z pierścieni, który w 1920 roku Haller otrzymał od gdańszczan. Generał do śmierci nosił go na palcu. Potem pierścień trafił do londyńskiego muzeum Fawley Court. Jest jeszcze trochę zdjęć i wspomniana już kopia zaślubinowego słupka. „Obecnie stoi on w innym miejscu niż oryginał. Tereny dawnego dywizjonu morskiego zajmują dziś Puckie Zakłady Mechaniczne”, tłumaczy kmr por. Konarski. ■



VIII SEMINARIUM DREWNIAK



"DZIAŁANIA ANTYDYWERSYJNE"

13-15. 02. 2015 WARSZAWA

48 H INTENSYWNEGO SZKOLENIA POD OKIEM
B. ŻOŁNIERZY GROM ORAZ NAVY SEALS.
W PROGRAMIE M.IN.:

- TERENOWA GRA TAKTYCZNA
- PRZECIWDZIAŁANIE I ZWALCZANIE
GRUP DYWERSYJNYCH
- TRENING WYTRZYMAŁOŚCI
PSYCHOFIZYCZNEJ
- WALKA WRĘCZ Z UŻYCIEM PRZEDMIOTÓW
CODZIENNEGO UŻYTKU

KONTAKT: DREWNIAK@GRAK.PL TEL.: 503 081 172

WIĘCEJ INFO: FB/ANTICRISISRESPONSEGROUPGRAK

PARTNERZY:

nasza armia.pl



JANTSPORT
www.plbreak.pl

ACTIVLAB
sport

surge
tactical design



Polska Zbrojna

BATES



WMASG™



JAKUB NAWROCKI

Anielscy łucznicy z Mons

Kto ocalił żołnierzy
z Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego?

Pierwsze tygodnie wielkiej wojny nie przyniosły aliantom sukcesów. Wojska cesarza Wilhelma II w zaskakująco szybkim tempie zajmowały belgijskie ziemie, kierując się najkrótszą, a zarazem najdogodniejszą drogą na Paryż. Tę samą trasę obrał też Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, którego żołnierze chcieli dotrzeć do francuskich linii gen. Charlesa Lanrezaca. Tymczasem w okolicach belgijskiej miejscowości przygranicznej Mons naprzeciw angielskich wojsk stanęły główne siły uderzeniowe gen. Aleksandra von Klucka.

PIERWSZA BITWA

Wojska feldmarszałka Johna Frencha, wyczerpane kilkudniowym marszem w słońcu, nie w pełni skompletowane, zatrzymały się na odpoczynek w sobotę 22 sierpnia 1914 roku w Mons. Następnego dnia na Brytyjczyków spadł niespodziewanie huraganowy ostrzał artyleryjski. Niemieckie pułki piechoty rozpoczęły frontalny atak na ich pozycje, ustanowione naprędce wzdłuż kanału między Nimy a Obourgiem. Atakujący, mimo wyjątkowo zaciętej obrony, zajmowali kolejne śluzy oraz mosty na kanałach wokół Mons i stopniowo wypierali oddziały Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z ulic miasta. Do żołnierzy brytyjskich dochodziły informacje o cofających się wojskach francuskich. Feldmarszałek John French nie widział zatem sensu utrzymywania Mons i nakazał odwrót w kierunku Le Cateau.

MEDIALNE CUDA

Chociaż było to pierwsze duże starcie Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego w tej wojnie, to bitwa ta, na tle późniejszych niewyobrażalnie krwawych starć, poszłaby w niepamięć historii, gdyby nie artykuł w prasie brytyjskiej. Arthur

Machen, znany badacz okultyzmu i powieściopisarz, który umiejętnie łączył fantastykę z horrorem i elementami magii, był dziennikarzem londyńskiego „Evening News”. 29 sierpnia 1914 roku na łamach tej gazety opublikował tekst „Łucznicy”. Opisał w nim sytuację sprzed kilku dni. Otóż podczas bitwy o Mons, według niego, doszło do niewytłumaczalnego zjawiska. W trakcie ataku wojsk niemieckich, w najbardziej dramatycznym momencie, kiedy Brytyjczykom skończyła się amunicja karabinowa, a przed ich pozycjami pojawiły się kolejne fale atakujących Niemców, jeden z żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego padł na kolana i głośno zaczął się modlić i prosić o boską interwencję.

Machen tak opisywał tę sytuację: „»Święty Jerzy! Rycerzu Niebios, wspomóż nas!« I kiedy żołnierz usłyszał te głosy, zobaczył przed sobą, przy okopie, długą linię kształtów otoczonych poświatą. Przypominały ludzi, którzy naciągali łuki i, kiedy rozległ się kolejny okrzyk, chmura ich strzał poleciała, śpiewając w powietrzu, w kierunku tłumu Niemców. Widmowi łucznicy wystrzelili swe pociski, masakrując atakujących. [...] ludzie w szarych mundurach padali tysiącami. Śpiewające strzały leciały tak szybko i gęsto, że aż pociemniało od nich powietrze; barbarzyńska horda topniała przed nimi. Pozostali brytyjscy żołnierze nie dostrzegają zjaw z łukami, ale widzą, jak Niemcy padają pokotem, a ich atak się załamuje. Natarcie zostaje odparte i zwycięscy Brytyjczycy mogą rozpocząć bezpieczny odwrót”.

Co ciekawe, po tej bitwie niemieccy oficerowie podobno stwierdzili, że Anglicy użyli gazów bojowych, bo na ciałach swoich żołnierzy nie widzieli śladów po kulach.

Po artykule w „Evening News” do autora zaczęły napływać listy od czytelników, którzy chcieli poznać źródła tekstu.

Wtedy Arthur Machen na łamach gazety podał informację, że jego opowieść to fikcja literacka. Mimo tego wyjaśnienia na wyspach wybuchła „anielska euforia”. Ludzie zaczęli wierzyć, że naprawdę za cudownym ocaleniem ich rodaków stały siły wyższe. Tekst Machena cieszył się taką popularnością, że był wielokrotnie przedrukowywany. Co więcej, do Wielkiej Brytanii zaczęły napływać z Europy listy od żołnierzy, którzy też widzieli zjawy.

Szer. J. East z pułku Lincolnshire, który zabezpieczał odwrót korpusu z Mons, na łamach „Evening News” w 1915 roku tak opisał to, co sam miał zobaczyć: „Niecałe 200 metrów przed nami długi szereg białych postaci, ciągnących się od domu do domu. Wykonywały one tajemnicze ruchy rękami. Na Boga! – zawołał jeden z żołnierzy – co to jest? Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy jednak czuli w głębi serca, że białą barykadę zesłała jakaś niewidzialna siła, aby ochronić ten mały oddział angielski. Wycofaliśmy się. Milczeliśmy, dopóki nie znaleźliśmy się daleko od Mons. Powiedziałem, że były to anioły, i nikt nie zaprzeczył”.

Uczestnikom bitwy ukazywali się nie tylko łucznicy, aniołowie czy św. Jerzy. Dwaj anonimowi żołnierze, których rewelacje również opublikowano w prasie, opisywali „postać kobiety w dziwnym czepku z daszkiem i w jasnobłękitnej spódnicy. Kobieta ta wielokrotnie stawała im na linii ognia”. Brytyjczycy widzieli zjawy w czasie samej bitwy o Mons i w trakcie odwrotu. Jak zapisał w 1916 roku Tim Carew, żołnierz 4 Pułku Królewskich Fizylierów: „Obudziwszy się nagle z narkotycznego snu, ujrzeli anioły, które stały nad nimi, młode kobiety ze skrzydłami zdumiewającej, eterycznej piękności. Pocięły żołnierzy, że Bóg jest z nami podczas strasznego marszu i doprowadzi ich bezpiecznie do celu”.

Takie opowieści zamieszczane w prasie utrwaliły obraz cudownego ocalenia rodaków przed widmem całkowitej zagłady w obliczu przeważających sił wroga. W 1915 roku, w formie książkowej ukazała się powieść Arthura Machena

„The Bowmen” (Łucznicy), w której autor zawarł opowieści fantastyczne i legendy wojenne. Oczywiście nie zabrakło tej o anielskiej interwencji w Mons. I chociaż pisarz na wstępie zaznaczył, że wszystkie opowiadania są wytworem jego fantazji, ludzie i tak wiedzieli swoje. Oficjalna propaganda nie dementowała tych doniesień, ponieważ na rękę było podtrzymywanie w społeczeństwie przekonania, że Bóg sprzyja entencie, a kajzerowskie żołnierze to wystannicy diabła.

PERFEKCYJNA SOCJOTECHNIKA?

Niektórzy twierdzili, że anielscy łucznicy to duchy rycerzy, którzy polegali w bitwie 600 lat wcześniej. 26 sierpnia 1346 roku w pobliskiej miejscowości Crécy mająca miażdżącą przewagę liczebną ciężka jazda rycerstwa francuskiego została bowiem pokonana przez dużo mniejsze wojska króla Edwarda III. Zwycięstwo Anglikom przynieśli właśnie łucznicy, którzy zdziesiątkowali zakute w ciężkie zbroje rycerstwo króla Filipa VI i jego europejskich sojuszników. Tak więc zbieżność pobliskich miejsc, a nawet dat nie wydaje się przypadkowa.

Co do samego miejsca, to patronem belgijskiej miejscowości Mons jest św. Jerzy – chrześcijański męczennik, uznawany za patrona żołnierzy. I to właśnie pod murami tego miasta, jak głosi legenda, miał pokonać smoka. Według doniesień świadków „objawienia”, to właśnie św. Jerzy dowodził anielskimi łucznikami, którzy pokonali wojska kajzera w sierpniowe lato 1914 roku.

Dziś już się nie dowiemy, czy zbieżność postaci, miejsc i dat była przypadkowa, czy specjalnie wybrana przez Machena. Nie jest również wykluczone to, że w czasie walki, w sytuacji niespotykanego napięcia, żołnierze mogli doznać zbiorowych halucynacji. Nawet szef wywiadu Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego w swoich pamiętnikach zapisał, że wśród żołnierzy panowała nieznaną wcześniej psychoza na temat duchów. Faktem jest natomiast, że legenda o aniołach z Mons nadal jest żywa w społeczeństwie brytyjskim. ■



W 1915 roku ukazała się powieść Arthura Machena „The Bowmen” (Łucznicy), w której autor zawarł legendy wojenne.

DUCHY WOJNY

- Św. Wojciech podobno pokazał się na niebie w trakcie bitwy pod Grunwaldem.
- Białą postać Matki Boskiej widziano na murach klasztoru w czasie obrony Jasnej Góry przed Szwedami.
- Matkę Boską Łaskawą – patronkę Warszawy wynurzającą się z dna linii polskich wojsk, widziało tysiące żołnie-

rzy w czasie Bitwy Warszawskiej 1920 roku. Na ten widok setki bolszewików podobno porzuciło broń i ratowało się historyczną ucieczką.

- Zjawy Joanny d'Arc na koniu miała prowadzić do boju francuskich żołnierzy w 1918 roku w czasie bitwy nad Marną.
- Maryja Dziewica wspierała carskich żołnierzy na froncie wschodnim I wojny

światowej w bitwie pod Augustowem i Łuckiem.

- W II wojnie światowej w trakcie bitwy w Ardenach w grudniu 1944 roku gen. George Patton rozkazał kapelanowi wojskowemu ułożyć specjalną modlitwę błagalną o dobrą pogodę, by poderwać lotnictwo alianckie do ataku na zagony pancerne SS. ■



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ANNA DĄBROWSKA

Pierwszy solenizant

Polska składa najszczerze życzenia mężowi stanu, którego dostojny urząd jest symbolem Majestatu Rzeczypospolitej.

W dniu dzisiejszym obchodzi święto swoich imienin Najdostojniejszy Gospodarz Polski, Wódarz wszystkich ziem Rzeczypospolitej, Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych, Prezydent profesor Ignacy Mościcki”, pisano na pierwszej stronie 1 lutego 1937 roku w „Polsce Zbrojnej”.

DEPEZA DO ZAKOPANEGO

Jak podkreślano w wojskowej gazecie, Rzeczpospolita Polska może się poszczycić, iż jej prezydent jest nie tylko pełnym zasług obywatelem, chlubnym bojownikiem jej niepodległości i odro-

dzenia, mężem wielkiej nauki, lecz jeszcze Najdostojniejszym Obywatelem, uosabiającym najpiękniejsze cechy polskiego plemienia.

„Dlatego w dniu imienin Pana Prezydenta kierujemy wszyscy myśli nasze i serca w stronę warszawskiego Zamku i jak szeroka i długa jest ziemia polska, płyną ku niemu najbardziej serdeczne życzenia, płynie strumień miłości ze wszystkich serc polskich”.

W dzienniku 1 lutego 1929 roku informowano, iż poprzedniego wieczoru prezes Rady Ministrów Kazimierz Bartel wyjechał do bawiącego w Zakopa-

nem prezydenta, aby złożyć życzenia. „Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Najwyższemu Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych śle w imieniu wojska najlepsze z głębi serc żołnierskich płynące życzenia”, taką depeszę wysłał z kolei Mościckiemu minister spraw wojskowych marszałek Józef Piłsudski.

Dziewięć lat później, z okazji imienin prezydenta, zaplanowano w warszawskim teatrze Żołnierza Polskiego uroczystą akademię dla żołnierzy garnizonu stołecznego. „W programie przemówienia okolicznościowe, koncert orkiestry, śpiewy i deklamacje, przedstawienie ko-

PITAWAL

Zakochany do szaleństwa

Nowak błyskawicznie wydobył rewolwer i począł strzelać na oślep.

B były szeregowy pułku piechoty Stefan Nowak zatrudnił się po wyjściu z wojska jako szofer w fabryce Pocisk w Rembertowie. Tam poznał pracującą w tym samym zakładzie Annę Iwaniu-

kównę. Niespełna rok później odbył się ślub młodej pary. Pożycie małżonków od pierwszej chwili nie należało do szczęśliwych. „Podobno z winy małżonki, która miała zbyt nowoczesne poglądy na

kwestie wierności”, czytamy w „Polsce Zbrojnej”. Dlatego w ciągu sześciu lat para kłóciła się i rozchodziła kilkanaście razy. „Zawsze jednak Nowak przebaczał w końcu żonie, którą szalenie kochał i następowała zgoda”.

W marcu 1932 roku Nowakowa znów porzuciła męża, okradła go z gotówki i uciekła z Rembertowa do Warszawy. Ulokowała się u swojej siostry Olgi na ulicy Czernikowskiej 181. Kiedy następnego dnia Nowak przyjechał autem do mieszkania szwagierki, zastał tam żonę

medii »Bilecik miłosny« i wodewilu »Tyrolskie piosenki«, zapowiadano.

Z okazji imienin gazeta przypominała życiorys prezydenta, podkreślając, że troszczy się on o sprawy ojczyzny i pracuje nie dla zarobków, ale korzyści Polski. „Jeśli dawniej twierdzono, że Polacy umieją tylko umierać za Ojczyznę, to życie profesora jest jaskrawym przykładem zaprzeczenia powyższego twierdzenia oraz wzorem, jak należy żyć i pracować dla kraju”, zaznaczył w 1931 roku dziennikarz „Polski Zbrojnej”.

Jak opisywał, w rodzinnym domu Mościckich panowała atmosfera patriotyczna. Dziadek prezydenta brał udział w powstaniu listopadowym, ojciec walczył w zrywie styczniowym. Sam Mościcki w czasie, gdy studiował chemię na politechnice w Rydze, brał udział w akademickim ruchu niepodległościowym, a podczas wojny był zwolennikiem idei Józefa Piłsudskiego. Pracując w Szwajcarii, przyszedł prezydent wynalazł, skonstruował i opatentował aparat do otrzymywania tlenu azotu przy użyciu energii elektrycznej. Potem objął katedrę Politechniki Lwowskiej i stworzył Chemiczny Instytut Badawczy w Warszawie. „Najwybitniejszym jednak dziełem było uruchomienie w 1922 roku opuszczonej i ogołoconej przez niemiecki personel, pozbawionej dokumentacji technicznej i splądrowanej fabryki związków azotowych w Chorzowie”.

POSTAĆ REPREZENTACYJNA

Po przewrocie majowym podczas Zgromadzenia Narodowego wybrano desygnowanego przez Piłsudskiego profesora Mościcio. „1 czerwca 1926 roku został 281 głosami wybrany na prezydenta, a los złożył w jego ręce honor piastowania Majestatu Polski”.

w towarzystwie młodego człowieka. Mąż zaczął perswadować Annie, aby wracała z nim do Rembertowa. „Nowakowa jednak kategorycznie odmówiła i oświadczyła z ironią, że młody człowiek, którym okazał się 23-letni Aleksander Ratawski, jest pod każdym względem lepszy od niego. Wtedy Nowak stracił panowanie nad sobą, błyskawicznie wy dobył rewolwer i począł strzelać na oślep”.

Następstwa były tragiczne. Trafiona w usta Nowakowa padła trupem. Jej ado-

Zdaniem mjr. Krzysztofa Grządowskiego trudno było zrobić lepszy wybór. „Prezydent czczony jest powszechnie za niepospolite zasługi naukowe i kryształowy charakter, niezmordowaną twórczą pracę, niezwykle zalety serca i umysłu. Te walory wewnętrzne uzupełnia wspinała postać reprezentacyjna, oblicze pełne powagi i piękna, dostojność i wytworność objęcia. Zawsze gorliwy, dokładny, stanowczy i konsekwentny mąż stanu wysokiej miary”.

Pisano w 1934 roku, że wspólnie z Piłsudskim prezydent przeprowadził Polskę przez okres wielkich niebezpieczeństw zewnętrznych i ciężkich zmagani wewnętrznych. „Dziś istnienie i rozwój Polski wspiera się na dwóch męczach, których nam pozazdrościć może niejeden z większych narodów”.

ŻYCIE SZEREGOWEGO

Reporter dziennika zapewniał także, że prezydent pracuje nad sprawami gospodarczymi armii, myśli o przemyśle wojennym i obronie ekonomicznej kraju oraz interesuje się życiem żołnierzy.

„Podczas objazdów nie tylko jest świadkiem odprawianych na jego część oficjalnych reprezentacji, ale też z troską ojcowską bada szarą i zmudną codzienność żołnierza. Zwiedza dokładnie pułki i wnika z serdecznością w materialne i duchowe istnienie szeregowego. Dlatego wszędzie witany jest z największym entuzjazmem, który płynie z miłości do niego”.

Jak zapewniano w 1938 roku na łamach „Polski Zbrojnej”, życzenia całego kraju skupiają się w jednogłośnym okrzyku, aby prezydent jak najdłużej pozostał na najwyższym urzędzie. „Niech Polska odnajdzie w jego dostojnej osobie symbol własnej przyszłości”.

rator runął na ziemię raniiony w plecy, a dwie kule ugodziły w nogę znajdującą się w tym samym pokoju siostrzenicę Anny, 19-letnią Marię Aleksiejewnę.

Dokonawszy tego czynu, oszołomiony Nowak wybiegł z mieszkania przez nikogo nieścigany, wsiadł do auta i pojechał na ul. Nowy Świat do powiatowej komendy policji, gdzie oddał się w ręce sprawiedliwości. Na miejsce tragedii przybyli przedstawiciele władz policyjnych, z naczelnikiem urzędu śledczego komisarzem Józefem Suchenkiem.



GEN. DYW. GUSTAW ORLICZ-DRESZER, INSPEKTOR ARMII:

Ruszając w 1914 roku na wojnę z Rosją spodziewał się Komendant Józef Piłsudski, że naród oświadczy się za nim i uzyska on siłę polityczną, która drobne oddziały zdoła powiększyć do poważnych sił wojskowych. Rachuby te zawiodły się. Wkraczających strzelców witano w Królestwie niechętnie lub wręcz wrogo, niedoceniając wielkiego ich znaczenia politycznego oraz wielkości chwili dziejowej.

Ogłoszenia retro:

OKAZJA!
Całem wyposażeniu Śm. Kipertel i wyrobom fabryki „WATIL-EVERSHARP” w Chicago wystawiamy
10 dniową sprzedaż reklamową
pół wierzchołków i ołówków „EVERSHARP”

określenie	dotychczasowa cena	dotychczasowa cena
szklane balony	12,50	4,00
szklane kieliszki	9,00	4,00
szklane naczynia	12,50	7,50
szklane kieliszki	12,00	3,50
szklane kieliszki	12,00	3,50
szklane kieliszki	60,00	35,00
szklane kieliszki	60,00	35,00
szklane kieliszki	27,00	16,00
szklane kieliszki	42,00	28,00
szklane kieliszki	60,00	35,00
szklane kieliszki	60,00	35,00

Gen. repr. na Polskę
SKŁAD PAPIERU I DRUKARNIA
ANTONI SZUSTER
Warszawa, Ossolińskich 1, tel. 8-1-23.

Wezwano pogotowie, które przewiozło Ratawskiego i Marię do szpitala Dzieciątka Jezus. Dziewczyna przeżyła, ale rany młodego mężczyzny okazały się tak ciężkie, że kilka dni potem zmarł.

Nowak stanął przed sądem, który skazał go na dziesięć lat ciężkiego więzienia. „Tak niski wyrok podyktowany był nienaganną opinią oskarżonego do wojska i pracy oraz zeznaniami znajomych, którzy świadczyli o jego uczciwości, wierności i szalanej miłości do żony”.

Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości po japońskim ataku na Pearl Harbor, które okręty będą najważniejsze w wojnie na Pacyfiku, to rozwiały je stoczone kilka miesięcy później bitwy na Morzu Koralowym i o Midway. W obu wrogie jednostki były atakowane przez samoloty operujące z lotniskowców. W tych starciach okręty amerykańskie i japońskie nie oddały do siebie ani jednej salwy.

Japończycy, którzy po wyeliminowaniu z walki stacjonujących w Pearl Harbor pancerników US Navy dominowali na morzu przez pierwsze miesiące 1942 roku, po utracie czterech lotniskowców pod Midway znaleźli się w defensywie. Ich sytuację pogorszyły kolejne straty jednostek tej klasy. Tymczasem amerykańska machina wojenna nabierała coraz większego tempa. W stocznicach USA budowano dziesiątki nowych lotni-

TADEUSZ WRÓBEL

LOTNISKOWCE HYBRYDOWE

Zdesperowani Japończycy próbowali wzmocnić swą flotę walczącą z Amerykanami na Pacyfiku, przebudowując na lotniskowce dwa stare pancerniki.



skowców. Japoński przemysł miał zaś problem z dostarczeniem Cesarskiej Marynarce Wojennej następców utraconych okrętów.

POTEŻNA ARTYLERIA

Jednym z japońskich pomysłów zwiększenia potencjału lotnictwa morskiego była przeróbka na lotniskowce starych pancerników. W Tokio zapadła decyzja, że zostaną przebudowane dwa okręty, „Hyuga” i „Ise”, zwodowane w czasie I wojny światowej. Pancerniki tego typu miały tuż po wejściu do służby 36,5 tys. t pełniej wyporności i 208 m długości. Ich główne uzbrojenie składało się z 12 dział kalibru 356/45 mm rozmieszczonych po dwa w sześciu wieżach. Dodatkowo miały początkowo 20 pojedynczych dział kalibru 140/50 mm i sześć wyrzutni torped. Jednak w okresie międzywojennym pancerniki kilka razy modyfikowano, co miało związek z pojawieniem się nowego groźnego przeciwnika dla okrętów wojennych – lotnictwa. Już w 1921 roku zamontowano na nich po cztery działa przeciwlotnicze kalibru 76/40 mm. Dziesięć lat później przebudowano nadbudówki pancerników, zwiększono kąt podniesienia 356-milimetrowych dział z 25 do 30° oraz dodano platformę lotniczą i trzy wodnosamoloty. Potem zamontowano jeszcze katapultę.

Jednak naprawdę ogromną modernizację obu pancerników przeprowadzono w latach 1934–1937. Zostały wówczas wydłużone do około 216 m ich kadłuby. Znowu dokonano przeróbek nadbudówek (usunięto jeden z kominów) i wzmocniono opancerzenie niektórych punktów okrętu. Modernizacji poddano też napęd pancerników. Zniknęły kotły opalane węglem.

W tym okresie dokonano też bardzo dużych zmian w uzbrojeniu japońskich okrętów. Usunięto cztery działa 140-milimetrowe, cztery 76-milimetrowe oraz wyrzutnie torped. W ich miejsce na pokładzie każdego z pancerników pojawiło się nowoczesne uzbrojenie przeciwlotnicze: cztery podwójne działa kalibru 127/40 mm, cztery pojedyncze kalibru 40/62 mm oraz pewna liczba karabinów maszynowych kalibru 13,2 mm. Zwiększono też do 43° kąt podniesienia największych dział.

Tuż po zakończeniu wielkich prac modernizacyjnych, w 1937 roku pancerniki ponownie trafiły do stoczni, gdzie usunięto z nich działa 40-milimetrowe i karabiny maszynowe. W zamian dostały dziesięć podwójnych działek przeciwlotniczych kalibru 25/60 mm. Po tych zmianach pełna wyporność obu okrętów zwiększyła się do około 40 tys. t.

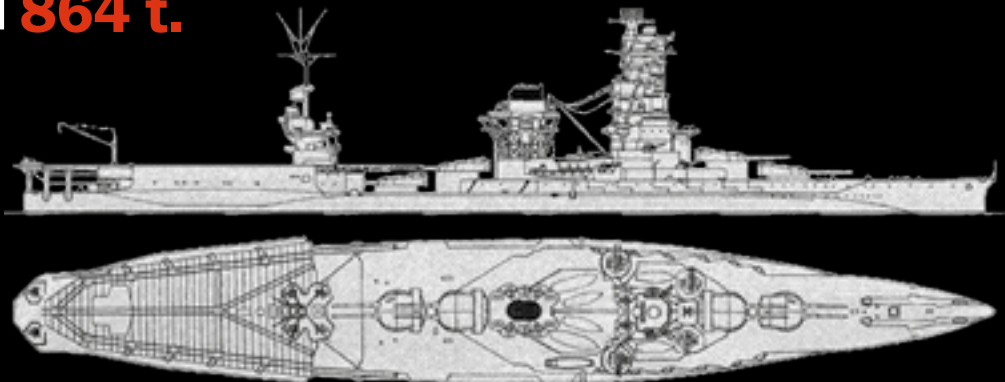
**OKRĘTY, W KTÓRYCH
PRZEBUDOWĘ WŁOŻONO
SPORO WYSIŁKU,
PRAKTYCZNIE NIE BYŁY
UŻYWANE W DZIAŁANIACH
BOJOWYCH**





W 1943 ROKU PODSTAWOWĄ ZMIANĄ
było usunięcie dwóch rufowych wież
artylerii głównej, ważących po

864 t.



Następne modernizacje miały miejsce już w trakcie wojny na Pacyfiku. W 1942 roku „Hyuga” stracił w wyniku eksplozji jedną z wież głównej artylerii. W zamian dostał cztery potrójne działa 25-milimetrowe i radar. „Ise” w tym czasie też otrzymał radar.

WIELKA PRZERÓBKA

W 1943 roku oba okręty trafiły do stoczni w Kure i Sasebo, gdzie w ciągu kilku miesięcy przebudowano je w pancerniki-lotniskowce. Podstawową zmianą było usunięcie dwóch rufowych wież artylerii głównej, ważących po 864 t. Znikły też dwie barbety ważące po 800 t. W ich miejscu powstał betonowy pokład lotniczy o długości 70 m i szerokości 28 m. Hangar pod nim miał taką samą szerokość i 40 m długości. Z boku pokładu zamontowano żuraw do podnoszenia i opuszczania samolotów, których na każdym z okrętów mogło być do 22. Na pokładzie było miejsce dla dziewięciu. Dwa następne mogły być umieszczone na katapultach typu 1 nr 2 model 5 (dla samolotów o masie 4600 kg), a pozostałe w hangarze.

Japończycy postanowili, że grupa lotnicza na hybrydowym lotniskowcu będzie miała dwa typy samolotów. Na okręcie mogło stacjonować do ośmiu bombowców nurkujących Yokosuka D4Y Suisei model 21. Samolot, mający amerykańskie oznaczenie Juddy, Japończycy opracowali na podstawie projektu niemieckiego bombowca nurkującego He 118. Dwuosobowa maszyna, uzbrojona w trzy karabiny maszynowe – dwa kalibru 7,7 mm i jeden 7,92 mm, mogła przenosić bomby o masie 500 kg. Zasięg DY4 wynosił 1465 km. Problem z tymi samolotami polegał na tym, że choć mogły wystartować z „Hyuga” czy „Ise”, to nie mogły z powrotem na nich wylądować, bo pokład lotniczy był zbyt mały.

Lepiej przystosowany do operowania z lotniskowca hybrydowego był wodnosamolot pływakowy Aichi E16A Zu-iun. Mógł bowiem lądować na wodzie, skąd za pomocą żurawia wciągano go na pokład. Maszyna, której Amerykanie nadali oznaczenie Paul, była przeznaczona do zadań rozpoznawczych. Jednak Zu-iun był też przystosowany do wykonywania misji uderzeniowych, bo mógł przenosić jedną bombę 250-kilogramową lub dwie 60-kilogramowe. Samolot miał dwa działka kalibru 20 mm w skrzydłach i ruchomy

karabin maszynowy kalibru 12,7 mm na tylnym stanowisku strzeleckim.

Przy okazji przebudowy na lotniskowce zmodyfikowano uzbrojenie okrętów, które teraz miały po cztery podwójne wieże z działami 356-milimetrowymi. Liczba zaś dział 127-milimetrowych zwiększyła się do 16 (8x2). Mniejszych, potrójnych 25-milimetrowych było 19. Usunięto za to ich wersję podwójną. Okręty wyposażono też w trzy radary. Konsekwencją zmian było wydłużenie jednostek do 219,6 m, przy jednoczesnym spadku ich pełnej wyporności do 38,7 tys. t.

W 1944 roku znowu wzmacniano uzbrojenie przeciwlotnicze lotniskowców hybrydowych. „Hyuga” otrzymał jeszcze osiem, a „Ise” tuzin potrójnych dział 25 mm. Na obu zamontowano też po 11 pojedynczych tego kalibru. Potem dostały po sześć wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, każda z 30 pociskami 127-milimetrowymi. Na przełomie października i listopada 1944 roku, by poprawić możliwość prowadzenia ognia z dwóch wież z działami 356-milimetrowymi, usunięto z nich katapulty.

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Okrętów, w których przebudowę włożono sporo wysiłku, praktycznie nie używano w działaniach bojowych. Jedyną większą ich misją był udział w bitwie w Zatoce Leyte 25 października 1944 roku, gdzie Amerykanie ostatecznie rozbili flotę japońską. Lotniskowce hybrydowe, choć doznały uszkodzeń – „Hyuga” został trafiony bezpośrednio bombą – przetrwały.

Od lutego 1945 roku pancerniki-lotniskowce stacjonowały w bazie morskiej Kure, gdzie pełniły funkcję baterii przeciwlotniczych. W marcu oba zostały uszkodzone w wyniku amerykańskich ataków. Ostatecznie lotnictwo US Navy rozprawiło się z nimi latem 1945 roku. 28 lipca „Ise”, trafiony bezpośrednio 18 bombami 454-kilogramowymi, zatonął na płytkiej wodzie. Jego bliźniaka spotkał ten sam los, gdy uderzyło w niego dziesięć bomb. W ataku tym wzięły udział myśliwce F4U Corsair, bombowce nurkujące SB2C Helldiver i inne z lotniskowców „Hancock”, „Bennington” „Ticonderoga” i „Lexington” oraz bombowce B-24 Liberator z Okinawy. Oba japońskie okręty zostały podniesione z dna i złomowane w latach 1946–1947. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Lekcja dowodzenia

Jarosław M. był najmłodszym dowódcą kompanii w pułku. W końcu lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku awans podporucznika na to stanowisko nie zdarzał się często. Zwłaszcza gdy był do niego przypisany etat majora. Do anegdoty przeszły opowieści kadry o telefonach, jakie oficer otrzymywał z domu: „Mówi żona porucznika M. na etacie majora. Proszę męża do telefonu”.

Porucznik głowę nosił wysoko, nigdy się nie uśmiechał, a z podwładnymi rozmawiał jedynie służbowo. Był przekonany, że groźna mina i surowy ton zapewnią mu autorytet, którego nie dawał niski stopień. W połowie lat siedemdziesiątych nasz bohater, już w stopniu kapitana, rozpoczął studia w Akademii Sztabu Generalnego. Jako pierwszy dostał zadanie opracowania planu rekonesansu stanowisk dowodzenia. Zrobił to bardzo dokładnie. Po przybyciu osinobusem na pierwsze stanowisko ćwiczący sprawdzili, czy miejsce odpowiada wymaganiom, których w dowódczym katalogu jest bez liku. Następnie grupa przejechała na kolejne stanowisko. Po kilkunastu godzinach takiej pracy oficerowie byli zmęczeni i głodni, tyle że w planie rekonesansu nie uwzględniono przerwy. Późnym popołudniem zezłoszczeni żołnierze wrócili do Rembertowa. Kapitana M. od tego czasu traktowano „per noga”.

O tym, że ludzi można traktować inaczej, służbista przekonał się kilka tygodni później, podczas kolejnych zajęć w polu. Tym razem plan rekonesansu opracował kpt. Krzysztof K. W trakcie przejazdu na kolejne stanowisko pracy, oddalone od pierwszego o kilkadziesiąt kilometrów, przewidziany był postój w regionalnej gospodzie na flaki i kaszankę na gorąco. Po takiej uczcie na następnym stanowisku pracowano sprawnie i akademicy w dobrych humorach wrócili na uczelnię. Autor tego planu został starszym grupy.

Nasz bohater przekonał się wówczas, że autorytet dowódcy nie zależy od jego groźnej miny czy stopnia, lecz od właściwego traktowania żołnierzy. Od tego czasu kapitan M. hołdował maksymie, że dla mądrego dowódcy zawsze są ważne stosunki międzyludzkie w pododdziale. Warto było. Kiedy w stopniu pułkownika M. odchodził na wysokie stanowisko do Warszawy, od kadry usłyszał, że był jej najlepszym dowódcą. ■

BYŁ PRZEKONANY,
ŻE GROŹNA MINA I SUROWY
TON ZAPEWNIĄ MU
AUTORYTET, KTÓREGO
NIE DAWAŁ NISKI STOPIEŃ



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.

|WETERANI|

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

TANIEC ANIOŁÓW

Pokonali własne słabości, zdobyli Arktykę.



KAROL NOWICKI

D

otarli na koniec świata, bo dalej na północ nie ma już żadnej miejscowości. Tylko białe niedźwiedzie. Sprościli wyzwaniom, jakie postawiła przed nimi ta wyprawa: nie dali się pogodzić, polarnym drapieżnikom oraz pokonali własne słabości i niepełnosprawność.

Kiedy znajomi pytali Jarosława Kurowskiego, któremu podczas misji w Bośni mina urwała nogę, po co tam jedzie, odpowiadał: „Gdy podnoszę rękawicę, to już jej nie puszczam”. Także Tomasz Roźniatowski, który w wybuchu miny w Afganistanie stracił rękę, chciał sprawdzić się w trudnych warunkach. Dlatego obaj dołączyli do ekipy wyprawy arktycznej Spitsbergen Arctic Expedition 2014, którą objął patronatem minister obrony narodowej. Wzięli w niej udział także Jacek Żebryk i Przemek Wójtowicz, „nieco” mniej poszkodowani weterani. Żartowali, że Przemek był prawą ręką Tomka, a Jacek lewą nogą Jarka.

„Nasz udział w tej wyprawie miał pokazać, że niepełnosprawność nie musi być przeszkodą w podejmowaniu różnych wyzwań, także fizycznych”, tłumaczy Tomasz. Według Jarka przełamywanie własnych słabości ma udowodnić innym poszkodowanym weteranom, że powinni w siebie wierzyć. Zarówno Roźniatowski, jak i Kurski to byli żołnierze powietrznodesantowi, obaj dumni z czerwonego beretu. Dla obu była to pierwsza tak ekstremalna wyprawa, ale – jak zgodnie podkreślają – poradzili sobie znakomicie.

„Ciężko było tylko przy ubieraniu, musiałem prosić kolegę o zawiązanie butów”, wspomina Tomasz, któremu brak ręki nie przeszkadza ani w skokach na spadochronie, ani w nurkowaniu. Proteza nogi nie wykluczyła Jarka z organizowanych przez Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju kilkunastokilometrowych wędrówek po Bieszczadach. Podczas arktycznych mrozów musiał tylko zadbać o dobre ogrzewanie lewej nogi, w której ma także ubytki mięśniowe.

WYPRAWA W NIEZNANE

Pomysł wyjazdu na Spitsbergen narodził się kilka miesięcy temu, w czasie koleżeńskiej roz-



mowy członków Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. „Okazało się, że możemy dołączyć do grupy osób z innych służb, którzy się tam wybierają. Nie chcieliśmy jechać na wycieczkę, lecz wziąć udział w ekstremalnej wyprawie”, mówi Przemek Wójtowicz. Inspiracją była podobna eskapada, którą w 2012 roku zorganizowali na biegun północny Brytyjczycy.

Potrzebny na wyprawę sprzęt dostali od sponsorów, którzy wspierają środowisko weteranów także przy innych okazjach. Puchowe kurtki i odzież termoaktywną – od firmy Helikon-Tex. Urządzenia wielofunkcyjne z nawigacją oraz bilety lotnicze zapewniła ASUS Polska. Dzięki dofinansowaniu Fundacji MG-13 mogli kupić specjalistyczne wyposażenie przydatne w lodach Arktyki, między innymi buty, które pozwalały na spacer po oblodzonej powierzchni przy temperaturze minus 30 stopni.

Trasa podróży wiodła z Gdańska, przez norweskie miasta Oslo i Tromsø, na arktyczny archipelag Svalbard, którego największą wyspą jest Spitsbergen. Plan był taki, że przez pięć dni będą na skutekach śnieżnych eksplorować lodowce. Pogoda nieco skorygowała te zamiary.

Miasteczko Tromsø, które zwiedzili po drodze, przywitało ich drobnym, bijącym po twarzy zmrożonym śniegiem. Było szaro. „Czy tak samo będzie na Spitsbergenie?”, zastanawiał się Jarek (następnego dnia okazało się, że na Spitsbergenie nie

TRASA PODRÓŻY WIODŁA Z GDAŃSKA, PRZEZ NORWESKIE MIASTA OSŁO I TROMSO, NA ARKTYCZNY ARCHIPELAG SVALBARD, KTÓREGO NAJWIĘKSZĄ WYSPĄ JEST SPITSBERGEN



Po raz kolejny udało się udowodnić, że rehabilitacja przez sport i rekreację to podstawowa droga do zdrowia psychicznego i kondycji fizycznej rannych żołnierzy.



KAROL NOWICKI

ma szarówki, lecz panują ciemności nocy polarnej). Przeszli mostem prowadzącym do wyspy Tromsøya, na której jest położone miasto. „Panorama pięknie oświetlonego Tromsø to był bajeczny widok, jak z filmów Dinseya”, wspomina Jarek. Stamtąd polecieli do krainy ciemności, na Spitsbergen.

W KRAJNIE CIEMNOŚCI

Na miejscu okazało się, że ze względu na trudne warunki atmosferyczne nie dostali pozwolenia na rozbić namiotów na lodowcu. Wiał przenikliwy wiatr, a zasnuwane chmurami niebo nie dawało nadziei na pojawienie się zorzy. Podczas nocy arktycznej na Spitsbergenie nie ma turystów, tylko latem są organizowane spływy kajakowe, rejsy statkiem, wycieczki w głąb lodowca. W grudniu Spitsbergen był skuty lodem, pokrytym jedynie cienką warstwą śniegu, nie można było jeździć na skuterach. Pozostały piesze wycieczki – do jaskiń lodowych, sztolni górniczych, na lodowiec. Byli zdani na własne nogi, a Jarek po raz kolejny docenił kijki nordic-walking. Nie zawsze udało się odnaleźć wejście do lodowej jaskini, ukryte pod warstwą padającego śniegu. Trasę trzeba było dokładnie wytyczyć, bo w białej przestrzeni nie było punktów orientacyjnych. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że bez raków na butach i specjalistycznego sprzętu nie ma co się dalej zapuszczać.

Ratrakiem („to taki bus na gąsienicach”, tłumaczy Przemek) pojechali na lodowiec. Jarek wyobrażał sobie, że będzie to po prostu gładka, pokryta lodem góra. I była góra, ale z olbrzymimi głazami i kamieniami oraz zamrożonym piachem. Tomek był zaskoczony, że nigdzie nie ma ani jednego drzewa. Patrzył w ciemność i myślał, że to dziwne, ale nie działało to na niego przynębiająco.



EKIPA SPITSBERGEN ARCTIC EXPEDITION 2014:

Leszek Bohl – polarnik jeżdżący na wózku, Maciej Wojciechowski – maratończyk i wykładowca Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie; motocykliści i podróżnicy: Maciej Salm, Izabela Kostrzewska i Konrad Skawiński, alpinista Mariusz Szczuraszek, funkcjonariuszka Biura Ochrony Rządu Katarzyna Żurek oraz dziennikarz Karol Nowicki. W wyprawie uczestniczyli także poszkodowani weterani: mł. chor. Przemysław Wójtowicz i ppor. Jacek Żebryk oraz kpr. Tomasz Roźniatowski i st. szer. Jarosław Kurowski.

W pełni sezonu turystycznego na wyspie przebywa 2 tys. ludzi, a w archipelagu Svalbard żyje około 3,5 tys. niedźwiedzi polarnych. Te kilkusetkilogramowe drapieżniki potrafią wywęszyć człowieka nawet z odległości kilku kilometrów. Spotkanie z nimi może skończyć się tragicznie, dlatego osoby oddalające się od osiedli mają obowiązek posiadania broni. „Wy pożyczylimy mauzera. Pochodził z 1939 roku i miał nabitą na zamku swastykę. Podczas wypraw mieliśmy broń pod ręką, ale jej nie użyliśmy, bo nie spotkaliśmy niedźwiedzi”, opowiada Jacek Żebryk.

Nie natknęli się na nie także nad Morzem Arktycznym, gdy postanowili zażyć morskiej kąpeli (choć podobno poprzedniego dnia miejscowi widzieli spacerującego plażą białego misia). W wodzie o temperaturze minus 1 stopień zanurzyli się na minutę. Potem opowiadali, że było to niezapomniane przeżycie. W ciało wbijała się pajęczyna z tysiącem igieł. Najgorsze okazało się jednak wyjście na brzeg. „Satysfakcja była ogromna, jak przed laty w desancie. Wspólne pokonywanie barier jednoczy i spaja, stajemy się zespołem”, mówi Jarek.

BIEG DLA ANDRZEJA

„Był moim przyjacielem”, mówi o Andrzeju Filipku Jacek Żebryk. Razem pojechali na misję do Iraku. Po powrocie zamierzali wybrać się na urlop do Chorwacji. Atak na patrol grupy bojowej na drodze w północnej części Diwaniji pokrzyżował te plany. Andrzej zginął. Teraz Jacek postanowił uhonorować przyjaciela. Wymyślił, że podczas wyprawy weterani zorganizują na lodowcu zawody – I Bieg Arktyczny Weteranów Poszkodowanych w Misjach im. sierż. Andrzeja Filipka.

Na poczcie, w supermarkecie i budynku, w którym urzęduje gubernator, rozlepili ogłoszenia, zapraszające mieszkańców i turystów do udziału w tej sportowej rywalizacji. Dla nich bieg na trasie 3 km był hołdem oddanym koledze. Patronat nad imprezą objęli Klub Biegacza „Sprint” ze Świdwina i Wojskowy Klub Biegacza „Meta” z Lublińca.

„Przyłączyło się do nas kilkanaście osób. Dla mnie to było spore wyzwanie, po raz pierwszy od lat pokonałem w dość szybkim tempie tak długi dystans. Nie czułem bólu, w głowie kołatała jedna myśl, że dam radę, że najgorsze to raz się podać”. Na finiszu, to było niesamowite, nawet biegiem!”, opowiada Jarosław Kurowski.

Przemysław Wójtowicz, który jest także pełnomocnikiem do spraw sporu i rekreacji w Stowarzyszeniu Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju, podkreśla,

że po raz kolejny udało się udowodnić, że rehabilitacja przez sport i rekreację to podstawowa droga do zdrowia psychicznego i kondycji fizycznej rannych żołnierzy. „Niepełnosprawność nie jest przeszkodą w uzyskaniu patentu płetwonurka czy zdobyciu Spitsbergenu”, uważa Przemek.

MARZENIA O ZORZY

Wszyscy uczestnicy wyprawy mieli jedno marzenie: zobaczyć zorzę polarną. Wielu turystów specjalnie w tym celu przyjeżdża na Spitsbergen z najodleglejszych zakątków świata. Zdarza się, że opuszczają to miejsce niepokieszeni. „Nie potrafiłem jej sobie wyobrazić, kojarzyła mi się z gwiazdą bełtejską z dzieciństwa”, przyznał Jacek.

Pierwsza zorza pojawiła się trzeciego dnia wyprawy. Z hotelowych pokoi wyrwał wszystkich okrzyk Tomka: „Zorza!”. Wybiegli przed baraki. „Wstyd się przyznać, ale kiedy spojrziałem w niebo i zobaczyłem ten niezwykle spektakl, zapomniałem, co to ostrość, głębia ostrości... Nie da się opisać słowami tego widoku. Nie oddają go w pełni zdjęcia. Zorzę po prostu trzeba zobaczyć”, mówi fotograf wyprawy Karol Nowicki.

Zorza, która rozbłysła na niebie po zakończeniu biegu, była nagrodą: za sportową rywalizację, za padający śnieg, przenikliwy wiatr i 19 stopni na minusie. Wszyscy patrzyli zaurczeni, jak na czarnym północnym niebie, którego nie rozświetlał księżyc, odegrał się spektakl wyreżyserowany przez naturę. Gnane wiatrem słonecznym naładowane cząsteczki ze słońca były odpychane w okolicach biegunów magnetycznych od górnych warstw atmosfery. Wtedy gazy atmosferyczne zaczynały świecić.

„Miejscowi mówili, że nie pamiętają takiego widoku. Zazwyczaj zorza jest zielona, a nasza błyszczała na tle ciemnego nieba wszystkimi kolorami tęczy. Rozświetlała ciemność przez niemal pół godziny, gdy zazwyczaj utrzymywała się za ledwie kilka minut”, opowiada Jacek.

„Mieniła się nad naszymi głowami na żółto, niebiesko, pomarańczowo, przybierała różne kształty”, wspomina Przemek. „Jej widok wynagrodził wszystkie trudy wyprawy”.

„Zdawało się, że aniołowie tańczą, rozwijają i zwijają świetliste szale”, pisał o zorzy Jan Parandowski. Jacek, Przemek, Tomek i Jarek nie mieli wątpliwości, że ten kolorowy spektakl na niebie po zakończeniu biegu – zorza, która ułożyła się w kształt serca – był prezentem od Andrzeja Filipka. Stali, milcząc, zapatrzeni w niebo, w poczuciu, że odezwał się do nich z góry. ■



Bitwa na morzu

Miłośnicy historii strzelali z XVII-wiecznego działa.

Szwedzcy entuzjaści dziejów wojskowości pracujący nad **projektem „Vasa Gun Project”** testowali na poligonie Bofors Test Center replikę działa sprzed blisko 400 lat. Jest to dokładna kopia broni wydobytej w 2012 roku z wraku okrętu „Vasa”. Na początku XVII wieku, kiedy jednostkę zbudowano, była ona najpotężniejszym galeonem na Morzu Bałtyckim, uzbrojonym w 64 działa. Niestety, był niesta-

bilny i niedługo po zwodowaniu zatonął. Teraz historycy postanowili zbadać, jak skuteczna i celna była jego broń. Zbudowali dokładną replikę działa i strzelali z niej do odtworzonego fragmentu kadłuba dawnego żaglowca. Jak poinformowano na The History Blog, próby były nagrywane, filmowane i dokumentowane pomiarami radarowymi, a wnioski z nich będą opracowane jeszcze wiosną tego roku. A D ■

Prawie jak jastrzęb

Powstanie bezzałogowiec latający z precyzją ptaków.

Specjaliści z DARPA, amerykańskiej Agencji zajmującej się badaniami w dziedzinie obronności, pracują nad projektem Fast Lightweight Autonomy (FLA), czyli małego, lekkiego i szybkiego latającego drona, który mógłby działać w budynkach. **Bezzałogowiec ma być zwrotny i szybki jak ptaki**. Dzięki temu będzie mógł poruszać się z prędkością do 20 m/s, omijając przeszkody i to bez kontaktu z operatorem. Jak tłumaczy DARPA, potrzebne jest



do tego opracowanie specjalnych algorytmów. Dzięki danym z czujników i kamer pozwolą one nawigować lot w ciasnej przestrzeni nawet przy dużych prędkościach. Dron będzie w pełni autonomiczny i zdolny przemieszczać się między budynkami i wewnątrz nich, poszukując tam na przykład wojsk przeciwnika. A D ■

Osobiste pytania

Kandydaci do brytyjskiej armii będą pytani o orientację seksualną.

Jak tłumaczy na stronie „The Guardian” brytyjskie ministerstwo obrony, zgromadzone informacje pozwolą lepiej zrozumieć różnorodność tamtejszych sił zbrojnych. Na pytanie, czy jest się gejem, osoba wstępująca do wojska może odmówić udzielenia odpowiedzi. Jeśli jednak zdecyduje się ujawnić swoją orientację, jej odpowiedź zostanie zapisana anonimowo w arkuszach statystycznych. Informacja ta nie będzie dostępna dla przełożonych żołnierzy. Pytania mają też służyć zwiększeniu tolerancji w brytyjskich siłach zbrojnych, które w 2000 roku otworzyły się na służbę żołnierzy gejų. A D ■

Podwodna tajemnica

Dwie ekipy wyruszą szukać legendarnego okrętu podwodnego.

Poszukiwania ORP „Orzeł”, który zaginął bez wieści podczas patrolu na przełomie maja i czerwca 1940 roku, trwają od końca II wojny światowej. Tym razem próbują go odnaleźć dwie niezależne ekipy. Jeden zespół utworzą przedstawiciele marynarki wojennej współpracujący z Ministerstwem Kultury. Druga ekipa to historycy i nurkowie z grupy Santi Odnaleźć Orła. Obie wyprawy będą szukać wraku na Morzu Północnym. Grupa marynarki sprawdzi miejsca, gdzie zlokalizowano wraki, które swoimi wymiarami przypominają okręty podwodne. Badacze z Santi Odnaleźć Orła uważają natomiast, że okręt został zatopiony przez przypadek przez brytyjski samolot. Będą go szukać w miejscach wskazanych w zapiskach brytyjskiej admiralicji i raportach RAF-u. A D ■

Gwiazdki dla stulatka

Podporucznikiem w stanie spoczynku został sierż. Jan Klisz. Nominację wręczył mu szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Krakowie płk Janusz Kurzyna. Kombatant mianowany na pierwszy stopień oficerski niedawno skończył 100 lat. Urodził się 27 października 1914 roku w Wołkowie na terenie dzisiejszej Ukrainy. W 1938 roku został powołany do służby w 17 Pułku Piechoty w Rzeszowie, gdzie był celowniczym 2 Kompanii ciężkich karabinów maszynowych. Walcząc podczas kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli i kolejne lata spędził w obozie jenieckim na terenie Niemiec. Po wyzwoleniu obozu, pod koniec wojny zaangażował się do 7 Dywizji Piechoty. Brał z nią udział między innymi w forsowaniu Nysy Łużyckiej. Dosłużył się stopnia plutonowego, a 40 lat temu, jako rezerwista, został awansowany do stopnia sierżanta. A D ■



Drapieżna przygoda

Na Kamczatce niedźwiedź zaatakował rosyjskiego żołnierza.

Wojskowy stojący na warcie na poligonie we wschodniej Kamczatce, niedaleko granicy z USA, przeżył groźną przygodę. Podczas służby zaatakował go głodny niedźwiedź. Jak podaje agencja Cihan, zdarzenie nagrała kamera monitoringu. Widać na nim, że po krótkim pościgu zwierzak złapał żołnierza. Na szczęście wojskowemu przyszli z pomocą koledzy, którzy zabili niedźwiedzia. Dzięki ich interwencji zaatakowanemu nic się nie stało. A D ■



Rekin na służbie

U S NAVY

Pływający dron do złudzenia przypomina dużą rybę.

Marynarka wojenna USA zakończyła testy nowego wojskowego robota podwodnego. Opracowali go specjaliści z grupy Boston Engineering, na stronie candycms.org. Robot może być sterowany przez operatora lub działać automatycznie. Maszyna będzie pomagać w misjach rozpoznawczych, służąc na przykład do inspekcji podwodnych części okrętów. Na razie nie wiadomo, kiedy rekin trafi do armii. A D ■

kin, lecz także pływa jak on, rozpędzając się za pomocą ruchów ogona”, tłumaczy Michael Rufo, dyrektor Boston Engineering, na stronie candycms.org. Robot może być sterowany przez operatora lub działać automatycznie. Maszyna będzie pomagać w misjach rozpoznawczych, służąc na przykład do inspekcji podwodnych części okrętów. Na razie nie wiadomo, kiedy rekin trafi do armii. A D ■



Atomowe zakłady Hitlera

W Austrii znaleziono tajną fabrykę, w której Niemcy pracowali nad bronią masowej zagłady.

Podziemny kompleks bunkrów odkryto w pobliżu miasteczka St. Georgen an der Gusen w Austrii. Prowadzący badania Andreas Sulzer, austriacki filmowiec, już od

dawną podejrzewał, że mogą się tutaj znajdować wielkie nazistowskie zakłady, w których pracowano między innymi nad bronią atomową. Wskazywał na to podwyższony w tej okolicy poziom radioaktywności. Podziemne bunkry zbudowali więźniowie obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen. Zaangażowanych w projekt było nawet 320 tys. osób, z których wiele zmarło w czasie pracy – czytamy na stronie warhistoryonline.com. Tajny kompleks Niemcy połączyli z pobliską podziemną fabryką B8 Bergkristall, gdzie produkowano myśliwce. Po wojnie alianci odnaleźli fabrykę, ale nie odkryli zamaskowanego wejścia do drugiego kompleksu. Sulzer natrafił na niego dzięki dokumentom amerykańskiego wywiadu i lotniczym zdjęciom RAF-u. Według wskazań georadaru, kompleks ma ponad 30 ha i mógł być największą tajną fabryką broni w III Rzeszy. A D ■



Nauka przede wszystkim

Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej ma już pięć lat.

Działalność wychowawcza, kulturalna, oświatowa i edukacyjna to główne zadania powołanego z początkiem 2010 roku Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej. Instytucja powstała z połączenia Wojskowego Biura Badań Historycznych i Wojskowego Biura Badań Społecznych z Domem Żołnierza Polskiego. Powołana pięć lat temu placówka prowadzi dziś bardzo szeroką działalność. „Jej najważniejszą formą są nasze różnorodne przedsięwzięcia edukacyjne, w tym specjalistyczne szkolenia dla wojska”, podkreśla dyrektor Centrum prof. Aleksandra Skrabacz. Jak wylicza, WCEO wspólnie z Akademią Obrony Narodowej prowadzi trzy kierunki studiów podyplomowych dla żołnierzy i pracowników cywilnych. Poświęcone są one turystyce militarnej, międzynarodowemu prawu humanitarne oraz przywództwu wojskowemu. Centrum organizuje też zawodowe kursy doskonalące dla żołnierzy oraz szkolenia dla kadry i pracowników. Tematyka tych zajęć jest bardzo szeroka – od psychoprofilaktyki i działalności wy-

chowawczej, przez dyscyplinę wojskową i ochronę dóbr kultury, po zasady organizowania działalności kulturalno-oświatowej w jednostkach.

Upowszechnianiu wiedzy o tradycjach i współczesności armii służą z kolei organizowane przez WCEO konkursy, olimpiady i zawody proobronne. Ponadto placówka przygotowuje festiwale, przeglądy i konkursy artystyczne. Istniejące w strukturach centrum WBBB zajmuje się badaniami dotyczącymi zjawisk zachodzących w siłach zbrojnych, a WBBH opracowuje materiały dotyczące historii wojskowości.

Jak zaznacza dyrektor Skrabacz, choć WCEO ma krótką historię, to kontynuuje tradycje kulturalne i oświatowe **przedwojennego warszawskiego Domu Żołnierza**. Jego działalność reaktywowano po wojnie. Do 2006 roku, kiedy przywrócono mu nazwę przedwojenną, był Domem Wojska Polskiego. Placówka zajmowała się działalnością kulturalną, edukacją obywatelską, promocją wojska i obronności, a także organizacją imprez związanych z obchodami świąt państwowych i wojskowych. A D ■

Zajrzeć w głębinę

Powstał nowatorski skafander, który pozwoli nurkom odnaleźć dotąd niedostępne wraki okrętów.

Kombinezon Exosuit waży 250 kg i wygląda jak skafander astronauty. Dzięki niemu nurkowie poszukujący wraków statków i okrętów wojennych leżących na dnie mórz będą mogli swobodnie pracować pod wodą nawet do 50 godzin. Jak podaje portal Nuytco.com, w skafandrze można zejść na głębokość około 300 m. Kombinezon jest napędzany sterującymi silnikami i – co najważniejsze – jego aparatura oczyszcza powietrze wewnątrz urządzenia. Nurek nie musi zatem korzystać ze sprężonego powietrza. Po pracy może więc od razu wrócić na powierzchnię, bez pobytu w komorze dekompresyjnej. Nowy wynalazek testowali z powodzeniem nurkowie z Instytutu Oceanografii z Massachusetts. Dzięki niemu dostali się do leżącego na głębiny i dotąd niedostępnego wraku statku, który zatonął 60 lat p.n.e. u wybrzeży Grecji. A D ■

CENTRUM SZKOLENIA OBRONY PRZED BRONIĄ MASOWEGO RAŻENIA W SIŁACH ZBROJNYCH RP

ZAPRASZA KADRĘ I PRACOWNIKÓW WOJSKA DO UDZIAŁU W KURSACH SPECJALISTYCZNYCH ORGANIZOWANYCH W RAMACH SYSTEMU DOSKONALENIA ZAWODOWEGO KADR WOJSKOWYCH W 2015 ROKU.

Oferujemy

- aktualny program szkoleń, wynikający z potrzeb Sił Zbrojnych RP oraz wniosków z ewaluacji kursów;
- kursy podwyższające kwalifikacje wymagane do obejmowania kolejnych stanowisk służbowych;
- indywidualne podejście do słuchaczy oraz konsultacje po zajęciach;
- nowoczesną bazę dydaktyczną, w tym unikalne w skali kraju laboratorium OPBMR z trenażerem systemu informatycznego Promień 3.0;
- doradztwo specjalistyczne po zakończeniu kursu;
- dostęp do zbiorów bibliotecznych oraz materiały dydaktyczne umieszczone na bieżąco w repozytorium na platformie ADL.

Harmonogram kursów i informacje o naborze:

Sekretariat CSOPBMR

tel./faks: 814-615, e-mail: csopb-mr@aon.edu.pl, www.aon.edu.pl/csopbmr



ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Druga miłość marynarzy

Góry i morze wzajemnie się dopełniają. Uczą pokory, kształtują charakter. Dzięki nim można poczuć smak życia.

To było na Matterhornie, jakieś 200 m pod szczytem. Szli gęsiego, złączeni jedną liną. Nagle puścił wbit w skałę hak. Pierwszy ze wspinaczy zachwiał się, odchylił do tyłu i na ułamek sekundy zamarł w bezruchu. Gdyby runął w przepaść, pociągnąłby za sobą pozostałych. Po długiej jak wieczność chwili zdołał jednak na powrót przylgnąć do ściany.

W takich momentach najłatwiej pojąć, jak blisko siebie leżą dwa z pozoru odmienne światy. I tam, i tu człowiek staje wobec tego, co niezmiernie. Jest zdany na siebie, czasem na stojącego obok partnera. Na własny charakter, umiejętności, bardzo często na szczęście. „Morze i góry wzajemnie się dopełniają. Dzięki nim można poczuć prawdziwy smak życia”, twierdzi kpt. mar. Michał Czerwiak.

BABIA GÓRA, INNY ŚWIAT

Jak to się zaczęło? „Najpierw była Babia Góra”, wspomina kpt. mar. Sławomir Gronowski. Jako dzieciak pojechał tam z rodzicami. Dla chłopaka z Gdańska wyprawa przez całą Polskę była niemal jak podróż na koniec świata. Wrócił zachwycony. Już wówczas wiedział, że to nie może być po prostu jednorazowa przygoda. Kpt. Czerwiak przywołuje z kolei szkolne wyprawy w Tatry. Także dla niego oznaczały one skok przez niemal cały kraj – mieszkał na Mazurach. I również w jego wypadku zostawiały niezatarte wrażenie.

Potem u obu górę wzięła inna fascynacja. Swoje losy postanowili związać z morzem. Poszli do Akademii Marynarki Wojennej. Dawne wrażenia gdzieś jednak siedziały z tyłu głowy. Wreszcie odżyły na nowo. „Studiowaliśmy na tym samym roku. Dużo rozmawialiśmy o górach, fascynacjach. Takich osób zresztą było jeszcze kilka. I tak, od słowa do słowa, doszliśmy do wniosku, że musimy tam pojechać”, opowiada kpt. Czerwiak.

Był rok 2002, a oni zaczęli planować wyprawę na najwyższy europejski szczyt, Mont Blanc. „Nie jest to góra trudna technicznie, ale żeby ją zdobyć, trzeba się dobrze przygoto-

wać. Tam liczą się przede wszystkim wytrzymałość i odpowiednia aklimatyzacja, bo to jednak blisko 5000 m”, podkreśla kpt. Gronowski. „Kiedy pojechaliśmy na miejsce, na szczyt wchodzili Słowacy. Próbowali to zrobić z marszu. Jeden odpadł, pozostali wrócili skrajnie wyczerpani”. Im się udało. A potem przysłyły kolejne wyprawy. Gerlach, Elbrus, Matterhorn, Grossglockner. Tatry, Kaukaz, przede wszystkim Alpy. Nie zawsze wyżej. Ale niemal zawsze trudniej.

ATAK NA GROSSGLOCKNER

Pierwsze wyprawy nie wymagały umiejętności alpinistycznych. Wystarczyły dobry ekwipunek, przytwardzone do butów raki, czekan. Szybko się to jednak zmieniło. „Zaczęliśmy trenować wspinaczkę. Zaliczyłem kurs skałkowy, potem taternicki”, wyjaśnia kpt. Czerwiak. Do tego doszedł trening wytrzymałościowy. Żeby utrzymać kondycję, trzeba regularnie biegać. Ważna jest też siła. Bo w górach bywa bardzo trudno.

„Zwykle to wyprawy na dwa, trzy dni. Nie licząc oczywiście aklimatyzacji”, tłumaczy kapitan. „W maju byliśmy na Grossglocknerze. Szczyt atakowaliśmy trasą z oznaczeniem D, czyli trudną. Biegła ona zalodzoną północną ścianą, która niemal cała znajdowała się w cieniu. Na głowy sypały się nam lodowe odłamki. Sama wspinaczka zajęła siedem godzin, przez sześć staliśmy na przednich zębach raków”. Prawdziwe niedogodności miały jednak dopiero się pojawić. „W trakcie zejścia załamała się pogoda, widoczność spadła do półtora metra. Poruszaliśmy się niemal po omacku. Postanowiliśmy przejść na południową stronę”, wspomina Czerwiak. Ostatecznie udało im się szczęśliwie dotrzeć do podnóża góry. „Okazało się jednak, że jesteśmy 80 km od samochodu. Sporo przeszliśmy sami, a potem łapaliśmy stopa”.

RYZIKO POD KONTROLĄ

Dziś kpt. Czerwiak dowodzi okrętem ratowniczym ORP „Zbyszko”, kpt. Gronowski jest zastępcą dowódcy okrę-

LISTA ICH „ZDOBYCZY” ROŚNIE Z ROKU NA ROK: MONT BLANC, ELBRUS, **MATTERHORN,** GROSSGLOCKNER



ARCH. MICHAŁA CZERWIAKA (2)



tu szkolnego ORP „Wodnik”. Obaj żeglują. Zgodnie przyznają też, że kiedyś poszli dobrą drogą. Wolny czas wykorzystują jednak na planowanie kolejnych górskich wypraw – w dwu-, trzy-, pięciosobowym składzie.

Michał Czerwiak przyznaje, że rodzina nie zawsze temu przyklaskiwała. Obawiała się o jego bezpieczeństwo. „Ale to kwestia odpowiedniego zarządzania ryzykiem. Przed wyprawami i w ich trakcie staramy się wyeliminować jak największą liczbę zagrożeń, na które możemy mieć wpływ, a także uświadomić sobie zagrożenia obiektywne. Gdy się ma taką wiedzę, można uniknąć połowy z nich”.

Sławomir Gronowski wspina się z żoną. „W góry zaczęliśmy jeździć jeszcze jako nastolatki. Początkowo były to na przykład Tatry, a od niedawna staram się, żebyśmy pojechali w Alpy. Na razie na trasy typowo turystyczne. Byliśmy na Piz Bernina, na Piz Palü”.

HIMALAJE? BEZ CIŚNIENIA

Tymczasem marynarze przygotowują się już do powrotu na Grossglocknera. „Chcielibyśmy podejść na szczyt tak zwaną rampą Meiera”, przyznaje Gronowski. „Fajnie byłoby też skompletować »tryptyk alpejski« [Filar Walkera na Grandess Jorasses i północne ściany Eigeru oraz Matterhornu]. A potem? Himalaje? „Na razie jakoś mnie tam nie ciągnie. Może to kwestia czasu, może kosztów? Tym bardziej że kolejne wyzwania znajdują się na wyciągnięcie ręki. Wystarczy pojechać choćby w Tatry, ale z pomysłem wykraczającym poza turystyczną rutynę. Zimą wejść na Mięgoszowieckie Szczyty, latem wspiąć się na Mnicha”, zaznacza Czerwiak. Gronowski z kolei przyznaje, że kiedyś chciałby się wybrać na „dach świata”. „Może jakiś trawers na wysokości 4000–5000 m?”, zastanawia się. „W każdym razie wielkiego ciśnienia nie czuję. Może po prostu jeszcze do tego nie dojrzałem”.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Przygoda życia

W Indochinach spotkał Polaka w mundurze armii wietnamskiej.

ARCH. F. ZWIERYŃSKIEGO

Należało do przodujących żołnierzy powołanych z poboru, aby służyć w ludowym Wojsku Polskim i strzec granic PRL-u, a „w razie potrzeby nie żałować krwi, a nawet życia w jej obronie”. Jak wspomina dziś Franciszek Zwierzyński, wyróżniał się zarówno w koszarach, jak i w polu. Może to zdecydowało, że z Jednostki Wojskowej 5972 z Zambrowa został wysłany na kurs kinooperatorów. W sierpniu 1954 roku ukończył go z wyróżnieniem, a dowódca skierował go na wyjazd do Wietnamu w polskiej ekipie Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli (MKNiK).

Gdy Franciszek Zwierzyński jako młody rekrut szkolił się na kinomechanika w Rembertowie, w Pałacu Narodów w Gene-

wie trwała konferencja, która miała doprowadzić do pokoju w Indochinach. 21 lipca 1954 roku, po 75 dniach obrad, została podpisana deklaracja kończąca wojnę w Kambodży, Laosie i Wietnamie. Polska weszła w skład Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli do spraw ustanowienia rozejmu i likwidacji skutków wojny w Indochinach, szczególnie w Wietnamie. Tak otworzyła się droga dla polskich żołnierzy do uczestnictwa w misji pokojowej w tym regionie.

DROGA DO MISJI

Zwierzyński – wówczas 21-letni żołnierz służby zasadniczej, nie wiedział, że znajdzie się wśród nich. „Jesienią 1954 roku

zostałem oddelegowany do wsparcia pierwszej tury misji rozjemczej i wyruszyłem do Wietnamu. Potraktowałem to jako wyróżnienie. Byłem jednym z najmłodszych misjonarzy”, wspomina. Podróż z Warszawy do Hanoi trwała 14 dni. Leciał trzema samolotami, jechał dwoma pociągami i dwoma samochodami. Łącznie pokonał 8 tys. km. „Pamiętam, że w czasie pierwszego rejsu samolotem Aeroflotu zarówno ja, jak i moi koledzy odmówiliśmy poczęstunku – kawy i ciastek proponowanych przez obsługujące linię stewardesy – bo nie wiedzieliśmy, czy wolno nam go przyjąć”, opowiada.

Pierwszych żołnierzy wietnamskich zobaczył na stacji kolejowej na granicy chińsko-wietnamskiej, na przełęczy Nani Quan. Byli uzbrojeni w radzieckie pm-y. Dalszą drogę – jechali do Hanoi – pokonali samochodami poruszającymi się niewiele ponad 10 km/h. Nie mogły one jechać szybciej, bo drogi zniszczone po francuskich bombardowaniach były pełne wybojów i lejów. Po armii francuskiej pozostały także umocnienia, bunkry i zasieki z drutu kolczastego. Przeprawa przez rzekę była możliwa tylko promem, który obsługiwali okoliczni mieszkańcy. Po drodze mijali wioski z domkami splecionymi z bambusa i łąści palmowych, otoczone bananowcami. „Zobaczyłem pola ryżowe, które przypominały mi łąki nad Narwią czy łąny dojrzewającego prosa. Po raz pierwszy widziałem też dzikiego słonia, który wolnym krokiem wchodził do dżungli”, mówi Zwierzyński. Polacy wreszcie dotarli do Hanoi, które nie było wówczas spokojnym miastem. Opuszczali je Francuzi. Żołnierze zostali zakwaterowani w hotelu Splendide. Jako pracownikom MKNiK przysługiwał im immunitet.

W komisjach mieszanych, składających się z przedstawicieli obu stron oraz MKNiK, pracowali tłumacze języka francuskiego i angielskiego oraz kadra oficerska Wojska Polskiego. Podoficerowie i szeregowcy pełnili służbę pomocniczą, jako pisarze, dyżurni korytarzowi, fotomechanicy, wewnętrzni kurierzy, dostawcy. W biuletynach prasowych przeznaczonych do użytku wewnętrznego, które wydawała delegacja polska, można było przeczytać o przypadkach gwałtów i okrucieństw, których – wbrew układom genewskim – dokonywali Francuzi, ale podobnie postępowała też administracja premiera Wietnamu Południowego. Prześladowania, represje i mordy dotknęły działaczy i weteranów wojny narodowyzwoleniczej. Działania Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli były tu paraliżowane, a ślady zbrodni zacierane.

Franciszek Zwierzyński został zatrudniony do służby wewnętrznej w polskiej delegacji w MKNiK jako kinomechanik. Jego głównym zajęciem było wyświetlanie żołnierzom filmów dokumentalnych i fabularnych, przeważnie produkcji polskiej i radzieckiej, oraz kronik wietnamskich, przedstawiających walki frontowe Wietnamskiej Armii Ludowej. Pokazywał między innymi „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Cichy Don”, „Przygodę na Mariensztacie”. Delegacja kanadyjska zwróciła mu uwagę, że taki repertuar oznacza, jakoby Polska uprawiała „propagandę komunistyczną”. W wolnych chwilach przeglądał prasę wietnamską i hinduską z dziedziny filmografii.

Gdy po raz pierwszy wybrał się nad Hoan Kiem, zwane Jeziorem Zwróconego Miecza, nie spodziewał się, że spotka go tam przygoda życia. Poznał żołnierza w wietnamskim mundu-

rze, który okazał się Polakiem. Nazywał się Stefan Kubiak i pochodził z Łodzi. Nazwisko Ho Chi Toan nadał mu prezydent Ho Chi Minh za zasługi w walce o niepodległość Wietnamu. Jak się okazało, podczas II wojny światowej Stefan Kubiak został zesłany na roboty do Niemiec, skąd zbiegł do Związku Radzieckiego. Po wojnie wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, trafił do Maroka i Algieru, a później do Wietnamu. Za udział w walkach pod Phu Tong dostał pierwszy wietnamski order. W czasie bitwy pod Dien Bien Phu, w przebraniu francuskiego oficera, przedostał się do jednego z fortów, otwierając żołnierzom wietnamskim drogę do ataku. Za tę akcję dostał kolejny order oraz stopień kapitana Wietnamskiej Armii Ludowej.

„Zaprzyjaźniliśmy się i często spotykaliśmy. Stefan Kubiak odwiedzał mnie w hotelu, gdzie pewnego dnia zapoznałem go z Wietnamką Nguyen Thi Phuong. Dziewczyna była katoliczką i przybrała imię Teresa. Wkrótce się pobrali. Ostatni raz widziałem Stefana na początku kwietnia 1955 roku. Prosił o przekazanie rodzicom mieszkającym w Łodzi listu z wiadomością, że żyje”, wspomina Franciszek Zwierzyński.

Pierwszy okres pracy MKNiK, poświęcony przegrupowaniu sił zgodnie z porozumieniami genewskimi, miał się zakończyć w maju 1955 roku. W tym czasie Franciszek Zwierzyński szykował się już do powrotu do kraju. Później zadaniem komisji było przygotowanie ogólnokrajowych wyborów, które miały się odbyć w połowie 1956 roku. Nie doszło do nich jednak. Znowu odezwały się armaty, spadły bomby i zginęło wielu ludzi. Dopiero w 1975 roku, po kolejnej wojnie, kraj się zjednoczył.

Podczas pożegnania oficerowie wietnamscy dziękowali polskim wojskowym za wkład w umacnianie pokoju w Indochinach. Od tamtejszego rządu otrzymali drobne souveniry oraz zdjęcie Cho Chi Minha z jego osobistym podpisem. 6 kwietnia 1955 roku Zwierzyński wyruszył w podróż powrotną do kraju, najpierw pociągami z Hanoi do Pekinu, potem Koleją Transsyberyjską do Moskwy, wreszcie do Warszawy. Podróż trwała 22 dni. W 1955 roku Franciszek Zwierzyński przeszedł do rezerwy.

MAŁY ŚWIAT

Życie dopisało ciąg dalszy historii znajomości ze Stefanem Kubiakiem. W 1975 roku Zwierzyński dowiedział się, że jego przyjaciel w 1963 roku, w wieku zaledwie 41 lat, zmarł i został pochowany na cmentarzu Van Dien w Hanoi. Wietnamska żona spełniła wolę męża: wraz z dwoma synami przyjechała w 1965 roku do Polski i zamieszkała w Łodzi, gdzie były żołnierz ją odwiedził. Dopiero na emeryturze (po 58 latach od wyjazdu do Wietnamu) Zwierzyński sięgnął do pamiętników, albumów i listów, aby opisać wspomnienia z misji. Wydrukowany egzemplarz książki „Mój Vietnam” otrzymał gen. w st. spocz. Bolesław Izodorczyk, który miał napisać przedmowę. I wtedy po raz kolejny świat okazał się bardzo mały: generał przypomniał sobie, że zna rodzinę Polaka, który w latach pięćdziesiątych znalazł się w Indochinach. Mieszkał w Łodzi przy tej samej ulicy co Stefan Kubiak. Obecnie Franciszek Zwierzyński utrzymuje kontakt z synem Stefana Kubiaka (również o imieniu Stefan), który mieszka pod Warszawą, oraz z ambasadą Socjalistycznej Republiki Wietnamu. ■

POLAK W PRZEBRANIU FRANCUSKIEGO OFICERA PRZEDOSTAŁ SIĘ DO JEDNEGO Z FORTÓW, OTWIERAJĄC ŻOŁNIERZOM WIETNAMSKIM DROGĘ DO ATAKU



ANNA DĄBROWSKA

Mauzoleum Legionów

Spoczywają tu Polacy polegli w 1914 roku w jednej z ważniejszych bitew 1 Brygady Józefa Piłsudskiego.

Wnocy z 21 na 22 października 1914 roku ruszyło natarcie wojsk niemieckich i austro-węgierskich w kierunku Warszawy i Dębłina. Celem ofensywy było zdobycie dęblińskiej twierdzy umocnionej jeszcze przed wybuchem wojny przez Rosjan. Część austriackiej 1 Armii gen. Victora Dankla von Kraśnika stanowiły bataliony 1 Pułku Piechoty I Brygady Legionów Polskich pod dowództwem bryg. Józefa Piłsudskiego.

BÓJ O TWIERDZĘ

W bitwie pod wsią Laski polskie oddziały, liczące ponad 3600 żołnierzy, działały na prawym skrzydle austriackiej 46 Dywizji Piechoty Obrony Krajowej. 22 października pułk otrzymał zadanie opanowania przeprawy na rzece Zagożdżonca i obsadzenia wzgórz na jej wschodnim brzegu. Legioniści, dowodzeni przez kpt. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza

i kpt. Kazimierza Herwina-Piątka, wykonali rozkaz i utrzymali zajęte pozycje.

Równoległe z rosyjskimi siłami 10 Pułku Strzelców w lasach w pobliżu Anielina walczył III Batalion mjr. Edwarda Rydza-Śmigłego. „Cały dzień toczy się uporczywa bitwa – przed nami i na prawo od nas, pod Płachtami. Pod wieczór, obok płonącego dworu wchodzimy do pustej, opuszczonej wsi Laski”, wspominał w „Mojej służbie w Brygadzie” podporucznik i lekarz legionów Felicjan Sławoj-Składkowski.

23 października do walki wszedł I Batalion kpt. Michała Roli-Żymierskiego. Starcia trwały cztery dni. Nawet kiedy natarcie austriackie załamało się, bataliony polskie nie opuściły zdobytych pozycji. Dopiero w nocy z 26 na 27 października siły Rosjan zmusiły wojska austro-węgierskie do odwrotu, a wraz z nimi – aby uniknąć oskrzydlenia – wycofali się legioniści.



ANNA DĄBROWSKA (2)

Bój na przedpolach twierdzy dęblińskiej polskie oddziały okupiły dużymi stratami. Poległo około 250 żołnierzy, wielu zostało rannych. „Głuchy jęk rannych płynie poprzez huki pocisków armatnich i szrapneli. Co za widok – leżą ciała świeżo poległych i ciężko rannych tuż u moich stóp. Nie rozróżniam, czy to żołnierze austriaccy, pruscy, czy nasi strzelcy”, pisała w „Pamiętniku legionistki” Ludmiła Modzelewska.

Wśród ciężko rannych był kpt. Żymierski, którego wrogie pociski przestrzeliły płuco, ramię i nogę. W czasie ostrzału niegroźne obrażenia głowy odniósł też Piłsudski, stacjonujący na kwaterze w Laskach. Poległych pogrzebano na polu bitwy, a potem przeniesiono ich na okoliczne cmentarze i do zbiorowych mogił, głównie we wsiach Januszno, Brzustów, Policzna i Laski.

KOŚCI POD PIASKIEM

Po bitwie pobojuwisko pod Laskami zostało zapomniane i dopiero w 1928 roku zauważono, że spod leśnych piasków ukazują się ludzkie szkielety. Zainteresował się nimi Oddział Związku Legionistów w Radomiu i wystąpił do miejscowego Wydziału Opieki nad Grobami Wojennymi z wnioskiem o zajęcie się zaniedbanymi mogiłami.

Zawiązał się wówczas Komitet Obywatelski, którego celem było zbudowanie cmentarza-mauzoleum. Na jego czele stanął starosta powiatu kozienickiego Czesław Kowalski i dyrektor Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach inż. Jan Prot, jeden z głównych inicjatorów budowy pomnika.

Cmentarz powstał na terenach przekazanych przez kolej, niedaleko stacji Żytkowice, leżącej na linii Radom – Dęblin. Prace budowlane i ekshumacje trwały kilka miesięcy. Przeniesiono tu między innymi z mogił w Brzustowie, Policznej i Zagożdżonym szczątki około 150 legionistów 1 Pułku Piechoty, poległych w październiku 1914 roku. Nazwiska 52 z nich są znane, pozostali to bezimienni żołnierze polscy.

Koszt budowy monumentu wyniósł ponad 15 tys. zł. 19 listopada 1933 roku, w obecności wiceministra spraw wojskowych gen. Składkowskiego, uroczystie odsłonięto Mauzoleum Legionistów Józefa Piłsudskiego, poległych w bitwie pod Laskami-Anielinem.

OBELISK Z KRYPTĄ

Centralnym punktem niewielkiego kwadratowego cmentarza, zaprojektowanego przez inż. Stanisława Klonowskiego, architekta z Kielc, jest kamienny obelisk z granitu w kształcie ściętego ostrosłupa, zawierający kryptę z prochami żołnierzy. Na jego szczycie góruje ponadpięciometrowy krzyż, u którego podstawy umieszczono siedzącego na kuli legionowego orła. Autorem rzeźby jest kielecki artysta Leon Migalski.

We wnękach, po czterech stronach cokołu, wmurowano tablice z piaskowca. Napis na głównej

z nich głosi: „Tu śpią snem wiecznym żołnierze I-szej Brygady Legionów polegli w walce o niepodległość Polski pod Anielinem i Laskami. 22 X – 26 X 1914 roku”. Pozostałe tablice mają wykute nazwiska i pseudonimy poległych legionistów, podzielone według batalionów, w których służyli.

Po prawej stronie od wejścia umieszczono dane żołnierzy z I i V Batalionu. Tablicę opatrzone inskrypcją: „Śpij kolego w ciemnym grobie niech się Polska przyśni tobie”. Na pozostałych dwóch płytach wyryto nazwiska legionistów III Batalionu i słowa „Bóg i Ojczyzna” oraz „Z trudu waszego i znoju Polska powstała by żyć”.

GWIZD POCIĄGU

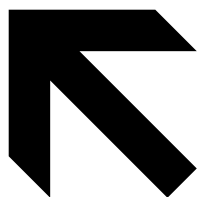
Przed wojną panował zwyczaj, że pociągi, zbliżając się do stacji w Żytkowicach, włączały syreny, aby oddać cześć poległym legionistom. W latach osiemdziesiątych XX wieku pod pomnikiem odbywały się nieoficjalne obchody świąt 3 Maja i 11 Listopada, organizowane przez żołnierzy Armii Krajowej, Solidarność i harcerzy.

Mauzoleum na szczęście oparło się zmianom w kraju i zachowało swoją pierwotną formę. Cmentarz, ogrodzony kamiennym murem, jest dziś uprzątnięty i zadbany. Opiekują się nim członkowie oddziału PTTK w Pionkach i uczniowie z Bogucina, a na co dzień o czystość i porządek dbają więźniowie pobliskiego zakładu karnego w Żytkowicach. To oni też wykonują tu niezbędne prace renowacyjne i konserwacyjne.

W rocznicę bitwy z 1914 roku już od 24 lat oddział Związku Strzeleckiego „Beliniak” organizuje rajd pieszy Marsz Szlakiem Walk Legionów Polskich na trasie z Radomia do Lasek. Celem strzelców jest oddanie hołdu wszystkim, którzy walczyli o niepodległość Polski w czasie I wojny. Pod koniec rajdu pod mauzoleum jest odprawiana połowa msza święta i odbywa się apel pamięci.

Od 2011 roku dodatkową atrakcją rocznicowych obchodów jest rekonstrukcja bitwy na polach pod wsią Brzustów. Wielkie widowisko historyczne gromadzi dziesiątki rekonstruktorów. Przebieg walk I Brygady Legionów Polskich sprzed ponad 100 lat odtwarzają grupy z regionu radomskiego, między innymi 22 Pułk Ułanów Podkarpackich z Garbatki-Letnisko, Strzelecki Oddział Kawaleryjski „Beliniak” w barwach 27 Pułku Ułanów imienia Stefana Batorego, Kozienickie Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych, 14 Pułk Strzelców Syberyjskich z Przasnysza czy 51 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych z Ilży.

Walki pod Laskami, nazywane czasem bitwą trzech marszałków, bo brali w niej udział trzej przyszli marszałkowie Polski: Józef Piłsudski, Edward Rydz-Śmigły i Michał Rola-Żymierski, upamiętnia też pomnik przed budynkiem szkoły podstawowej w Laskach. W tym miejscu mieściły się kwatera i sztab dowództwa I Brygady, skąd legionistami dowodził bryg. Piłsudski. ■



Centralnym punktem cmentarza jest kamienny obelisk, zawierający kryptę z prochami żołnierzy.

POŻEGNANIA

Dzieszanowi Marynarki Wojennej
księdzu prałatowi komandorowi
Bogusławowi Wronie
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej.

Panu ppłk. Jerzemu Zaczyńskiemu
oraz Jego Rodzinie

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy Oddziału Personalnego
Zarządu Organizacji i Uzupelnień – P1 Sztabu
Generalnego WP.

Panu ppłk. Andrzejowi Gizie,
drogiemu Koledze,
wyrazy najgłębszego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Żony Krystyny

składa kolega, dyrektor biura – przewodniczący
Konwentu Dziekanów wraz z rodziną.

Panu ppłk. Mariuszowi Łosikowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy Zarządu Planowania
Operacyjnego – P3
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Panu kmdr. Piotrowi Bielakowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Panu st. chor. Dariuszowi Krakowiakowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie.

Rodzinie
śp. płk. w st. sp. dr. n. med.
Emila Pietruchy,

długoletniego ordynatora klinicznego
oddziału otolaryngologicznego,
szczerę wyrazy żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Panu ppłk. rez.
Krzysztofowi Wierzbickiemu
wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają pracownicy
Departamentu Zarządzania Kryzysowego,
Spraw Obronnych i Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Panu płk. rez. Andrzejowi Wyszyńskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają pracownicy
Departamentu Zarządzania Kryzysowego,
Spraw Obronnych i Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 22 684 52 13,
22 684 52 30, 22 684 02 27; CA MON 845 213, 845 230, 840 227

POŻEGNANIA

Panu majorowi rezerwy Jerzemu Całce

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy wojska
Wojskowej Komendy Uzuppełnień w Łodzi.

St. chor. Pawłowi Pszczółce

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Brata

składają żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Z ogromnym smutkiem i głębokim żalem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci naszej koleżanki

Marianny Skwiot.

Jej Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
składają żołnierze i pracownicy wojska
Jednostki Wojskowej 2031 Lipowiec.

Panu mjr. Jakubowi Gardeła

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie.

Panu płk. Bogdanowi Zarębińskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

„W momencie śmierci bliskiego uderza człowieka
świadomość niczym nie dającej się wypełnić pustki”.

J.S. Tischner

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o przedwczesnej śmierci naszej koleżanki i przyjaciółki

Hanny Wąsowicz.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu ppłk. rez.

Romualdowi Wąsowiczowi

po śmierci żony składają koleżanki i koledzy z byłego
Oddziału Finansów Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Panu Ireneuszowi Niemirce

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają pracownicy Departamentu Zarządzania
Kryzysowego, Spraw Obronnych i Ochrony Informacji
Niejawnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Z wielkim żalem żegnamy

płk. prof. dr. hab. inż.

Wiesława Sobieraja,

komendanta Wydziału Uzbrojenia i Lotnictwa
Wojskowej Akademii Technicznej
w latach 1992–2002, wybitnego
naukowca i nauczyciela akademickiego,
wychowawcę wielu pokoleń absolwentów.

St. chor. Pawłowi Pszczółce

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Brata

składają szef, zastępca szefa, szef logistyki,
główny księgowy – szef finansów
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Dziekan, Rada, pracownicy i studenci
Wydziału Mechatroniki i Lotnictwa
Wojskowej Akademii Technicznej

POŻEGNANIA

Panu podpułkownikowi
Tomaszowi Zawadzkiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy Biura Koordynacyjnego
Sztabu Generalnego WP.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ppłk. rez. Andrzeja Szlejzera,
byłego żołnierza 1 WDZ i 1 WBPanc.

Rodzinie oraz Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia
składają żołnierze i pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu kmdr. por. Andrzejowi Kłysiakowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składa szef Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej
wraz z kadram i pracownikami wojska.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje

Panu mjr. Jarosławowi Pączkowskiemu

oraz Jego Rodzinie

z powodu śmierci

Teściowej

składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa
Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Annie Wiśniewskiej

oraz Jej Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

ppłk. rez. Andrzeja Szlejzera

– wspaniałego człowieka, przyjaciela, wzorowego
żołnierza i wychowawcy.

Wyrazy szczerzego współczucia i żalu
w trudnych chwilach
po śmierci

śp. płk. dr. inż. Karola Ochwata

Rodzinie i Najbliższym

składają wychowankowie z promocji 1983 r.
Wyższej Oficerskiej Szkoły Samochodowej w Pile.

Każdy dzień Jego żołnierskiej służby, pełnionej w kraju
i poza granicami, dowodził, jak bardzo był On oddany
zawołaniu patrona Kościuszkowskiej Dywizji
– „Nic bardziej od Ojczyzny drogiego mieć nie można”.

W tej smutnej chwili składamy

całej Rodzinie

wyrazy najszczerzego żalu i współczucia.

Koleżanki i koledzy

z 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej

Panu st. chor. sztab.
Benedyktowi Komarzewskiemu,

pomocnikowi dowódcy 15 Brygady Zmechanizowanej
ds. podoficerów,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają pomocnicy dowódców ds. podoficerów
16 Dywizji Zmechanizowanej.

Wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

ppłk. rez. Andrzeja Szlejzera,

ze słowami otuchy dla

całej Rodziny

w obliczu tej bolesnej straty,
składają dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Wychowania
i Promocji Obronności MON.

POŻEGNANIA

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Panu mjr. Włodzimierzowi Erdmanowi
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku.

Panu mjr. Sławomirowi Bukowskiemu
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki,

składają dowódca, kadra dowódcza, żołnierze
i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
zastępcy dowódcy 7 Brygady Obrony Wybrzeża

Panu płk. Andrzejowi Usikowi

oraz Małżonce i Rodzinie

z powodu śmierci

Teściowej

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o przedwczesnej śmierci
byłego żołnierza jednostki

mjr. rez. Jerzego Przekopowicza.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje

Rodzinie i Bliskim

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
12 Brygady Zmechanizowanej w Szczecinie.

Naszemu koledze

sierż. Sebastianowi Retajczykowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

słowa wsparcia oraz wyrazy współczucia
i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Łęborskiego Batalionu Zmechanizowanego
im. gen. Jerzego Jastrzębskiego.

Panu płk. Jackowi Baranowskiemu
oraz Jego Najbliższym
wyrazy szczerego współczucia oraz głębokiego żalu
z powodu śmierci

Córki

składają komendant oraz żołnierze i pracownicy
Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego
Sił Zbrojnych.

Panu ppłk.
Dariuszowi Czachorowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
Sztabu Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. pil.
Mirosławowi Grochowskiemu
wyrazy głębokiego żalu oraz szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają kadra i pracownicy Inspektoratu MON
ds. Bezpieczeństwa Lotów.

Panu ppłk. Jerzemu Mucha

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Regionu Wsparcia Teleinformatycznego we Wrocławiu.

Panu Wojciechowi Kosmatce
oraz Jego Rodzinie i Bliskim

najszczerze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teścia

składają dyrektor, oficerowie oraz pracownicy wojska
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych.

ZAMKI

Powrót do przeszłości

Zamek Kazimierza Wielkiego po 350 latach znów tętni życiem.

Walki na miecze, pokazy łuczników i konnicy w wykonaniu Inowłodzkiego Bractwa Rycerskiego, przedstawienia średniowiecznego teatru, jarmark, a nawet duch króla Kazimierza Wielkiego – takie atrakcje uświetniły otwarcie odnowionego zamku w Inowłodzu latem 2013 roku, przeszło 350 lat po zburzeniu warowni.

Prace trwały pięć lat. W Inowłodzu z gotyckiego założenia zachowały się fundamenty murów, pozostałości piwnic oraz ślady fosy. W 2008 roku, z odzyskiwanych zamkowych kamieni, które znajdowano w murach okolicznych, opuszczonych zabudowań, odbudowano ośmioboczną wieżę. Potem, dzięki dotacjom z Unii Europejskiej, odgruzowano pozostałą część budowli, zrekonstruowano piwnice oraz mury parteru.

Całość zabiegów utrwalania i konserwacji zabytku kosztowała 7,5 mln zł, z czego 5,6 mln gmina pozyskała z funduszy unijnych. W zamku ulokowano gminne centrum kultury, bibliotekę i punkt informacji turystycznej oraz muzeum. Jesienią zeszłego roku zakończono urządzenie tam sali z ekspozycją uzbrojenia, strojów i sztandarów świadczących o historii zamku.

Gotycką warownię ufundował w dolinie Pilicy Kazimierz Wielki, aby strzegła brodu na rzece i komory celnej leżącej na szlaku handlowym ze Lwowa do Torunia. Zamek, wmurowany w latach 1356–1366, od XV wieku stał się rezydencją starostów inowłodzkich. Rządzili nim między innymi przedstawiciele rodu Drzewickich, a od 1648 roku tutejszym starostą był Jan Olbracht Lipski.

Budowlę wzniesioną z miejscowego piaskowca z jednej strony otaczały wody Pilicy, z drugiej bagna. Strzegły jej też dwie wieże. Jedna, ośmioboczna, była punktem oporu, więzieniem i pełniła funkcję obserwacyjną. Drugą, prostokątną, ulokowano w murze południowym. Zamek otaczały grube na ponad 2 m mury i szeroka fosa.

Warownia była kilkakrotnie przebudowywana. Po raz pierwszy – na przełomie XIV i XV wieku, wtedy dobudowano skrzydło mieszkalne. Po wielkim pożarze w 1518 roku przekształcono zamek w renesansową rezydencję. W XVI i XVII wieku skupiono się na przekształcaniach wnętrza i nadaniu im charakteru wczesnobarokowego.

Podczas potopu szwedzkiego pod murami dochodziło do starć ze Szwedami.

WYSTAWA

Okopy od kuchni

Jak wypoczywali, dbali o zdrowie i wygląd żołnierze różnych armii walczących w największym konflikcie zbrojnym XX wieku, dowiemy się,

związując wystawę „Żołnierska dola. Życie codzienne żołnierzy w czasie II wojny światowej”. Ekspozycję, dostępną także w języku angielskim,

przygotowało gdańskie Muzeum II Wojny Światowej. Oglądać ją można w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Jak informuje gdańskie muzeum, dzięki eksponatom – mundurom, wyposażeniu i uzbrojeniu, a także dokumentom i fotografiom, zwiedzający poznają mniej znane



→ Vademecum

Nowotwór położony jest w połowie drogi między Tomaszowem Mazowieckim a Opoczmem i z tych miast dojedziemy tutaj autobusem. Zamek można zwiedzać od maja do września, w tygodniu od 9.00 do 17.00, w soboty od 10.00 do 18.00, a w niedziele od 11.00 do 19.00. W pozostałym okresie warownia w niedziele jest zamknięta. Wstęp na zamek jest bezpłatny. Można wejść na taras widokowy na wieżę, a także obejrzeć wystawę dawnego uzbrojenia. Latem są tam organizowane pokazy walk rycerskich. Warto też odwiedzić leżący nieopodal zamku romański obronny kościół Świętego Idziego. Wzniesiony został w końcu XI wieku przez Władysława Hermana i, jak mówi legenda, prowadziło do niego tajne podziemne przejście z zamku. Zanocować można w oddalonej o 6 km Spale, gdzie jest kilka hoteli, domy wczasowe i schronisko młodzieżowe.

Wrocie wojska zdobyły zamek i, wycofując się z niego w 1657 roku, częściowo wysadziły go powietrze. Ruiny popadły w zapomnienie i stały się w XIX wieku źródłem kamiennego budulca.

Pierwsze prace archeologiczne na terenie twierdzy zaczęto prowadzić przed wybuchem II wojny i kontynuowano w czasach PRL-u. Znalaziono wówczas blisko 40 tys. zabytków – ceramikę, szkło, naczynia, przedmioty metalowe, kafle. Powstały też pierwsze plany odbudowy zamku, ale brak funduszy nie pozwolił na ich realizację. W latach osiemdziesiątych zabezpieczono tylko budowlę jako trwałą ruinę, która niestety szybko zarosła i przestała być atrakcją turystyczną. ■

ANNA DĄBROWSKA

aspekty żołnierskiej służby, widzianej nie tylko z perspektywy pola walki. Wystawa będzie czynna do połowy czerwca. A D ■

„Żołnierska dola. Życie codzienne żołnierzy w czasie II wojny światowej”. Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni

K S I A Ź K A

Sportowcy z karabinem

W książce Zbigniewa Chmielewskiego jest mnóstwo przykładów męstwa sportowców podczas wojny.

Całkiem niedawno pisałem w „Polsce Zbrojnej” o zdobyciu przez niewielki oddział złożony ze sportowców koszar SA (Die Sturmabteilungen – oddziały szturmowe) podczas powstania warszawskiego. Trochę bezkrytycznie, bo – na zdrowy rozum – czy było możliwe opanowanie silnie uzbrojonej placówki przez kilku ludzi, wyposażonych w granaty i butelki z benzyną? Oczywiście, nie.

Jak było naprawdę z tym atakiem, pisze Zbigniew Chmielewski w książce „Sportowcy w powstaniu warszawskim”. Czterech powstańców (tenisiści Ksawery Tłoczyński i Antoni Smordowski, lekkoatleta Tadeusz Hanke i niezwiązany ze sportem Feliks Radziejowski) miało wykonać wstępny szturm na budynek przy ulicy Koszykowej 18, gdzie kwaterowała jednostka SA. Śmiałowiec znakomicie wywiązał się ze swojego zadania, wzniecając pożar w kilku niewralgicznych punktach, ale do zdobycia koszar było w tym momencie jeszcze daleko. Dokonali tego żołnierze trzech plutonów zgrupowania Ruczaj po trwającej 89 min. walce.

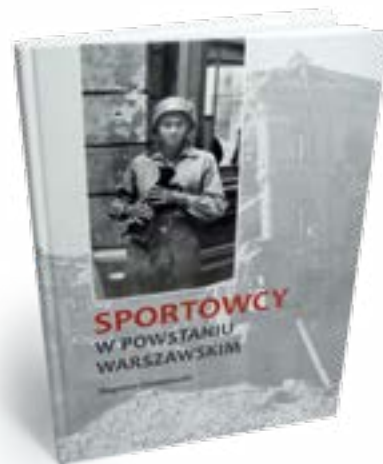
Przykładów męstwa ludzi sportu jest w książce Chmielewskiego mnóstwo. I to nie tylko w powstaniu warszawskim, lecz także podczas całej okupacji. Sportowcy działali we wszystkich organizacjach podziemnych, głównie jednak w Armii Krajowej. Wszak jednym z komendantów AK był gen. Tadeusz Komorowski (pseudonim „Bór”), który startował w igrzyskach olimpijskich w Paryżu (1924) we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego. Jak podaje Chmielewski, w powstaniu uczestniczyło 26 olimpijczyków. Część z nich zginęła, tak jak oszczepnik Eugeniusz Lokajski (pseudonim „Brok”), który pozostawił po sobie wspaniałe zdjęcia obrazujące walkę w sierpniu 1944 roku.

Chmielewski sporo miejsca w swojej książce poświęca sportowemu życiu w okupowanej Warszawie. Trzeba wiedzieć, że Polska była jedynym krajem

w Europie, gdzie Niemcy zakazali uprawiania sportu. Kluby zostały rozwiązane, a ich obiekty zarekwirowane. Zakaz był przez sportowców permanentnie łamany, a najsprytniej robili to tenisiści w Warszawie. Ulokowali się w Instytucie Głuchoniemych przy placu Trzech Krzyży. Zajęcia rekreacyjne osób niepełnosprawnych były bowiem dozwolone. Najlepsi polscy tenisiści toczyli więc zacięte boje, udając wychowanków instytutu. Grali tam między innymi bracia Ignacy i Ksawery Tłoczyński, Czesław Spychała, Jerzy Gottschalk oraz Bohdan Tomaszewski – znany później dziennikarz sportowy, a wówczas dobrze się zapowiadający tenisista. Widzowie mieli zakaz klaskania, by nie spowodować interwencji niemieckiego patrolu. Zdarzało się, że uczestnicy zaciętego pojedynku w spornych sytuacjach kłócili się ze sobą na migi, bo nie mieli pewności, czy w pobliżu nie kręci się jakiś szpicel.

Mocną stroną solidnie wydanej (twarda okładka, dobry papier) książki Chmielewskiego są nie tylko rzetelne opisy wydarzeń, lecz także i fotografie. Słabą – brak alfabetycznego indeksu nazwisk. ■

ANDRZEJ FĄFARA



Zbigniew Chmielewski, „Sportowcy w powstaniu warszawskim”, Estrella, 2014

KSIĄŻKA

Za mundurem czytelnicy sznurem

Kontynuacja dzieła płk. Bronisława Gembarzewskiego, pierwszego dyrektora Muzeum Wojska Polskiego, który opracował historię naszego umundurowania do 1831 roku.

Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej wydało długo oczekiwaną przez miłośników historii umundurowania wojskowego książkę rotmistrza Stanisława Gepnera „**Żołnierz Polski. Ubiór, uzbrojenie i oporządzenie. Okres 1832–1939**”. Publikacja jest kontynuacją dzieła płk. Bronisława Gembarzewskiego, pierwszego dyrektora Muzeum Wojska Polskiego, który opracował historię naszego umundurowania do 1831 roku. Jego pracy nie udało się jednak wydać przed wybuchem II wojny światowej. Aresztowany przez gestapo i uwięziony na Pawiaku płk Gembarzewski zmarł w 1941 roku, a jego grafiki i rysunki spłonęły podczas powstania warszawskiego. Na szczęście współpracowniczka pułkownika, Zofia Stefańska, wcześniej je sfotografowała. Dzięki temu książkę udało się wydać na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku.

Z okazji obchodów 1000-lecia państwa polskiego postanowiono rozszerzyć cykl do czasów współczesnych.

Pierwszy, a zarazem piąty tom, obejmujący lata 1832–1914, przygotował Stanisław Gepner we współpracy z artystą plastykiem Antonim Trzeszczkowskim. Z przyczyn politycznych książka nie została jednak skierowana do druku w czasach PRL-u. Problemem dla ówczesnej władzy okazały się I wojna światowa i wydarzenia z 1920 roku. Musiało minąć ponad pół wieku, zanim publikacja trafiła do rąk czytelników.

Wraz z upadkiem w 1831 roku powstania listopadowego na ponad 80 lat przestało istnieć Wojsko Królestwa Polskiego. Niemniej jednak mundury polskiego kroju utrzymały się jeszcze do 1836 roku w Gwardii Narodowej Krakowskiej, oficjalnie nazywanej Milicją Wolnego Miasta Krakowa. Później polskie formacje wojskowe kilkakrotnie pojawiały się przed 1914 rokiem podczas powstań w zaborach. Tworzono je też za granicą, między innymi na Węgrzech i w Turcji. Ciekawostką w książce Stanisława Gepnera są mundury polskiej szkoły wojskowej we włoskim Cu-



Stanisław Gepner, „Żołnierz Polski. Ubiór, uzbrojenie i oporządzenie. Okres 1832–1939”, Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, 2014

neo, która istniała na przełomie lat 1861–1862. Oczywiście ogromnym walorem publikacji jest szerokie potraktowanie wielkiej wojny. Polskie formacje wojskowe były wówczas tworzone przy różnych armiach. Ostatnia, trzecia część pracy jest poświęcona siłom zbrojnym II Rzeczypospolitej.

Oprócz rysunków i akwareli w publikacji znajdują się bardzo szczegółowe opisy ubiorów, oporządzenia i uzbrojenia. Można też dowiedzieć się, jak ewoluowały oznaczenia polskich stopni wojskowych, a także oznaki broni i służb. Stąd też książka „Żołnierz Polski. Ubiór, uzbrojenie i oporządzenie. Okres 1832–1939” jest dziełem unikatowym na polskim rynku. ■

TADEUSZ WRÓBEL

KSIĄŻKA

Pięć minut dla zdrowia

175 smakowitych przepisów dla dbających o zdrowie.

Cytrynowo-romarynowy kurczak z burakiem liściowym i pieczoną dynią. Pieczona sola w chrupkach pomidorach z dzikim ryżem. Smażona cytrynowa ciecierzka. Czy takie rzeczy może jeść ktoś na diecie? Jedzenie przyjazne dla naszego serca czy wątro-

by kojarzymy najczęściej z kawałkiem gotowanego mięsa, warzywami na parze lub porcją sałaty. Specjaliści zajmujący się zdrowym żywieniem coraz częściej udowadniają jednak, że zdrowo to nie znaczy bez smaku. Wręcz przeciwnie. Musi być smacznie, by dieta nam się nie znudziła, tylko pozwoliła zmienić styl życia na zawsze. I tak **dr Mark Hyman opracował pewnego rodzaju program powrotu do zdrowia**. Jako lekarz zajmujący się między innymi leczeniem cukrzycy, obserwuje, jakie spustoszenia w organizmie wywołuje złe odżywianie (szczególnie istotne w wypadku społeczeństwa amerykańskiego). Zachęca zatem do samodziel-

nego przygotowywania posiłków. Gotowanie nie polega bowiem na wrzuceniu gotowych dań do kuchenki mikrofalowej. Mark Hyman pokazuje, jak jedzenie w czasie przemysłowej obróbki traci na wartości. Udowadnia zarazem, że samodzielne przygotowywanie posiłków nie musi być ani czasochłonne, ani nudne. Przy każdym ze 175 smakowitych przepisów na zupy, dania główne czy przekąski podaje czas ich przygotowania – w niektórych wypadkach to tylko pięć minut! ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Mark Hyman, „Koniec z cukrzycą i otyłością”, Nowa Proza, 2014

K S I A Ż K A

Bohater czy tyran?

Gdzie Stalin nie dał rady,
tam posyłał Żukowa.

Architekt zwycięstwa”, „Obrońca Moskwy i Leningradu”, „Zdobywca Berlina”. Z takimi pompatycznymi określeniami do tej pory kojarzy się ten człowiek. Czy faktycznie Geоргий **Żukow** był wielkim strategiem, bohaterem wojennym? A może zarozumiałym wulgarnym szaleńcem? Geoffrey Roberts stara się przybliżyć życie jednej z najbardziej rozpoznawalnych postaci ostatniego światowego konfliktu. Autor próbuje być obiektywny, ale nie zawsze mu to wychodzi. Broni na przykład marszałka przed atakami w ten sposób, że negatywne opinie o nim tłumaczy jako stalinowską nagonkę. Nie należy jednak zapominać, że krytycznie na temat Żukowa wypowiadali się nie tylko jego frontowi rywale, lecz także najbliżsi współpracownicy. Podważdani zapamiętali go jako pełnego pychy i narcyzmu dowódcę, który wyrobił sobie autorytet groźbami rozstrzelań. Roberts stara się też pokazać Żukowa jako czulego i kochającego męża, a jednocześnie opisuje jego liczne romanse i wymienia niesłubne dzieci. Niemniej jednak mimo takich niekonsekwencji jest to fascynująca lektura, pokazująca nie tylko słynnego marszałka, lecz także obraz tamtych czasów. ■

JAKUB NAWROCKI

Geoffrey Roberts, „General Stalina. Życie Geоргия Żukowa”, Znak, 2014



WALDEMAR MŁYŃCZYK

W Y S T A W A

Kadry z Afganistanu

Multimedialna wystawa podsumowująca
13 lat misji afgańskiej.

Na wystawie prezentującej działania polskich żołnierzy w czasie blisko 13-letniej obecności w Afganistanie można obejrzeć prace wojskowych fotoreporterów i filmowców oraz uczestników misji afgańskiej. 16 fotogramów pokazuje codzienność operacji z perspektywy polskich żołnierzy uczestniczących w stabilizacji i odbudowie Afganistanu. Zwiedzający mają okazję przyrzeć się tamtejszej rzeczywistości, „współuczestniczyć” w patrolu, zobaczyć, jak wyglądały szkolenie armii i policji afgańskiej oraz współpraca z lokalną administracją. W ramach eks-

pozycji po raz pierwszy jest pokazywany szerokiej publiczności film „Złoty patrol”, który zdobył Grand Prix XXVI Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów Amatorskich Wojska Polskiego „OPFA 2013”, można też obejrzeć prezentację multimedialną, podsumowującą doświadczenia afgańskie. ■

„Afganistan: stabilizacja i bezpieczeństwo”. Najpierw ekspozycja była dostępna w budynku Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, od 30 stycznia 2015 roku można ją oglądać w gmachu Politechniki Krakowskiej, a od 14 lutego 2015 roku znajdzie się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

K S I A Ż K A

Przed próbą generalną

Obraz armii brytyjskiej na początku XX wieku.

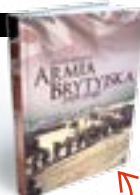
W sposób szczególny w świadomości wyspiarzy wryła się I wojna światowa. Z jednej strony, Brytyjczycy ujrzeli kataklizm wojny totalnej, a z drugiej, dzięki zwycięstwu państw ententy nad Niemcami, poczuli potęgę i siłę własnej armii. Nie wiedzieli jednak, że wkrótce zostaną poddani kolejnej próbie. Najnowsza książka Davida Frencha to wspaniale napisana i do-

głębnie przeprowadzona analiza brytyjskiej armii od końca I do zakończenia II wojny światowej. Autor uwzględnił najróżniejsze aspekty zmian, jakie w tych latach zachodziły. Nie brakuje więc dokładnego przeglądu sprzętu wojskowego i opisów jego modernizacji zgodnie z potrzebami pola walki, analizy systemu szkolenia i badań świadomości ludzi, którzy byli powoływani do

armii tuż przed kolejnym światowym konfliktem. Co ciekawe, autor opisuje te same aspekty z punktu widzenia przeciwnika – żołnierzy III Rzeszy. Książka została wzbogacona ciekawymi, mapami, zdjęciami oraz rysunkami sprzętu i umundurowania wykorzystywanego przez żołnierzy imperialnych. Na pewno jest to godna polecenia pozycja dla każdego, kto interesuje się wieloaspektowo siłami zbrojnymi biorącymi udział w II wojnie światowej. ■

JAKUB NAWROCKI

David French „Armia Brytyjska 1919-1945”, Wydawnictwo Poznańskie, 2014

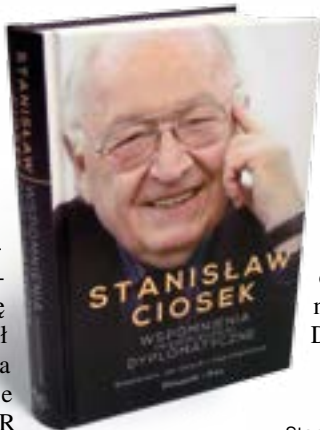


KSIĄŻKA

Z notatnika dyplomaty

I śmieszno, i straszno, no i intieriesno,
czyli kulisy wielkiej polityki.

Dlaczego na Kreml ściągnięto sztab krawców, którzy dla rosyjskich polityków i dyplomatów na gwałt szli smokingi z najlepszego sukna przeznaczonego na sutanny dla prawosławnych patriarchów? Jak polski ambasador w Moskwie wywiązał się z niezwykle delikatnej misji zleconej przez Watykan? Kto posadził prezydenta Kwaśniewskiego na jednej szali ogromnej wagi, aby na drugiej kłaść odważniki w postaci butelek araratu, znakomitego armeńskiego koniaku? Odpowiedzi na te pytania oraz wiele innych ciekawych anegdot na temat polskich i rosyjskich polityków można znaleźć w książce „Wspomnienia (niekoniecznie) dyplomatyczne”. Jej autor, Stanisław Ciosek, karierę polityczną zaczynał w PZPR, był posłem na Sejm PRL, a następnie ambasadorem w ZSRR i Rosji, by po powrocie do kraju zostać doradcą prezydenta



Stanisław Ciosek, „Wspomnienia (niekoniecznie) dyplomatyczne”, Prószyński i S-ka, 2014

Aleksandra Kwaśniewskiego. Jak wiadać, żył i w ciekawych czasach, i w interesujących miejscach. Nic zatem dziwnego, że dzieli się z czytelnikami nie tylko anegdotami z kręgów polityczno-dyplomatycznych, lecz także przybliża kulisy wielkiej polityki. Odnosi się do rozmów w Magdalence czy obrad Okrągłego Stołu. Opisuje przebieg negocjacji dotyczących wycofania wojsk radzieckich z Polski i sprawy katyńskiej. Miał okazję z bliska obserwować, jak powoli rozsypuje się sowieckie imperium. Pokazuje, jak zmieniali się tamtejsi politycy, ale też zwykli Rosjanie. Przedstawia początki naszej demokracji oraz niezwykle barwne, lecz trudne lata na Dzikim Wschodzie. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

WYSTAWA



KRZYSZTOF MILLER

Niedecydujący moment

Wystawę prac Krzysztofa Millera, znanego fotoreportera, można było oglądać do końca stycznia w siedzibie Związku Artystów Fotografików w Warszawie. Ci, którzy jeszcze nie zobaczyli fantastycznych zdjęć, będą mieli okazję to zrobić w Krakowie, Białymstoku, Lublinie, Rzeszowie, Opolu, Łodzi lub Zielonej Górze. Krzysztof Miller już od 25 lat pracuje dla „Gazety Wyborczej” i ta wystawa jest niejako podsumowaniem jego dorobku. Tyle że znalazły się na niej nie tylko zdjęcia publikowane w prasie, lecz także całe fotograficzne opowieści o życiu w kraju i o wojnie. Miller bowiem towarzyszył żołnierzom i cywilom w czasie niejednego konfliktu zbrojnego. O swoich doświadczeniach opowiedział nawet w książce „13 wojen i jedna. Prawdziwa historia reportera wojennego”. Ta 14. wojna to leczenie w Klinice Psychiatrii i Stresu Bojowego. AW ■

KSIĄŻKA

Cena zwycięstwa

Wyobraźnia nastolatka rysowała piękny obraz pola bitwy, który rzeczywistość dramatycznie zrewidowała.

Pasjonaci okresu II wojny światowej z pewnością nie będą zawiedzeni propozycją wydawnictwa Vesper. Wprawdzie wspomnień z tamtych lat ukazało się bardzo dużo, tym razem jednak snuje je oficer wojsk pancernych armii radzieckiej, uczestnik walk na Froncie Wschod-

nim. **Wasilij Briuchow** (rocznik 1926) rozpoczyna swoją opowieść od przywołania domu rodzinnego, dzieciństwa na wsi, lat szkolnych, kiedy zaczęła się jego wojskowa pasja. Był bardzo młody, gdy zaciągnął się do armii. Wyobraźnia nastolatka rysowała wówczas piękny obraz pola bitwy, który rzeczywistość dramatycznie zrewidowała. To wspomnienia człowieka, którego dzieciństwo przypadło na okres tworzenia się Związku Radzieckiego; żołnierza, który szkolenie odbywał w przyspieszonym tempie, by dokończyć je w prawdziwej walce. Szlak bojowy przeszedł od Ukrainy, przez Rumunię, Jugosławię, Węgry, aż po Austrię.

Nie ma jednak w tej książce taniej propagandy, jak można by się spodzie-

wać. Oprócz realistycznego opisu piekła wojny, „dni, w których wszystko się mieszało, dzień i noc, ofensywa i defensywa”, krwawych walk, wszechobecnej śmierci, Briuchow szczerze opowiada o nieudolności dowódców, niepiśmiennych kolegach marzących o lepszej przyszłości, pijaństwie w armii, awanturach i kradzieżach, których Rosjanie dopuszczali się wobec pokonanego przeciwnika i ludności cywilnej. Przyznaje też, jak wielką różnicę w poziomie życia za granicą i w ojczyźnie dostrzegł zarówno on, jaki i jego towarzysze broni. Niektórzy zaczęli nawet wątpić w sprawiedliwość radzieckiego systemu społecznego.

W 1970 roku Wasilij Briuchow został wysłany do Jemenu jako doradca woj-

KSIĄŻKA

Od taktyki po strategię



Czym się różni przemieszczenie od przegrupowania? Czego dotyczą zasady Gracjana? Jak wygląda targeting w wojsku? Na te i znacznie więcej pytań odpowiedź znajdziemy w „Leksykonie obronności”. Pod przewodnictwem prof. Jarosława Wołęszy zespół pracowników z Akademii Obrony Narodowej i Akademii Marynarki Wojennej opracował definicje terminów związanych z wojskiem, wojną i szeroko pojętą obronnością. Hasła zostały pogrupowane w 11 działach: obronność – teoria, sztuka wojenna, zarządzanie i dowodzenie, wojska lądowe i specjalne, wsparcie działań, lotnictwo i obrona powietrzna, marynarka wojenna, polemologia, dydaktyka wojskowa, działania na rzecz pokoju, logistyka. Żeby ułatwić czytelnikom korzystanie ze leksykonu, umieszczono indeks rzeczowy. Do tej pory nie było tego typu wydawnictwa, które mogłoby służyć jako narzędzie dla osób zajmujących się naukami o obronności. Leksykon, który jest częścią projektu nowej edycji Biblioteki Wiedzy Wojskowej, wypełnił tę lukę. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

„Leksykon obronności. Polska i Europa”, Bellona, 2014

skowy. Po powrocie do kraju pełnił służbę na stanowiskach sztabowych i w sekcji personalnej. Widział jednak nieudolność armii, z czym nie umiał się pogodzić. Sprzeciwiał się niskiemu poziomowi wyszkolenia, zaniedbania baz wojskowych, brakowi zaangażowania w służbę ze strony oficerów. Ubolewał nad tym, że „nominacje zdobywało się dzięki pokrewieństwu, układom czy nawet wyglądowni”. Na emeryturę odszedł w 1986 roku. W sumie w armii służył czterdzieści pięć lat. „Dałem z siebie wszystko. Niczego nie żałuję”. ■

RENATA GROMSKA

Wasilij Briuchow, „Czerwony czołgista. Wojna w T-34 na Froncie Wschodnim”, spisał Sergiej Anisimow, Vesper, 2014



KSIĄŻKA



Dieter Schenk
jest autorem wielu
książek poświęconych
zbrodniom
hitlerowskim

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zbrodniczy system

15 listopada 1920 roku, podczas uroczystości państwowych w Paryżu i Gdańsku, ogłoszono oficjalnie utworzenie nowego Wolnego Miasta Gdańsk.

Dieter Schenk, honorowy obywatel miasta Gdańsk, zanim zajął się publicystyką, wiele lat pracował w niemieckim wymiarze sprawiedliwości. Ze służby odszedł po 1989 roku. To między innymi dzięki jego staraniom **procesy obrońców Poczty Polskiej**, rozstrzelanych na Zaspie w 1939 roku, zostały uznane za niemiecką zbrodnię sądową i pogwałcenie IV konwencji haskiej. Schenk jest autorem wielu książek poświęconych zbrodniom hitlerowskim. „Noc morderców. Kaźń polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej” została uhonorowana przez Polskie Radio i Telewizję tytułem Książka Historyczna 2012 roku. Ostatnia publikacja tego autora, „Gdańsk 1930–1945. Koniec pewnego Wolnego Miasta”, jest opisem dziejów tego miasta zdominowanego przez niemieckich nazistów, wszechwładzy gauleitera NSDAP w Gdańsku Alberta Forstera, „pana życia i śmierci mieszkańców nowego Okręgu Rzeszy”, a także jego zastępcy Arthura Greisera. Całość tworzy pięć rozdziałów, charakteryzujących najważniejsze wydarzenia w okresie działalności narodowych socjalistów w Wolnym Mieście Gdańsku, a także, podczas II wojny, na Pomorzu

Nadwiślańskim i Kujawach: „Z powrotem do Rzeszy”, „Wrzesień 1939”, „Reichsgau Danzing-Westpreussen”, „Upadek Gdańska”, „Danzing – Gdańsk”. Ten ostatni jest poświęcony historii powojennej miasta. Książka zawiera też obszerny suplement, w którym znajdują się między innymi indeks nazwisk oraz spis literatury i rozmaitych źródeł wykorzystanych przez autora, także instytucji i zbiorów, z których pochodzi bogaty materiał ilustracyjny. I właśnie liczne fotografie: Gdańska, pocztówek (m.in. z 1914 roku), plakatów, dokumentów, map, postaci, są niewątpliwym atutem tej książki. Na niektórych można podziwiać przedwojenną architekturę miasta, na innych ziele grozą od licznych swastyk na ulicach, nazistowskich demonstracji czy wizerunków oprawców. Są tu także utrwalone na kliszy wejście do gdyńskiego portu 25 sierpnia 1939 roku krążownika „Schleswig-Holstein”, wjazd do miasta, 19 września, Hitlera, a także wstrząsające zdjęcia egzekucji Polaków. Wiele z tych fotografii nigdy dotychczas nie było publikowanych. ■

RENATA GROMSKA

Dieter Schenk, „Gdańsk 1930–1945. Koniec pewnego Wolnego Miasta”, Oskar, 2014

ROBERT SPRINGWALD



**Twierdza
Kraków**

obroniła miasto
przed wojskami
rosyjskimi

„Ars Magna
– Architectura Militaris.
Twierdza Kraków 1914–
–2014”. Muzeum
Politechniki Krakowskiej,
ul. Warszawska 24.
Wystawę można oglądać
do 1 września 2015 roku,
od poniedziałku do piątku
w godz. 10–15 lub
po wcześniejszym
uzgodnieniu
pod numerem
tel. 12 628 21 20.

WYSTAWA

Ars Magna

Twierdza Kraków uratowała miasto,
a dziś ono spłaca dług.

Krakowianie nie zdają sobie sprawy z prezentu, jaki dostali w 1914 roku. Z rozmysłem wybudowana twierdza obroniła miasto przed wojskami rosyjskimi. Natarcie zatrzymano na wzgórzu Kaim przed Krakowem od strony Wieliczki. Żeby zdać sobie sprawę, ile to znaczy, wystarczy pomyśleć, że Kraków mógł wyglądać tak jak wiele galicyjskich miast, takich jak Gorlice czy Przemyśl, przez które przeszły wojska rosyjskie.

W salach wystawowych Muzeum Politechniki Krakowskiej, w dawnym areście twierdzy zaprezentowano archi-

walia, stare fotografie, mapy i plany, pokazujące jak głęboko była przemyślana konstrukcja tej jednej z największych inwestycji fortyfikacyjnych XIX-wiecznej Europy. Ekspozowane pamiątki i militaria, ilustrujące tamte dramatyczne chwile sprzed 100 lat, wypożyczyli ze swoich zbiorów Fundacja im. Tadeusza Kościuszki oraz krakowski kolekcjoner Tomasz Otrębski. Wystawę uzupełnia kilkanaście współczesnych kolorowych fotografii znakomitego krakowskiego fotografa Jana Zycha, pokazujących, że twierdza to nie tylko forty, spełniające wszystkie wymogi sztuki wojskowej,

lecz także budowle zachwycające do dziś swoim pięknem.

Wielką gratką dla zwiedzających jest kilka saperskich instrukcji austriackich regulujących budowanie i wyposażanie połowych umocnień. W zaaranżowanym gabinecie dowódcy można też obejrzeć komplet odznaczeń i pamiątki po Janie Bezardzie – wynalazcy najbardziej znanej na świecie wojskowej busoli połowej. Ozdobą ekspozycji są również makiety fortyfikacji, perfekcyjnie wykonane przez miłośnika historii wojskowości Henryka Trynkę. Całość uzupełniają falerystyka, oporządzenie, mapy, pocztówki i fotografie oraz pamiątki.

Wystawie towarzyszyła promocja książki „O przyszłości Twierdzy Kraków” autorstwa pracowników Instytutu Architektury Krajobrazu Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej. ■

ROBERT SPRINGWALD

ZŁOT

Poligon zimowy

WBornem Suliniowie już czwarty raz spotkają się miłośnicy wojska i militariów. Zimowy zlot jest



bardziej hardcore’ową wersją znanego od lat międzynarodowego spotkania „G a s i e n i c e i podkowy”.

Organizatorzy zapraszają 6–8 lu-

tego na **IV Poligon Zimowy Borne Sulinowo** i zapowiadają wiele atrakcji, bez względu na to, czy dopisze zimowa aura. W zeszłym roku, na przykład, uczestnicy imprezy odwiedzili 52 Batalion Remontowy. Wielką popularnością cieszyło się kasyno zlotowe, gdzie codziennie bawiono się do późnych godzin nocnych. AW ■



Wielka wojna w małych rękach

Konflikty zbrojne z perspektywy dzieci i nastolatków.

Premierowy ośmioodcinkowy serial pokazujący wojnę oczami dzieci, spisujących swe doświadczenia w pamiętnikach. Bohaterowie dzielą się przemyśleniami na temat propagandy, rewolucji i honoru. Każdy odcinek to też wizyta w innym kraju, między innymi w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Włoszech i Francji. Czter-

nastolatek z Francji najpierw kłamie w kwestii wieku, by zaciągnąć się na front, ale patriotyczny zapał ulatnia się po bitwie o Ardeny. Ośmiolatek z Włoch jest zmuszony poprowadzić austriackie wojska przez Alpy, by mogły zaatakować jego rodaków. ■

Soboty, od 7 lutego, godz. 18.00

TVP
HISTORIA

Dysydent końca wieku. Władimir Bukowski

Władimir Bukowski to znany obrońca praw człowieka w ZSRR. Ponad 11 lat był więziony w łagrach i szpitalach psychiatrycznych. W 1977 roku został wymieniony na Luisa

Corvalana i zamieszkał na Zachodzie. Tu kontynuował walkę z komunizmem i hipokryzją polityczną. ■

Poniedziałek, 2 lutego, godz. 22.40

TVP
HISTORIA

Niepokorni kochankowie

Historia trzech pokoleń kobiet

Miłość do niemieckiego oficera lekarza zaskakuje Janinę w ostatniej fazie okupacji. Jest polską patriotką. Ma narzeczonego Jana, akowca, który został osadzony w obozie w Stutthofie. Po 66 latach 25-letnia Anna, wnuczka

Jana i Janiny, córka Polki i Niemca, zaczyna stawiać pytania o rodzinną historię. Opowiadana i oceniana z różnych perspektyw przeszłość powraca, a wraz z nią ożywają emocje. ■

Sobota, 14 lutego, godz. 21.35

Dotknięcie anioła

Czy można było zapobiec Holokaustowi?

Czy historia Żydów mogłaby potoczyć się inaczej, gdyby Zachód nie ignorował ich tragedii? Henryk Schoenker, syn ostatniego przewodniczącego Gminy Żydowskiej w Oświęcimiu, zdradził światu historię utraconej szansy na emigrację Żydów. Jesienią 1939 roku powstało Biuro Emigracji Żydów do Palestyny. Założył je Leo Schoenker, ojciec bohatera filmu, na rozkaz niemieckich władz wojskowych. Tysiące ludzi w nadziei na ratunek ścigały ze Śląska do miasteczka Oświęcim. ■

Sobota, 7 lutego, godz. 19.45

TVP
HISTORIA



Wojna w Iraku. Co poszło źle?

Trzydziestoletnia seria przedstawia genezę, przebieg i skutki drugiej wojny w rejonie Zatoki Perskiej.

Przed atakiem na Irak świat zadawał sobie pytanie, czy Saddam Husajn ma broń atomową. Zwolennicy szybkiej interwencji starli się z dyplomatami, którzy domagali się dowodów na to, że Bagdad posiada bombę atomową. Najważniejsi przywódcy po obu stronach Atlantyku wiedzieli, że poparcie rozwiązania siłowego może oznaczać polityczne samobójstwo. Mimo tego wojna wybuchła. Co o tym zdecydowało? ■

Wtorki: 3, 17 i 24 lutego, godz. 22.40



JERZY
EISLER

Przełom

Druga z pięciu części epopei „Wyzwolenie” Jurija Ozierowa ukazuje wydarzenia, jakie miały miejsce w drugiej połowie 1943 roku, przy czym kulminacyjnym momentem jest forsowanie Dniepru i wyzwolenie Kijowa. Nie licząc się z kosztami i przewidywanymi stratami w ludziach, Józef Stalin nakazał swoim dowódcom zdobyć miasto nie później niż 6 listopada, to znaczy w przeddzień rocznicy rewolucji październikowej. Ta jedna informacja mówi bardzo wiele o zasadach, czy raczej braku jakichkolwiek zasad, w prowadzeniu wojny na froncie wschodnim. Tutaj naprawdę nie liczone się z wartością ludzkiego życia, a straty w ludziach były zupełnie nieporównywalne z frontem zachodnim.

W tej części, zatytułowanej „Przełom” – podobnie jak w „Ognistym łuku” – głównym atutem filmu są imponujące inscenizacyjnym rozmachem sceny batalistyczne, szczególnie dramatyczna sekwencja forsowania Dniepru. Ponadto poświęcono sporo miejsca tragicznym wydarzeniom lata 1943 roku we Włoszech. Posługując się czarno-białymi materiałami archiwalnymi, pokazano lądowanie aliantów na Sycylii i na Półwyspie Apenińskim. W tonacji czarno-białej zrealizowano również wiele scen z udziałem aktorów, żeby imitowały zdjęcia dokumentalne. W taki sposób przedstawiono najpierw aresztowanie Benito Mussoliniego, następnie uwolnienie go przez niemieckich spadochroniarzy Otto Skorzeny’ego. Warto tutaj wspomnieć, że partnerem „Mosfilmu” we Włoszech był jeden z największych w świecie producentów filmowych Dino de Laurentis.

Osobną – zrealizowaną również w konwencji paradokumentalnej – sekwencję poświęcono zorganizowanemu na przełomie listopada i grudnia pierwszemu spotkaniu Wielkiej Trójki w Teheranie. Nie zauważyłem, żeby przy tej okazji autorzy filmu dopuścili się jakichś nieścistości czy tendencyjnie dobierali materiał. Jest więc scena, w której brytyjski premier Winston Churchill, zamiast lądowania aliantów w Normandii, proponuje, aby w 1944 roku przeprowadzić desant wojsk anglo-amerykańskich na południu Europy w Jugosławii. Jest także pokazany moment zaproszenia przez Stalina – „wyłącznie z powodu troski o bezpieczeństwo prezydenta Stanów Zjednoczonych” – Franklina Delano Roosevelta do siedziby radzieckiej misji w Teheranie, co oczywiście od razu postawiło w nieporównanie gorszej sytuacji Churchilla, który miał przez to utrudniony dostęp do swojego głównego sojusznika.

W paradokumentalnej czarno-białej konwencji są również utrzymane fragmenty ukazujące życie w okupowanej Warszawie. W epizodach w „Wyzwoleniu” wystąpiła grupa popularnych polskich aktorów. O ile w pierwszej części pojawił się tylko Jan Englert, w roli radzieckiego czołgisty, Polaka Janka, o tyle w części drugiej, w scenach rozgrywających się w Warszawie wystąpili między innymi: Barbara Brylska, Wieńczysław Gliński, Ignacy Machowski oraz Daniel Olbrychski, który wcielił się w postać dżokeja, biorącego udział w przeznaczonych głównie dla Niemców wyścigach konnych, związanego z konspiracją (najpewniej komunistyczną) i podkładającego bombę w kinie Apollo, gdzie byli przede wszystkim niemieccy żołnierze. Na koniec wypada dodać, że również sekwencje warszawskie zostały zrealizowane ze znacznym rozmachem i udziałem setek statystów. ■

WIELE SCEN Z UDZIAŁEM
AKTORÓW ZREALIZOWANO
W TONACJI CZARNO-BIAŁEJ,
ŻEBY IMITOWAŁY ZDJĘCIA
DOKUMENTALNE



PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

Fundacja „Nikt Nie Zostaje” we współpracy z instytucjami Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Departamentem Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego organizuje



Warsztaty Plastyczno-Fotograficzne „Śladami Józefa Chełmońskiego”,

które odbędą się od 28 maja do 6 czerwca 2015 roku w Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach.

Warsztaty mają na celu podniesienie poziomu kompetencji artystycznych i twórczych środowiska weteranów i ich rodzin. Celem projektu jest także integracja i ponowna adaptacja uczestników w społeczeństwie.

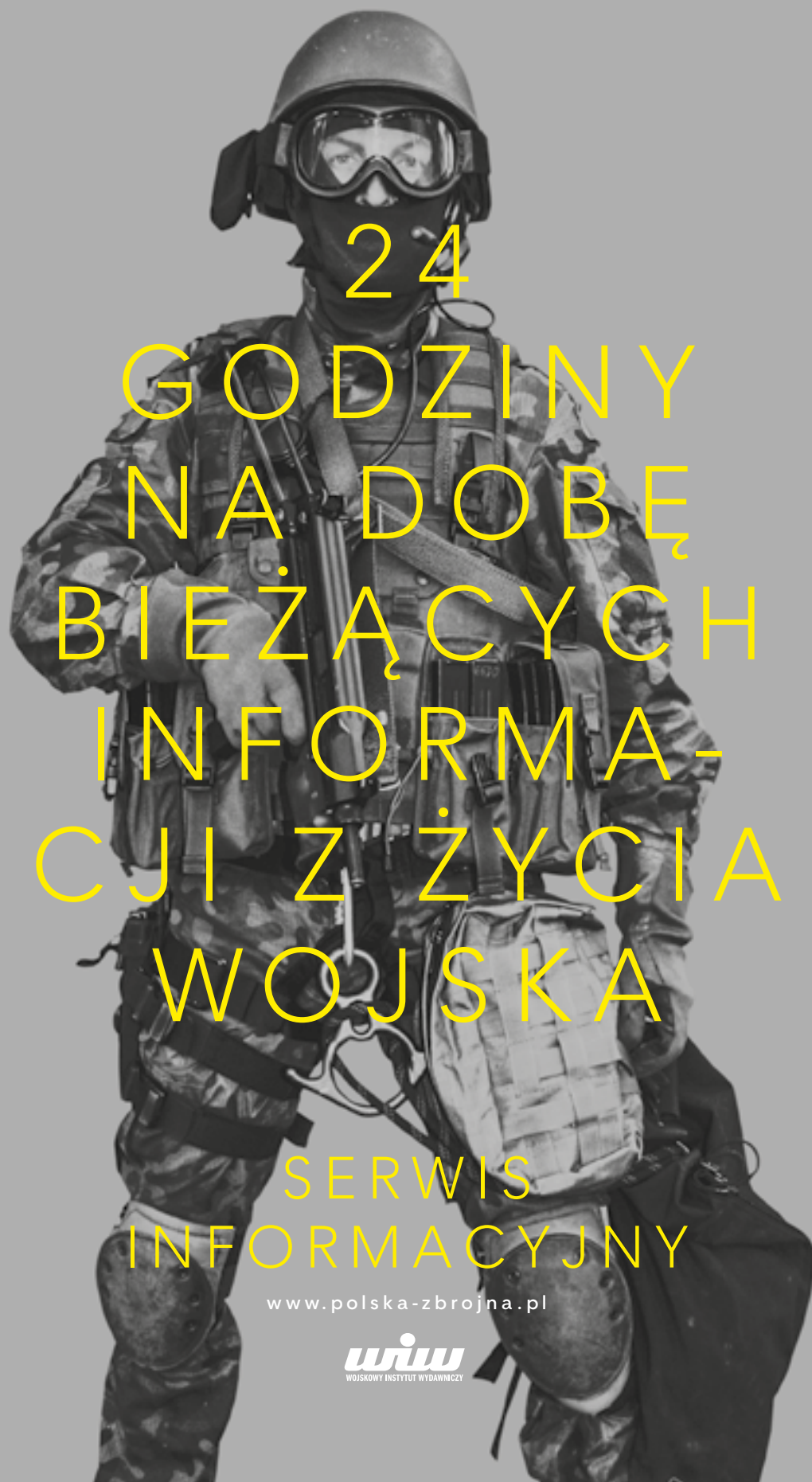
Warsztaty są skierowane do osób, które doświadczały traumatycznych sytuacji, wykonując zadania na rzecz bezpieczeństwa państwa poza jego granicami. W projekcie przewidziano udział 45 osób – spośród weteranów, którzy powrócili z misji, oraz rodzin żołnierzy tam poległych.



Więcej informacji
o warsztatach
oraz sposobie naboru
do udziału w nich można
znaleźć na stronie
www.niktniezostaje.net.pl



POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY